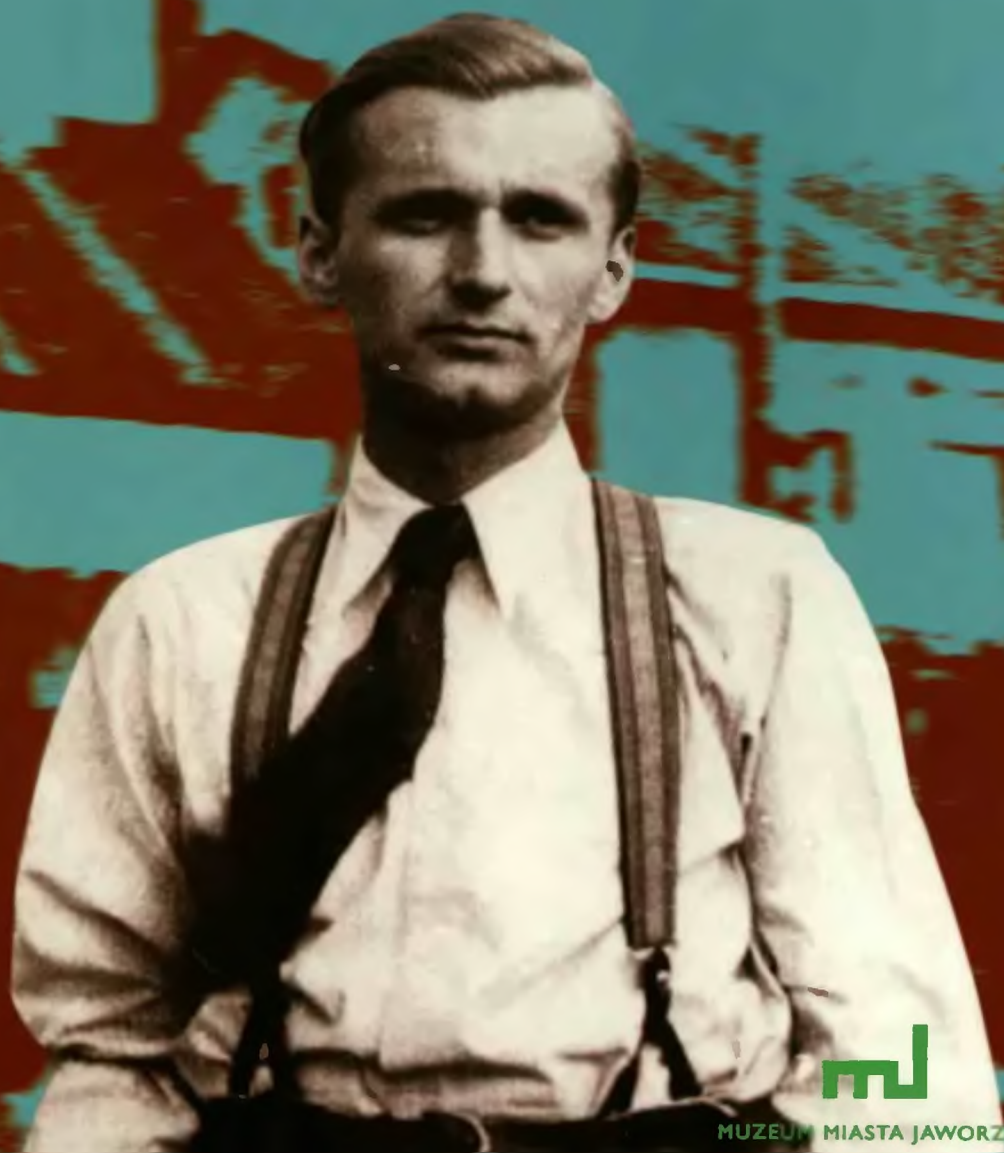


# Pamięć i źródła O Janie Pierzchale



# **Pamięć i źródła**

**O Janie Pierzchale**

# **Pamięć i źródła**

## **O Janie Pierzchale**

**pod redakcją  
Pawła Sarny**



MUZEUM MIASTA JAWORZNA

**2004**

Recenzenci: Marian Kisiel, Paweł Majerski  
Projekt okładki: Przemysław Dudzik  
© Copyright by Muzeum Miasta Jaworzna, 2004

Inicjatywa wydawnicza Muzeum Miasta Jaworzna 2004

ISBN 83-916033-4-2

Nota biograficzna na 4 s. okładki opracowana na podstawie biogramów *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*: Red. J. Czachowska, A. Szalagan. T. 6. Warszawa 1999 oraz *Pisarze i badacze literatury w Zagłębiu Dąbrowskim*. T. 1. Red. P. Majerski. Sosnowiec 2000.

Druk i oprawa: Drukarnia Archidiecezjalna ul. Wita Stwosza 40-042 Katowice

# Spis treści

Paweł Sarna, *Słowo wstępne* • 7

## Jan Pierzchała

### Proza

*Krzak gorejący* (fragmenty) • 11

*Jak krótkie lato* (fragmenty) • 20

*Antykwariat przy ulicy Barbarossy* • 29

*Samotni nocą* • 46

## Jan Pierzchała

### Tego miasteczka już nie ma

*Teatr w starym Jaworznie* • 58

*Tego miasteczka już nie ma. Monolog zasłyszany* • 65

### Pamięć o wartościach

Jan Pierzchała, *Co było a co powraca* • 71

*Rozpoznać wartości. Z Janem Pierzchałą rozmawia Józef Górdziałek* • 75

### O twórczości Jana Pierzchały

Włodzimierz Wójcik,

*W pejzażach Jana Pierzchały* • 99

Justyna Cembrowska,

*Dylematy i dychotomie. Głosa do powieści Jana Pierzchały „Krzak gorejący”* • 107

Józef Górdziałek,

*Wielkie wołanie* • 14

Sławomir Matusz,

*Między egzystencją i apokalipsą. O „Wyznaniach” Jana Pierzchały* • 126

Paweł Sarna,

*„O dosyt słów”. Poetycki debiut Jana Pierzchały* • 129

### Wspomnienia

Elwira Kabat-Georgijewa \*\*\* • 138

Jan Klemens \*\*\* • 140

Stanisław Krawczyk \*\*\* • 141

Andrzej Żak \*\*\* • 142

Tadeusz Urgacz *Ostatnia posługa* • 144

Feliks Netz *To nie był brat-lata* • 145

Tomasz Kostro *Krótką historią pewnego wywiadu* • 146

Paweł Lekszycki *Krótką historią, wręcz anegdotką jednego spotkania z Janem Pierzchałą* • 148

Tadeusz Siemy *Pro memoria* • 149

Jerzy L. Woźniak *Moje o nim wspomnienia* • 150

Włodzimierz Wójcik \*\*\* • 151

Noty o autorach • 152

## Słowo wstępne

W książce *Z ciemni podskórnej* Jan Pierzchała przypomniał trzech pisarzy, którzy urodzili się i wychowali w Zagłębiu Dąbrowskim, i którzy – mimo że później opuścili to miejsce – dawali oraz niejednokrotnie ponawiali w swej twórczości świadectwo duchowego związku z regionem. Mowa o Stanisławie Krawczyku, Janie Krzysztofczyku, Tadeuszu Urgaczu. Na marginesie poświęconych im szkiców biograficzno-krytycznych Jan Pierzchała zanotował: „Pisarz, choćby nawet i tego pragnął, nie zaprze się miejsca, w którym nauczył się mówić, gdzie ukształtowały jego wrażliwość panujące zasady moralne i pojęcia: piękna, prawdy, dobra, zła, gdzie do potrzeby i zdolności marzenia, do lotów wyobraźni, przyuczało go mitotwórstwo rodzinne lub szerzej, lokalne, plemienne”. Przytoczone słowa odnieść można także do biografii i działalności literackiej autora *Krzaka gorejącego*. Urodził się Jan Pierzchała i wychował w Jaworznie, tu spędził lata wojny, podjął się pierwszej pracy zarobkowej. Ważny w jego życiu był niewątpliwie okres studiów oraz praca we Wrocławiu, ponad pół wieku spędził w Sosnowcu. Te ślady biografii pisarza, przewijają się na kartach niniejszej książki. Wyraźne są w szkicach o twórczości autora *Krzaka gorejącego*, wybijają się na plan pierwszy we wspomnieniach o Nim. Nie chodzi tutaj bynajmniej o jakieś „zaborcze” gesty, mające przypisać tę twórczość do konkretnego miasta czy regionu. Owe ślady są jednak znaczące dla spuścizny literackiej o wielowątkowej problematyce historyczno-społecznej, która domaga się odpowiedniego, także odsyłającego do biografii, kontekstu. Bez poruszenia kwestii obecności i działania Jana Pierzchały jako pisarza, ale przede wszystkim Człowieka podejmującego wiele obowiązków, uczestniczącego aktywnie w życiu lokalnym, nie odkrywa ona pełni swoich znaczeń. Niemniej na działania zmierzające do zawłaszczenia, wtłoczenia jedynie w ramy regionu, dorobek pisarski Jana Pierzchały – jak każda literatura wybitna – nie jest podatny.

*Paweł Sarna*



**Jan Pierzchała**

**Proza**



## Krzak gorejący (fragmenty)

### Do ludzi

Znalazłem ślad. Las był już głośny, kiedy dotarłem do miejsca, w którym ujrzałem pnie sosen odarte z kory. Tu konie utknęły z pewnością. Lecz ich nie było. Zniknęła także bryczka. Obalić może szukanie czegoś paniczne. Aż do zerwania nóg, szybko, bez oddechu przebiegałem wielkie przestrzenie lasu, by w końcu wrócić w to miejsce, w którym utknąłem, gdzie się ślad urwał. Głód ścisnął mnie kleszczami, ssał od środka. Łaknąłem już tylko, by się na ziemię rzucić, leżeć. Zwidywały mi się co chwilę kształty końskie albo jeźdźcy na koniach. Słyszałem wyraźnie odpowiadające jeździe konnej dźwięki, które łowiłem z wysiłkiem, skulony przy ziemi, póki sobie nie powiedziałem, że to co słyszę jest tylko jazgotem myśli.

A gdy już zwątpiłem, kiedy leżałem półżywy, pogodzony ze wszystkim, jak człowiek, który się poddał, usłyszałem końskie rżenie wcale bliskie i głośne. Pobiegłem w tamtą stronę. Wpadłem w gęstwiny, zakrwawiłem nogi. Ujrzałem płot z desek. Wspiąłem się na rękach, skoczyłem na drugą stronę. Znowu odezwało się końskie rżenie, doleciało ze stodółki, ale nie mogłem poznać czy to mój koń, bo pies szczekał bardzo blisko, mała psina zajadła, wszawy nędznik, któremu w tej całej sprawie poświęcę więcej miejsca. Nastawał, gryzł, napadał, póki go nie kopnąłem, co było jeszcze gorsze. Leżał wtedy skowycząc, siejąc grozę.

Pobiegłem do stodółki, zajrzałem przez szparę. Stały tam moje konie. Rude pyski i grzywy. Pchnąłem wrota, ale nie ustąpiły. Dopadłem chałupy stojącej opodal. Drzwi bez skobla, bez klamki, zaparte od wewnątrz. Szybki w oknach zaparowane, od środka, nic przez nie nie mogłem dojrzeć. Pukałem, tłukłem pięścią. — Otwórzcie, otwierać. Coś wam powiem. Zapytam o jedno! — Wołanie zostało bez skutku. Zagroziłem, że ich spalę. — Podpalę dom w tej chwili! — Ciężka groźba pomogła. Wtedy otworzyli.

Przez próg uniósłszy nogę wyszedł wpierw chłop mały, czemiawy, w gaciach, za nim kobieta w koszuli dość krótkiej, za nią troje małych dzieci. Spojrzeli czy się pali, skoczyli, że ich budzę, ogniem grozę. „Coś porobił ze zwierzęciem? Coś ty zrobił z naszym psiną?” Tylko o psie: „Co mu zrobił, psa nam zabił”. O koniach nie chcieli słyszeć. „Jakie konie, kto je widział? A pies? Nasza psina?” Był to podlec, nie pies. Przybiegł do chłopca półkołem, na grzbiet się uwalił, leżał, płakał, skowyczał. Przyjść nie mogło do rozmowy o koniach, o niczym, bo pies skomlał coraz głośniej, zagłuszał nas zupełnie. Dzieci także zaczęły płakać z żalości nad psem.

Cofnąłem się wtedy, czując, iż mieć nie może racji ten kto wywołał tyle płaczu, tyle zgiełku. „Psa zabił, nas śpiących napadł, spalaniem groził”. Parli na mnie, bym uciekał.

„Dużo lepiej byłoby ze mną, gdyby nie pies. Tamci szli w moją stronę, płacząc, lamentując. Chłop był coraz bliżej a mnie coś wstrzymało. Stałem czekając. Chłop był mały, więc się srożył, jak gdyby nie znał strachu. Schyliłem się, zajrzałem w szparki jego oczu: — Czyje ty masz konie? W stodole... Co ty tam masz? Odpowiedz! Mów zaraz — wpadłem mimo woli w ton mowy starej pani rosyjskiej. A on odwrzasnął na to: „Które konie, w której stodole? Tyś mi, zbroju, zamarnował stworzenie niewinne! Przetarciłeś psu grzbiet!” Tylko o psie mówił, o krzywdzie, jakiej doznał, napaści, jakiej doświadczył. — Konie!! — krzyknąłem mu w twarz — Czyje konie masz w stodole? No? Błagam cię, oddaj! Na kolanach cię proszę!! — Ten się zaśmiał z mojej prośby. Spytałem, z czego się śmieje? „No z tego!” Uderzyłem go w pierś, żeby się nie śmiał. Zaczekałem aż wstanie. Pchnąłem znowu, że się potoczył daleko. — Oddaj konie. — Wtedy uciekł, wbiegł do domu. Potem wrócił, jakby wyższy, z siekierą przy nodze. Czarna to była rzecz, z wyrobionym do błysku ostrzem, zaklinowanym niedbale. Stałem, czekając, rozkraczony na moich długich nogach, z głową schyloną nieco, z twarzą omrowioną. Chłop, kobieta, dzieci, pies podlec czarny, jak pan, jak pan mały, dwoili mi się w oczach. Chłop szedł wolno, by mnie tą źle osadzoną siekierą zdzielić, obezwładnić. Krzyknąłem, żeby stanął. — Tam na mnie czekają trzy płaczące kobiety rosyjskie. Przysiągłem im, że wrócę, wrócić muszę. Oddaj konie!!! — Chłop się zaśmiał bardzo głośno, gacie sobie poprawił, spytał, o jakich koniach mówię? — O tych, które masz w stodole! Człowieku! — „O których?” Myślałem o kobietach pozostawionych w lesie, o tym, że zginął medalion, bardzo się bałem siekiery, kobiety, dzieci, psa. Przeszył mnie stęk grający w piersiach czerniawego, ujrzałem siekierę wzniesioną wysoko, chwyciłem ją w dłonie, dźwignąłem, zamknąwszy oczy. Gdy mój otwart, chłop leżał na ziemi. Usta rozwarł, oczy zmrużył jak do strzału, potem zaświecił białkiem.

Wzywali go, żeby wstawał: „Ojciec, wstawaj”. „Tato, wstawaj”. Z nim się działo coś złego. Ujrzałem krew. Schyliłem się po siekierę, pobiegłem do stodółki, rozbiłem kłódkę. Wyprowadziłem konie. Jeszcze były ubrane, stały z łańcuszkami przewieszonymi przez grzbiety. W oczach stał mi czerniawy. Krwawił z ust. Mógł się nadziać na moje kolano. Miał pewnie lichy żołądek, coś mu może w brzuchu pękło. Stałem pomiędzy końmi, przez podwórze pobiegłem prosto do lasu. Nie miałem zamiaru zabić człowieka. Dźwignąłem tylko siekierę razem z nim, tylko przymknąłem oczy. On chciał mnie zabić, on. Czerniawy wstał, gdy ujrzał co robię. Postąpił do przodu, coś krzyknął, przyłożył dłonie do ust, opuścił je wolno, spojrzął na nie, siadł na ziemi.

Uciekałem. Szarpnąłem konie za uzdy, skryłem się między nimi. Najkrótszą drogą przez łąkę leciałem do lasu. Podpiąłem konie do bryczki, uciekaliśmy dalej. Nie patrzyłem na siebie. Niech zgiełk zostanie za mną. — Nikogo nie zabiłem. — Zabiłeś Polaka w pierwszym dniu wojny, aby trzy panie rosyjskie mogły dojechać do domu. Nie zabiłem nikogo. — Myślałem o panich z Rosji, że płacząc siedzą na skraju lasu albo i jedzą bardzo bogate śniadanie, szczęśliwe, wesołe, że się wreszcie medalion znalazł. „Zapłatał się w bieliźnie, trudno go było znaleźć”. — Czy jaśnie wielmożne panie jedzą właśnie śniadanie? Zabawiłem nieco dłużej dlatego, że pewien Polak wziął mi konie, nie chciał oddać. — Ostatnia przecinka wyprowadziła mnie na drogę pod samym szczytem wzniesienia. Wbiegłem na nie zdyszany, prowadząc bryczkę i konie.

Trzy panie rosyjskie stały na skraju drogi w wielkich kolorowych kapeluszach, w rękawiczkach do łokci. A jednak wyszły z lasu. Czekwały nie na mnie, lecz jakby na zbawcę, który może będzie tędy przejeżdżał. W inną nawet patrzyły stronę. Stara Elżbieta Tanjewa stała pochylona do przodu, wsparta na lasce, która się odnalazła. — Czy

też znalazł się może medalion z brylantami? Czy może jaśnie wielmożne panie zjadły już śniadanie? Zostało może coś dla mnie? — One jeszcze czegoś szukały z przejęciem, z oczami przy ziemi. Poruszały się monotonicznie, krokiem beznadziejnym, chodząc po tych samych miejscach w kółko.

Dyszel u bryczki był złamany, musiałem uważać, by koni nie zranić. Zaciągnąłem hamulce, schodziliśmy z góry wolno. Zrazu mnie nie spostrzegły, nie słyszały mojego głosu. Patrzyły w inną stronę, urzeczone kierunkiem, skąd przyjechaliśmy w nocy. Nagle odezwała się kanonada artyleryjska, jak gdyby za lasem, blisko. Panie zastygły w bezruchu. Dzielili mnie od nich może kilometrowa przestrzeń. Poruszył je mój widok. Biegły ku mnie. Żwawiej postąpiła nawet stara pani z Nikołajewska. Potem stanęła. Wstrzymała panny. Pierwsza zatrzymała się Helena, ta z włosami czarnymi. Elżbieta jeszcze biegła. Zatrzymała się wreszcie pochylona, dysząc ciężko. Już jej zabrakło sił. Zdjęła z głowy niebieski kapelusz, otarła czoło, poprawiła włosy. Gdzieś, nie do mnie ani nie do nich, postąpiła w bok do lasu, coś rzucając za sobą, zrywając jakiś wątek.

Szedłem z góry prosto do niej. Krzychałem z daleka: Konie wziął z lasu pewien człowiek, nie chciał oddać! — Spojrzała na mnie, głową skinęła, że słyszy. Odezwałem się znów: — A czy jaśnie wielmożne panie jadły już może śniadanie? — Elżbieta przynaglana głosem babki ruszyła pędem w dół. Krzyknąłem za nią: — Dobrze, że mamy konie!!

## Przekleństwo na głowę wnuczki

Ustawiłem bryczkę w lesie przodem do kierunku, w którym zamierzałem jechać. Zgodziły się, iż będzie dobrze pojechać przez las. — Czy jaśnie wielmożne panie już może jadły śniadanie? Byłem, zdaje się, zgodzony z jedzeniem? — Zaprzątnięte czym innym, najwięcej sobą, gdzieby wiedziały, co mówią moje oczy. — Pojedziemy przez las — odezwałem się głośno po polsku, pokazałem ręką kierunek. Zaraz wtrąciłem po rosyjsku obracane w ustach zdanie: — Czy może jaśnie wielmożne panie już jadły? — lecz mnie zagłuszył zupełnie głośny płacz starej szlachcianki rosyjskiej. „Życie przepadło, zginęło! Kto dojedzie do domu? Czym? Tysiące, tysiące wiorst. „Do tego jeszcze przepadł gdzieś medalion z puklem włosów ukochanego syna starej pani, Włodzimierza Tanjejewa. Ale nie o to szło, o jakieś fatum ciężące nad rodziną, wywołane przez niejakiego Wasyla Andrejewicza Brodzkiego, przekłętego ojca jasnowłosej Elżbiety, który zastrzelił się w szynku i matkę Elżbiety, równie ukochaną córkę starej pani, pociągnął za sobą. Otruła się w dniu jego pogrzebu. „Któż więc, jeśli nie Brodzki winien jest wszystkich nieszczęść? On je wypędził z Nikołajewska za granicę, hańby bowiem znieść nie mogły, pokazywano je palcami. On je pchnął zza grobu do wyjazdu tego fatalnego roku, kiedy nikt z Rosji nie wyjeżdżał, bo już wiadano, czym pachnie, że wojną. Po co wyjeżdżały! Po co?” Stara Elżbieta Tanjejewa ostatkiem sił uniosła ramię, przeklinała niebiosom, ziemi, ludziom. Zatchnęło ją na moment. Ramieniem przecięła powietrze dwa razy, syknęła do Elżbiety, głosem tak ściśniętym, zdławionym, jakby żelazem wodził po szkle: „Ty jego nieodrodna córko, tego przekłętego! Jego oczy, jego twarz! Nie ciebie widzę, dziecko, tylko tego przekłętника, twego ojca. Niech będzie przekłety tam, gdzie jest na wieki wieków, amen”.

Stara pani przeklinała pośrodku drogi, stojąc. Nie wiedziałem, by w świecie możliwa była cisza większa jak wtedy. Moc groźnych słów rzuconych przez starą szlachciankę rosyjską dławiła myśli, zasnuwała je czarno. Wtem wszystko nagle doznało odmiany,

jak to się dzieje w kinie. Jasnowłosa Elżbieta kłękła, rzuciła się na kolana, z twarzą przy ziemi zaczęła płakać głośno. Mnie przeszedł dreszcz, bo to już nie był płacz, lecz śmiech, który wyzywa potęgę, z nich szydzi. W dłoni miała medalion. Wstała, oddała go Helenie, czekając co powie babka. Stara pani z Nikołajewska patrzyła w napięciu, z twarzą jak kreda białą. Sięgnęła po zgubę, przycisnęła do piersi, do warg. Łkała cicho. Przytulona do Heleny witała chwilę, która rozjaśnia koszmar i daje pokrzepienie. „Wrócimy do domu. Dojedziemy do Nikołajewska, jeszcze będziemy szczęśliwi”, ściśniętym gardłem krzyknęła Elżbieta. „Wrócimy, wrócimy, wrócimy”, wołała głośniejsz, jak się woła w martwocie snu, głosem, który nie dotrze nigdzie. „Bogu najwyższemu chwała”, odezwała się cicho stara pani rosyjska, „powrócimy do domu, do Nikołajewska”. Jeszcze uniosła głowę, przeżegnała nabożnie siebie, świat, wnuczki, wielkim, prawosławnym sposobem, jakby w otwarte niebo patrząc, w surowe oczy Boga, godnie i lojalnie płacąc za lojalność. „Wrócimy szczęśliwie”, mówiła, żegnając ramieniem świat i nas stojących przy niej. „Bóg pozwoli, że wrócimy. Teraz jedź”, odezwała się do mnie. „Ruszaj prędko. Rosja wielka! Bóg nad nami!”

— Pojedziemy sobie lasem — rzekłem szczęśliwy jak one. — „Teraz tylko skrócić w prawo, w sam raz trafimy na Wolbrom”. Wsiadły. Ruszyłem. Dotarłem do duktu, którym biegłem rano. Szukałem dróg w prawo, aby ominąć dom czerniawego. Zapomniałem o głodzie. Panie spały. Szedłem ciągle przy koniach, by z uwagi na dyszel uniknąć gwałtownych skrętów, nie zranić koni. Skręciłem łagodnie, omijałem tamtą fatalną stronę. Trafiłem na młodnik. Potem znalazłem się na drodze, biegnącej zakosami wśród wrzosowisk i jałowca. Głębokie, piaszczyste koleiny zdały się zrazu prowadzić nas miękko, i niechybnie do wymarzonego celu.

Znów był upał jak wczoraj. Głowa ciążyła mi od słońca. Z głodu gubiłem wątek myśli, mówiłem sobie: — Teraz nie myśl o niczym, nawet o głodzie, przyjedziemy na miejsce, będziemy jeść. — Czas jakiś szedłem przy koniach w nadziei, że młodnik rychło się skończy, wjedziemy gdzieś do cienia w wysokim lesie, w głowę nie będzie piec. Wrzosowiska ciągnęły się bez końca. Lasy, owszem, widziałem daleko na horyzoncie. Nie mogłem iść dłużej przy koniach po piachu, żeby uważać na dyszel. — Ostry, złamany koniec dyszla obwiążę surdudem, ażeby nie skaleczył koniom boków, sam siądę sobie na bryczce. — Wtedy panie rosyjskie przecknęły, zaczęły pytać z niepokojem: „gdzie jesteśmy, gdzie ten Wolbrom”. — Jedziemy ciągle niskim lasem, nie możemy z niego wyjechać. Jestem — mówię — bez czapki na takim słońcu, do tego bardzo głodny. Ostatni raz jadłem przedwczoraj. Czy jaśnie wielmożne panie już coś jadły dzisiaj? — spytałem uprzejmie. „Nie jadły”, też są głodne. Rozłożyły parasolki. Nagliły, ażebym jechał szybciej. „Nie można jechać szybciej?” Jadę — odpowiadałem — tak jak mogę. Koła w piachu, jestem głodny, nie mam czapki, głowy nie mogę unieść od słońca. Czy jaśnie wielmożne panie już dziś jadły śniadanie? Byłem do jazdy zgodzony z jedzeniem.

Panie rosyjskie milczały na temat jedzenia. Zmrużonymi oczami patrzyłem w słońce, żeby uczuć pełną nienawiść do świata. Naokół ciągnęły się wrzosy. Potem ujrzałem wieś, za nią wysoką ścianę lasu. — Wieś i las — powiedziałem znużonym głosem.

Gnałem konie, ile mogłem. Zagrody już były blisko, nawet ludzie. Potem na horyzoncie widziałem wiele wsi. Kiedy pytaliśmy chłopów, jaka tu władza, odpowiadano, iż tu władza carska, święta, rosyjska. „Gdzie wojsko?” „Tam!” Zaś we wskazanym miejscu Kozacy, owszem, byli albo przed chwilą, albo rano, w południe. Konie już były całkiem mokre. Otworzyła się znowu pustka, ugory porośnięte jałowcem, wrzosem. Nigdzie nie było rosyjskiego wojska. Konie ustały zmęczone, nie słuchały nawet bata. Staliśmy dość długo.

Upał zelżał, słońce się przechyliło. Z nieba spłynęła nagle przejrzystość szkła, firmament oblał się żółtym, tą żółtością, która mówi, że kiedy słońce zgaśnie, nie wzejdą wielkie zorze, ani luna krwawa.

O bardzo późnym słońcu dotarliśmy do lasu. Za lasem była wieś. Radość tego widoku zepsuły nam raptem niespodziane strzały armatnie, bliskie, głośnie, powtarzające się w mierzonej jakby odległości sekund. Gdzieś tam wstawiały wielkie huki, aby się nieść nad nami, nad światem. Wstrzymałem konie, słysząc, że panie płaczą. Stara pani zemdląła, wnuczki zaczęły prosić, ażeby jechać wolno. We wsi panował jeszcze płacz po mobilizacji przeprowadzonej rano. Wszędzie było pusto, poukrywali nawet dzieci. — Więc dokąd teraz jechać? — „Najlepiej do dworu. Już tu bardzo blisko”.

Artyleria biła znowu miarowo, niedaleko. Stara pani z Nikołajewska z obojętnością jakby zakryła dłońmi oczy, aby nie widzieć, nie słyszeć. Strzały były coraz bliższe. Nagle owładnął mną strach o te trzy kobiety rosyjskie, jadące z tyłu. Siedziały jak martwe, unikając moich spojrzeń. Szarpnąłem silnie konie, wjechałem na gościniec. Jechaliśmy po kamieniach, po nierównym, ogłuszał nas terkot kół. Helena bliska płaczu krzyknęła bym stanął. Ujrzała kobietę. — Kobieto! Chodźcie tu bliżej! Daleko do Morska, do dworu? „Do dworu w Morsku pół godziny drogi. Dwór tam wielki. Dwór a dwór. Stoi tam dowództwo rosyjskie, carskie, kozackie”. — Czyj ten dwór? — „Czyj?” — zaśmiały się oczy mówiącej. „Czyżby mógł być dwór? Dwór jest pański. Naszego pana Kaliksta Rościszewskiego”. Na to rzekła podniesiona na duchu stara pani z Nikołajewska: „Do tego pana jedźmy, Rosciszewskawo!”

## Stary pan z Morska

Słońce ginęło za horyzontem w mgłę bez pożogi. Świat tchnął przecuciem nocnego chłodu, doskonałą ciszą wieczoru w śród pól na schyłku lata. Bładawe światła zachodu ostrzyły kształty każdej najmniejszej rzeczy, każdą wyodrębniały, jak gdyby w tej ostatniej chwili przed nocą nic ukryte być nie mogło, gdyż zostało objęte ostatnim, gasnącym światłem dnia i to objęte zewsząd.

Z trudem prostowałem plecy, ogarniał mnie sen. Twarze panienek rosyjskich były szare, znużone, zaś stara pani z Nikołajewska spała lub tylko nie chciała otwierać oczu. Kolebało nas w bryczce do taktu końskich kroków, tonęliśmy umęczeni w popiskiwanii kół, mielących piach miękko. Nagle ogarnął nas inny, żwawszy rytm. Koła cięły piach ze świstem. W mocnym biciu kopyt końskich rozbrzmiała otucha, radość odpoczynku. Konie skręciły raptownie na połą drogę. Wjechaliśmy na wzgórze. Oczom naszym ukazały się najpierw pobłyskujące w dali stawy, a potem dwór biały, niski, z kolumnami podpierającymi ganek, obwieszony zielenią winną, pnącą się aż na dach. „Dwór”, rzekła młodzianka Elżbieta. Stara pani dodała: „Tam jedziemy, do tego białego dworu, który widać”. Konie szły coraz szybciej, mnie słuchać nie chciały. Panie cicho mówiły do siebie o tym tylko co widzą, jaka je czeka radość, jaka ulga. Przejechaliśmy obok stogów starej, szerniałej słomy. Stamtąd konie biegły prosto do zabudowań gospodarskich, pełnych ludzi wracających od żniwa. Wozy ustawione jeden za drugim czekały rozładowania przed stodołami otwartymi na przestrzał.

Skoczyłem z kozła na ziemię, by przeprowadzić bryczkę przez ciżbę. Wtem ujrzałem przed sobą kobietę dworską zapatrzoną ciężko na panie rosyjskie, które wiozłem. Stała

z dłońmi ukrytymi pod fartuchem w tym wiekuistym jakby geście, który zdradzał mimowolny szacunek nie względem pańskiej, szlacheckiej godności lecz więcej dla nieobojętnej nigdy tajemnicy życia, z powodu której ludzie, nie bacząc na żadne sprawy, nawet na wojnę, przenoszą się z miejsca na miejsce. Ją spytałem, czy są Ruscy we dworze. „E” odparła. „Ruski żeby był u naszego pana? Cóżby tam u niego robił?” Odezwałem się do starej pani z Nikołajewska, iż we dworze nie ma wojska. Ona to już poznała wcześniej, głową potaknęła, że wie, zamyśliła się ciężko, przeżegnała szeroko.

Biegłem pomiędzy końmi, jedną ręką trzymając prawego blisko pyska, drugą złamany koniec dyszla, by bryczką nie rzucało na boki w ciżbie. Konie już czuły wodę, biegły do niej. Patrzyłem, gdzie jest studnia, by je tam podprowadzić, o nic nie zahaczyć, niczego nie przewrócić, nie urwać. Zaczęły pić z drewnianego koryta pełnego wody. Z sykiem puszczały wodę przez wargi. Ktoś krzyknął na mnie z bliska, bym koniom wyjął z pysków wędzidła, zaś inny, bosi parobek z obnażoną piersią powiedział do mnie: „Ej, furmon, żeby te twoje konie nie dostały zopolenia. Skąd ty jedziesz?” — Od samej pruskiej granicy. Pod kulami jechałem całą noc, cały dzień. — Zaczęli nagle wróżyć, że mnie te konie wezmą, czyje one? „Nie ujedziesz daleko. Cheba że nie twoje”. — Nie moje! — „A to co innego”. „A gdzie te panie jadą?” — Do Rosji. Aż do Nikołajewska! — „Jezus Maria, to niech się spieszą, bo tu wojna, a tam świat drogi”. Wszyscy ludzie, jacy tam stali, zaśmiali się głośno, pogodnie, życzliwie niby nad życiem, nad losem, bo człowiek bierze nową bryczkę, zaprzęga do niej parę koni, jedzie, jedzie, nie wiedząc co go spotka, w której chwili, z której strony, bo skąd mógłby o tym wiedzieć. Czy ja długo jem furmański chleb? — Niedługo!

Staliśmy przy studni, opuszczałem drewniane wiadro przy pomocy korby, piłem do woli jak i konie chciwie, obmyłem sobie twarz, kark, resztę wody wlewałem do koryta i tak tę czynność powtarzałem kilka razy ku zdziwieniu ludzi, którzy obeznani z życiem, po pragnieniu furmana i koni sądzili dopiero o przebytej drodze.

Huki artyleryjskie przycichły od niejakiej chwili, grzmiały jakby oddalone, z siłą mniejszą. Konie piły coraz wolniej. Stara pani z Nikołajewska nalegała, by już ruszać. Mam jechać prosto do dworu. Wsadziłem koniom wędzidła, założyłem im uzdy, grzywki wyrównałem. „Do dworu natychmiast”. Ludzie się rozstąpili. — Już jedziemy do dworu, jasnie wielmożna pani. — Ruszyłem, idąc między końmi z przodu. Minąłem park, jechałem drogą wiodącą prosto do dworu. Wszystkie okna były tam otwarte na rozcież, zapienione firankami. Salwy artyleryjskie znowu dały się słyszeć, inną jakąś, więcej tajemną grozą brzmiające pod niebem zgasłym. — Dwór — rzekłem do nich odwracając głowę. Panienki powstawały z siedzeń, ażeby lepiej widzieć. Patrzyłem na ganek czy kto wyjdzie, kiedy. Nikt jednak nie wyszedł. „Nie widać nikogo”, szepnęła stara pani rosyjska do wnuczek. „Nikt jeszcze nie wyszedł”.

Podprowadziłem bryczkę pod ganek blisko. Jeśli jeszcze nie wyszli, to zaraz wyjdą. Wstrzymałem konie. Stałem bokiem popatrując, czekając, co będzie. „Już idą wszyscy razem”. Wielkie oszklone drzwi na ganek rozwarły się wolno, jakby się spełnić miało niezwykle jakies misterium witania osób czekanych tu z dawna i godnych. W drzwiach ukazały się najpierw idące przodem dzieci ubrane na biało, z włosami podciętymi równo nad oczami oraz poniżej uszu. Za dziećmi pojawił się starzec siedzący w fotelu na kółkach, pan tutejszy, dziedzic Morska, w czamarze, niemocą przykuty do miejsca, gdzieś, jakby wśród rojeń, wrywający się wprzód, do świata, który zda się w ostatnim wysiłku zegnał. Biało, najskromniej ubrana kobieta wypchnęła fotel pana Kaliksta Rościszewskiego na brzeg ganku, między kolumny, gdzie zaczynały się stopnie. Stary,

sędziwy pan polski unosił głowę wysoko, oczami gdzieś wodził jak ślepy, bo też nie dostrzegł niczego, ni bryczki, ni koni, ani siedzących na bryczce pań rosyjskich z Nikołajewska. Równie niewidzące były młode panie za starca fotelem stojące, pewnie matki owych dzieci skupionych nad wiek, przejętych głęboko chwilą, także nie widzących nikogo, niczego. Niczego nie spostrzegła stojąca pod ścianami służba. Taki był pewnie nakaz, aby niczego nie widzieć. Moje panie rosyjskie już wiedziały z pewnością, że nim je przywitano, wypędzono wcześniej.

Spojrzałem do tyłu, między końmi, na ich pobladłe silnie, skamieniałe twarze. Bez drgnienia patrzyły w tamtą stronę, gdzie Kalikst Rościszewski siedział w fotelu z głową uniesioną, zastygłą w geście, graniczącym omal z bólem. Daleki pomruk armat przyplływał do nas głośny, brzmiał nad nami i huczał, potem odpływał. A gdy odgłosy wielkich strzałów armatnich rosły, wtedy schylała się nad siwym starcem stojąca za nim kobieta, by spytać wyrazistą, dobitną mową, którą przemawiać trzeba do głuchoty: „Czy dziadzius słyszy?” Nic nie słyszał. Patrzył na swych bliskich skrzywdzony jakby, bezradny. „Nic nie słyszę. Nic”, rzekł szeptem. Biała twarz Kaliksta Rościszewskiego wyostrzała jeszcze mocniej, jakby do kresu napinał w sobie wszystkie umarłe już zmysły, jakby płakał, iż chociaż dożył czekanej długo chwili poznać jej nie może wcale, nie może powitać.

„Teraz słychać”, odezwało się nagle dziecko. „O, teraz”. Zaczęli nastawać, wciąż pytali jeden przez drugiego czy starzec słyszy. „Musi dziadzius coś słyszeć. Strzelają bardzo blisko. Naprawdę”, odezwała się inna, bardzo młoda pani w różowym, stojąca blisko, pochylona nad starcem. Pan Kalikst nie słyszał. „Nic nie słyszę, moje dziecko”, użalał się cicho.

Wtem nagle powietrze drgnęło. Konie położyły po sobie uszy. Górą przeszedł nad nami grzmot, jakby waliły się firmamenty. Rozległa się nowa, spiętrzona echami salwa, od której zadrżała ziemia. Wtedy Kalikst Rościszewski przysłonił dłońmi oczy, płakał. „Teraz słyszy”, rzekł ktoś niewczesny na ganku. Zaś stary szlachcic polski odjął dłonie od zapłakanej twarzy, wysoko je unosił, rzekł słabym zerwanym od wzruszenia głosem: „Słyszę” teraz. O, szczęście! Dzieci moje”. „Strzelają bardzo blisko”, dodała młoda kobieta w różowym. „Słyszę dobrze”, powiedział Kalikst Rościszewski; unosił w górę prawą dłoń: „Niech będzie błogosławiona wojna w imię ojca i syna i ducha świętego”. Wszyscy schylili głowy, kobiety zęgnęły się wolno, nabożnie, dotykając palcami czoła, piersi, lewego ramienia, potem prawego. Dzieci zaczęły klękać albo zęgnęły się stojąc. „Błogosławię cię, wojno” odezwał się znowu głośniej uniesiony chwilą starzec. Dłonią przeżegnał huczące armatami niebo i domowników zgromadzonych przy nim.

Chwilę jeszcze słuchali przychodzących z daleka huków, albo modlili się szeptem, wreszcie poszli. Ganek niebawem opustoszał. W oniemienu patrzyłem jak prędko obrócili fotel ze starcem, jak go pchnęli szybko do wnętrza i drzwi oszklone zamknęli. Sekundę później wybiegł zza rogu dworu chłopiec, w locie niemal przymykał okiennice, które zaraz od wewnątrz, głośno, jakby w popłochu zapierano antabami. Wierzyć mi się nie chciało, iż na tym pustym ganku, ozdobionym dwoma kolumnami takie jeszcze przed chwilą panowało życie.

„Poszli wszyscy?” spytała mnie wtedy stara pani z Nikołajewska, zaś ja odparłem krótko: — Tak jest, jaśnie wielmożna pani. Wszyscy poszli. Nie ma nikogo. — Stara pani rosyjska dobrze widać zrozumiała wszystko, co działo się przed chwilą na ganku. Nie pytała o nic więcej. Skinieniem głowy potwierdziłem raz jeszcze, iż wszyscy dworscy odeszli, drzwi zamknęli, pozamykali nawet okna. Staliśmy jeszcze w miejscu porażeni doznaniem, czekający nie wiedzieć na co. Na to pewnie, kiedy wreszcie przyjdzie noc, która skryje

rozterkę pań rosyjskich, coś ułatwi, gdy już na nas nikt patrzył nie będzie.

Wszedłem głębiej między konie, rzekłem do starej pani z Nikołajewska, że już ciemno. — Czy będziemy tu stać? — Milczały zdziwione, iż mówię tylko tyle. Kryły przede mną, jak są złamane, bezradne. Odczułem, jak myślą, że wszystko, co ich dotyczy, zależy wyłącznie ode mnie. Stara szlachcianka rosyjska siedziała oparta o ramię wnuczki Heleny, Elżbieta jak gdyby pchnięta, przechylona z bryczki, patrzyła gdzieś w bok na zgasłe niebo nad dachem dworu, w niczym jakby nie biorąc udziału, podobna do istoty, która przypadkiem znalazła się wśród ludzi, do których należy od tej pory bez miłości, nawet bez przywiązania.

Powiedziałem, że nawrócę, aby panie uważały. — Pojedziemy. Wrócimy do ludzi. — Na myśli miałem służbę dworską, także tamto wiadome miejsce przy studni. Elżbieta Tanjejewa nic na to nie rzekła, mocniej wszakże wsparła się na Helenie, tej wnuczce wybranej. — Jedziemy! — krzyknąłem. — Jąde! — Gdy wtem zamarłem o krok stojąc przed końmi. Białe, oszlone drzwi dworu rozwarły się znowu. Stała w nich młoda jeszcze kobieta, widziana przez nas już wcześniej wśród innych pań na ganku, ubrana w lnianą sukienkę białą, patrząca śmiało, przy tym mówiąca płynnie, gładko, iż nikt by nie zgadł z kim ma do czynienia, z panną służącą we dworze, z zaufaną domownicą, czy nawet z samą panią. Dłonie wszakże miała ciężkie, spierzchnięte, przekrwione. To mi mówiło dosyć.

Niebo zgasło. Świat stał niczym rzecz martwa, zastygła w chwili swego wiecznego przemijania w dążeniu ku nocy. Blask żółtawy, jak wszystko martwy, nie wiedzieć skąd idący, świecił blado wieczorowi bez księżycy. Ona jaśniała bielą. Zeszła z ganku wpatrzone jak gdyby tylko we mnie. Jakby miała polecone, by tak patrzeć jak patrzy. Stała blisko, mówiła. Choć zrazu słowa kierowała w stronę pań na bryczce, do mnie zaś samą układność mowy, melodię, ową nutkę, po której każdy pozna, jak jest widziany, dobrze czy źle, tak było, jakby posłano ją tylko do mnie. „Stary pan Rościszewski ciężko chory”. Młodego pana Adama Rościszewskiego nie było w domu. Od maja przebywał za granicą. Więc jeśli panie rosyjskie jakimś trafem przyjechały może do niego, niech wiedzą, gdzie przebywa. Zaś jeśliby wchodziła w grę rodzina Rościszewskich, to we dworze są same wyłącznie synowe, ich krewne i dzieci. Pan Kalikst Rościszewski chory, przyjąć nikogo nie może, gości się nie spodziewał. „A dalej”, mówiła tamta panna ubrana biało: „Dom nasz polski, w którym zawsze znajdzie schronienie każdy potrzebujący, zostający bez dachu nad głową, każdy prześladowany, będący w potrzebie. Czym chata bogata. Bardzo proszę. Panie pozwólą za mną”.

Wygląd biało ubranej dziewczyny, jej szybkie, stanowcze w zapamiętaniu się polskim, dla obcego pewnie odpychające słowa, uspokoiły jednak moje panie rosyjskie przez to, że choć nie rozumiały słów, nie słyszały przecież całkiem cierpkiego tonu odmowy, słowo: — nie, zostało im osłodzone, tak że nawet stara pani rosyjska potakiwała głową wdzięcznie jakby przyjmując wszystko, co im we dworze dać mogą. Dokądś je przecież proszono, wiedziono. Młoda w białym odstąpiła nieco do tyłu, jak gdyby w ukłonie. — Ale dokąd pójdziemy? — Wtedy ona dała mi znać oczami, ażebym brał konie, szedł za nią. „Nie daleko, bliziutko. Tu zaraz za parkiem”.

Stałem między końmi, ruszyłem za jej wskazaniem ręki. Minałem klomb kwiatowy, wszedłem z końmi na dróżkę wąską w parku, nie do jazdy. Już było coraz ciemniej, nie widziałem dobrze drogi, szedłem za nią. Potem ona stanęła z powodu jakichś kwiatków, których nie mogłem dostrzec. Wzięła ode mnie konie, ustawiła je prosto, już mi ich nie oddała. Konie słuchały jej dobrze. Mówiła uradowana, że jej posłucha każdy koń, później szepnęła, jakie to huki armat i że się wojny boi. O nas wiedziała wszystko. Ludzie donieśli

do dworu: skąd panie, dokąd jadą, że furman wcale nie furman. — Moja siostra znalazła jednego rotmistrza rosyjskiego, krewnego tych pań. Przez przypadek, pierwszy raz w życiu chwyciłem się koni. Panie bardzo prosiły, ażeby z nimi jechać. Nie miały wyjścia.

Z prawej strony został dom, w którym świeciło się w oknach. Jechaliśmy przez podwórze do następnego budynku z okiennicami zamkniętymi, gdzie mieszkał rządcą, niejaki Brzeski, który wyjechał przedwczoraj. Gdyby nawet nie wyjechał, kancelaria Brzeskiego zawsze była dostępna na noclegi dla najróżniejszych ludzi, posyłanych ze dworu. Weszły tam wreszcie po czekaniu na człowieka z kluczem. Zostałem przed domem, przy koniach. Z ciemności już gęściej patrzyłem w otwarte drzwi kancelarii, jak tam ludzie zaświecić chcą lampę naftową, zaświecić nie mogą, jak się inni cofają, by panie rosyjskie przepuścić. Panie weszły, spojrzały na ściany, na ludzi, zaczęły głośno płakać, nie wiedzieć, ze szczęścia, czy może, iż to szczęście nijakie i marnie. Kancelaria był to pokój wąski z oknem należytej wielkości na ogród, z łóżkiem żelaznym przykrytym końską derką, bez poduszki, ze stołem, krzesłem, z czym tam jeszcze. Przez otwarte drzwi ciągnął stamtąd zapach skóry, pordzewiałych kawałków żelaza, zboża. Stara pani z Nikołajewska płakała znowu, podpierana przez wnuczkę Helenę, żaliła się szlochając: „Jakże to nie płakać, nie biadać, gdy odmówione im zostało wszystko, czego w Rosji, w takim choćby Nikołajewsku, nigdy przynigdy nie odmówiono by najgorszemu. Kimże były, czy wiedzą? Czy może o to pytano? Dokąd je polski dwór posłał? Do czego? Co im dano? Śmierdzącą myszami kancelarię jakiegoś rządcy, który wyjechał?”

Naznosili tu światła coraz więcej. Wołano tego lub owego z ludzi. „Wołaj no Kolankową, Zosię wołaj”, pokrzyk energicznie bardzo młoda kobieta w białej sukience lnianej. Kolankowej szukali, posyłali po nią bez przerwy. Inni ludzie dworscy mrowili się na schodach, spoglądali do środka z tym dystansem, który nas dzieli zawsze od ludzi bardzo obcych albo od miejsc śmierci. Wreszcie przyszła Kolankowa, mówiąca po rosyjsku. „Od czego są ludzie? Ano ludzie są po to, by wszystko załatwić należycie i popchnąć”. Przyszła świetlista jakaś, wesółą, promieniejącą szczęściem na miłą. Skłoniła się nisko przed starą panią, krzyknęła głośno coś jakby mówiąc niebu: „O, moje panie złociste, moje jaśnie wielmożne. Boga w niebie zabraknie, zanim Rosja przepadnie. Rossija pogibnut nie może. Nie pogibniet”. Pięciu synów wraz z mężem zabrano jej wczoraj do wojska. Mogłaby pragnąć czego innego, jak tylko wielkości Rosji, zdrowia Najjaśniejszego Pana, Mikołaja. „Pomóżcie kobietki”, zawołała do kobiet stojących w sieni.

Wietrzyły, zamiatały, pracowały bardzo szybko, snując przy tym rozmowę o wojnie, o mężczyznach, którzy na nią wezwani poszli, o szczęściu, niedoli. Wspominały co ruskie, co polskie i co godniejsze, czemu człowiek, chcąc nie chcąc poddaje się, służy, czego musi się trzymać, w czym widzi swoją przyszłość. Pytały się także o to, czy posługa dzisiaj zapłacona będzie przez te, nie wiedzieć jak bogate panie rosyjskie, prawosławne, córki może bojarские.

Prześcieliły żelazne łóżko w czystą pościel dobytą z waliz, przyniosły słomy na posłanie dla obu panien. Stara pani rosyjska wyjęła pulares, Kolankowej kazała wezwać kowala, który za trzy ruble papierkiem obiecał naprawić bryczkę. Kobiety dworskie obdzielone zostały kopiejkami, Kolankowa półrubelkiem. Drzwi od sieni zamknięto. Panie rosyjskie będą się mogły umyć, spokojnie też muszą zjeść kolację przyniesioną przez Kolankową.

Armaty znowu grzmiały. Nic dotąd nie wróżyło, że może ścichną.

## Jak krótkie lato (fragmenty)

### Nie chcę się pozbyć ciebie. Nie muszę!

Zamykał drzwi od mieszkania na zamki i kłódkę, trwożliwie nieco myśląc o wszystkim, co stało się dzisiejszego popołudnia lub co się jeszcze wydarzy w miejscu, do którego postanowił iść, nie wiedząc nawet dobrze, z kim. Z dziewczyną, która przyjechała z Krakowa w okropnym berecie, czyniącym z niej istotę ponurą aż do śmieszności.

Merkana Panginis, stojąc już nieco niżej na schodach i jakby czytając w jego myślach spytała, jak ona ma się zachowywać, kiedy już przyjdą do tego, który miał kontuzję kręgosłupa? A czy to można powiedzieć? Tak jak teraz. Jak zawsze. Kalectwo Wiktora Caboteaux nie ma tu żadnego, najmniejszego nawet znaczenia!

— Mnie się trzymaj. Nic nie mów o sobie. Powiemy na razie, że jesteś moją bliską krewną, kuzynką z Krakowa. Będą cię pytać o beret, ja ich znam, cyników. Dlaczego berecik taki nie na czasie? Czemu nie zdejmujesz? Chyba że zdejmiesz berecik, kochanie? Ja ci go poniosę.

Spojrzała surowo.

— Co mam robić, jeżeli spotkam się z tamtą?

— Z Judytą? Nic nie rób. Jesteś kuzynką z Krakowa, która przyjechała dzisiaj rano. Jeszcze o niej nie słyszałaś.

Wybiegli z bramy na ulicę Krasieńskiego. Objęła ich ciepła, złotawa poświata chylącego się ku zachodowi dnia i w głowie Tomasza Korynta powstała niepokojąca myśl, iż ona sprawia wrażenie osoby pochodzącej jakby nie stąd, gdzie leżał dobrze już oswojony, malowniczy świat ruin i gdzie niedawno skończyła się wreszcie długa wojna, lecz jakby jeszcze skądinąd, z krainy bardziej surowego bytowania zamkniętej granicą niedostępnej, może i odstraszałającej inności.

— Gdzie mieszkałaś w Krakowie? No, powiedz! Odparła bez wahania:

— Na Grodzkiej miałam pokoik nad samym antykwariatem. W czterdziestym piątym. Wcześniej mieszkałam w Zatorze, potem w Limanowej u pewnego dentysty. Taki nowiutki dom na wzgórzu. A potem znowu w Zatorze.

Wypuścił ją przodem, ażeby raz jeszcze spojrzeć na nią, na szarość jej skromniutkiego płaszczyka, pończoch, na beret-potwór. „Nago o wiele, jest lepsza. Trudno wszakże, ażeby golotka chodziła po ulicy”.

W kamienicy pod numerem czterdziestym szóstym, w warsztacie szewskim pomimo niedzieli młotkiem w kopyto tłukł głośno Ernest Kleider, Niemiec, okulawiony pod Smoleńskiem podczas odwrotu, który nie wiedzieć dlaczego nie wyjechał jeszcze

na zachód, do starej ojczyzny. Z prawej pod czterdziestym, w jedynej nie wyłamanej dotąd bramie, zamkniętej zawsze na głucho, okutej świeżo blachą, stał wartownik z karabinem, strzegący wejścia do domu gminy żydowskiej: — Weg! Weg! — krzyknął w kierunku Korynta, rozmowy żadnej nie podjął, gdyż był na służbie i zresztą z trudem posługiwał się językiem polskim, chociaż pochodził spod Łucka. Miał chudą, wiecznie zasępioną twarz z semickimi obrzmieniami w powiekach i ciężkich wargach, z prawdziwą rozrzutnością ułożonych pomiędzy zapadłymi policzkami. — Cóż ty tu jeszcze robisz, człowieku? W ubiegłym tygodniu miałeś wyjechać do Ameryki — powiedział mu Tomasz.

Wartownik wzruszył obojętnie ramionami, nie umiał odpowiedzieć, dlaczego ciągle jeszcze siedzi we Wrocławiu. „Jeden tydzień, dwa tygodnie, trzy tygodnie, cztery tygodnie... wielka różnica!” A kiedy mówił, srożył twarz i jakby jadł za dwóch albo za trzech, tak młaskał zawzięcie grubymi wargami. Rozmawiać mógł, lecz tylko na odległość. Nigdy nie zezwalał Polakom na bliskie podchodzenie do pilnowanej przez niego bramy. Groził karabinem z gotowością tak niezręczną, tak przy tym zacieklą, że wątpić się nie dało, iż mógłby być niebezpieczny. I jak nie Żyd wrzeszczał nad wszelką potrzebą głośno:

— Weg, weg!

Tomasz spojrział w kierunku idącej wolno, lecz znacznie już oddalającej się dziewczyny i doznał zdziwienia. Raz tylko powiedział: „Idź, kochanie, nieco przodem, chciałbym popatrzeć na ciebie, jak z tyłu wyglądasz” i ona szła ciągle, kroczyła wolnym krokiem, jak gdyby zdradzającym obojętność do mało przyjaznych miejsc oraz do wielce niewdzięcznych ludzi, których porzucała.

„Niech idzie”. Tomasz wziął pod uwagę możliwość przyniesioną przez ową beznadziejną myśl, iż Merkana Panginis pójdzie przed siebie nie przystając i może się zgubi przynajmniej na ten wieczór lub może na zawsze? Raz jeszcze wyjrzał za nią. Nabral pewności, że jego domysły sprawdzają się. Merkana szła w kierunku ulicy Traugutta, nie patrząc wcale w tył, gdy wtem po drugiej, ciemniejszej stronie sklepionej wysoko bramy, ciągnącej się przez całą szerokość kamienicy pod czterdziestym drugim, wychylił się zesłany jak gdyby Tomaszowi specjalnie na tę chwilę drugi Żyd z karabinem, Cylek Mondszejn, którego nie stawiano nigdy na straży od frontu, zawsze od podwórza. Korynt wychylił się znowu z bramy, ukradkiem spojrział na odchodzącą spokojnie Merkanę, na jej wielki szary beret i szybko spytał Żyda z Łucka, tkwiącego w pobliżu:

— Czy to jest może Cylek?

— Czy to jest może Cylek? — powtórzył tamten z przewidującą ostrożnością, ażeby mieć niezaprzeczoną pewność tego, co słyszy, i tego, co powie. — To jest Cylek!

Za pasmem cienia w długiej sieni widać było jasną, szarozółtawą plamę światła, w której tkwił Cylek Mondszejn, jak gdyby na scenie.

— Masz swoją kobietę? — zapytał. — Skąd? Wczoraj jeszcze nikogo nie miałeś.

Tomasz powiedział, że to kuzynka z Krakowa. Mieli iść razem na imieniny, ale ona zdaje się zrezygnowała z imienin i poszła do cioci, która ma sklep z pewnym Polakiem do spółki, na placu Nankiera:

— Odezwałem się do niej: idź trochę do przodu, popatrzę na ciebie, czy dobrze wyglądasz. I ona, głupia, poszła prosto przed siebie. Idzie bez przerwy do tej pory...

— Może myśli, że ty ciągle idziesz za nią? Idzie i myśli: mój kuzyn z Wrocławia patrzy z tyłu, jak wyglądam.

— Gdyby pytała o mnie, to jej powiedz, niech przyjdzie jutro, najlepiej w południe. Zostawiła na górze walizkę — odezwał się Tomasz Korynt i myślał, że to jest bardzo

dobry sposób na pozbycie się przypadkowo spotkanej dziewczyny. Cóż za idiotyczny pomysł, aby ją prowadzić, nic o niej nie wiedząc, od razu na imieniny do Wiktora Caboteaux. Jutro ją przeprosi... A gdyby nawet czekała na niego tam gdzieś na skwerze, przy ulicy Słowackiego, może nie zauważony przebiec ścieżką prowadzącą przez ruiny na ulicę Mazowiecką i stamtąd przedostać się swobodnie w kierunku mostu Grunwaldzkiego.

Cylek Mondszajn cofnął się w głąb podwórka. Śmiał się subtelnie rozmarzonym, szeroką, otwartą twarzą świętego z ołtarza.

Przeznaczony do stanu kapłańskiego od dziecka i z tej przyczyny po urodzeniu nie wpisany do żadnych polskich ksiąg, jako uczciwy syn Izraela i przyszły wierny i czysty sługa Jahwe, uszedł z ziemi, na której zamienieni zostali w popiół i rzuceni na wiatr jego szlachetni rodzice, ukochani bracia i siostry. Dlaczego od nich odszedł? Ha, ha! Pytanie? Gdyż Cylek Mondszajn wołany był wielkim, anielskim głosem.

Stali właśnie spędzeni wcześniej rano w Warszawie, w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku i głos powiedział do niego: WSTAŃ, CYLEK, I CHODŹ! I Cylek Mondszajn nie wiedział, dlaczego miałby wstawać, gdyż wcale nie siedział ani nie leżał, wszakże odszedł od matki, która trzymała go za rękę; wyminął Niemców, bezpiecznie przeszedł obok wielkich owczarków alzackich. Osłonięty skrzydłami anioła schylił się pod opuszczoną rampą kolejową na Dworcu Gdańskim i czarno odziany w lekki, błyszczący chałat, w czarnym kepi na głowie, z pięknymi, kręconymi pejsami, spływającymi mu na ramiona, nie zatrzymany przez nikogo brnął kilka miesięcy bez przerwy, póki nie znalazł się w Tłumieniu, w dawnym, gubernialnym miasteczku w Syberii Zachodniej. Został poetą, gdyż już rabinem być nie chciał. Teraz po powrocie z dalekiej Syberii powiedział wszystko o sobie Żydom warszawskim i ci, zniechęceni, czym prędzej posłali go do Wrocławia, stwarzając nęcącą pokusę, dając mu wręcz możliwość natychmiastowego wyjazdu z Polski do Ameryki albo do Palestyny, bo co im było po śpiewaku? Lecz Cylek Mondszajn nie chciał na razie paszportu. prosił o mieszkanie.

Pieśni swe śpiewał głosem czystym wysokim jak flet i niczym dźwięk fletu działającym narkotycznie nie tylko na śpiewaka, lecz także na tych, którzy słuchali, sercem oddani poecie.

Ciasne podwórko domu gminy żydowskiej, sąsiadujące z kamienicą następną, pobrzmiwało wtedy wdzięcznym, uwodzicielskim echem, którym się śpiewak bawił. Lecz samo miejsce było ponure. Podwórko to sprawiało wrażenie studni lub komina, zawsze było starannie zamieciono i rozpaczliwie puste, jak bywają niektóre miejsca w obrębie więzienia. Wybetonowano je kiedyś równiutko bez skazy, z doskonale wymodelowanym spadem, ułatwiającym spływanie wody do ścieku, znajdującego się pośrodku i przykrytego okrągłą, żelazną kratą.

Ciągnęło tu jeszcze rzeźwym, zimowym chłodem, agresywną obcością tchnęła gładzizna pięciopiętrowych, wysokich, otynkowanych murów, przedziwnie ocalałych, wcale nie opadłych od dna podwórka biorąc aż po rynny i małe okienka na strychach pod nimi.

Merkana odeszła na dobre. Korynt raz jeszcze pobiegł upewnić się co do tego ostrożnym wyrzeniem z bramy na ulicę, a kiedy powrócił, Cylek Mondszajn roześmiał się, szczęśliwy, na powitanie tym swoim nieco wstydliwym, zalotnym jakby odwróceniem głowy oraz przymknięciem oczu, w których — zda się — igrała w nadmiarze radość obcowania z czyjąś wrażliwą, oddaną mu duszą.

Zaraz chciał zaśpiewać to, co ułożył wczoraj w nocy i dzisiaj rano.

— Będę się spieszył — powiedział do Korynta. — Ty nigdy nie masz dosyć czasu. Idziesz na imieniny? — Pospiesznie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął plik różnokolorowych kartek papieru zapisanych ołówkiem lub atramentem, owym gęstym, rojącym się przed oczami hebrajskim pismem składanym od prawej do lewej, niczym wystrzępiony ślad kminku pomieszanego z makiem.

Merkana ciągle jeszcze nie wracała i Cylek Mondszajn tego żałował;

— Mogłaby również posłuchać. Była nawet bardzo ładna. Tomasz przynaglił go ruchem ręki:

— Kiedyś ci to — dodał prędko — przełożę wszystkiutko na język polski. Zobaczysz, nauczę się jeszcze po hebrajsku. U mnie to szybko pójdzie dlatego, że od dzieciństwa wychowywałem się pomiędzy Żydami.

— To jest akurat jidysz. Nie to samo!

— Nauczę się jidysz! — wyrzucił z siebie Korynt. Śpiewaj, stary. Nie trać czasu!

Mondszajn uniósł białą kartkę papieru do oczu, niczym śpiewak kokieteryjnie trzymający przed sobą dobrze mu znaną partyturę, przymknął powieki i zrazu bardzo lekko, niczym najwspanialszy z kantorów zadał w nadspodziewanie wysoki ton, trafiając w niego bezbłędnie. Śpiewał dźwięcznym, ujmującym głosem, pewnie znajdując i bardzo niskie tony, następujące po sobie w zaskakującym porządku harmonii właściwej Wschodowi:

Miałem ongiś matkę,  
ojca,  
braci,  
i trzy jasne siostry,  
wujków i ciotek — nie zliczę...

Młodzi, niebu bluźniąc,  
przeciw Bogu powstałi,  
Starzy, utrudzeni własną nędzą,  
zawierzili się niebu..

O, miłosierne niebo...  
Tyś im wszystkim użyczyło grobu,  
na ziemi po nich ni śladu...

Tylko mnie  
za karę  
skazałeś na życie.

Nucił coraz cichszym głosem, który na koniec przeszedł w falset, szybujący wysoko, coraz wyżej, aż wreszcie zanikł na drżących, półotwartych ciągle wargach natchnionego śpiewaka.

O brzmieniu tylko mógł mówić Korynt, o niczym więcej:

— Fajne to jest. Dobrze się tego słucha.

— Szkoda, że nie ma twojej kuzynki z Krakowa — odezwał się Cylek Mondszajn.

— Ciekawe, co ona by powiedziała?

— Pięknie było. Urokliwie. Masz dar takiego śpiewania głosem wieków i plemion

pustynnych. Ty jesteś, Cylek, naprawdę nieprzeciętny!

— Cóż z tego? Swoi wcale nie chcą słuchać. Odmawiają nawet druku. Słyszałeś, że chcieli mnie wypchnąć za granicę? Do Ameryki.

— To ty się wypnij teraz na nich. Śpiewaj, bracie, komu innemu. Zawsze znajdziesz słuchaczy. Albo pośpiewaj i potem milcz! Wiesz, co znaczy śpiewak milczący? Wcześniej czy później ogarnie ich strach!!

— Napisz to kiedyś po polsku — rzekł nieco zawstydzony tyle już razy powtarzana prośbą. — Czy mi to napiszesz?

Tomasz przyrzekł, że napisze, przełoży na język polski wszystko, co Mondszajn napisał, każdą jego pieśń:

— Tylko nie dzisiaj, kochany. Idę na imieniny do kolegi z tego samego roku. Wiktor mu na imię.

— Z kuzynką idziesz? — zapytał Cylek i potem wyznał cichym, promiennym szeptem. — Piękną masz kuzynkę. Mieszka w Krakowie? Nigdy tam nie byłem. Czy może będzie studiować we Wrocławiu?

Zniecierpliwiony Tomasz Korynt zastygł naraz w szerokim, pożegnalnym geście rozłożonych ramion. Wolno obrócił oczy w kierunku, w który właśnie skierowało się napięte spojrzenie zmrużonych oczu Mondszajna. Twarz jego bladła, sztywniała, jakby na widok czegoś odrażającego.

Na środku podwórka ujrzał dużego, zwinnie poruszającego się szczura, który przez kratę położoną na otworze ściekowym ukazywał się zrazu tylko na mgnienie i równie szybko zniknął, aż wreszcie po wielu podobnych próbach spokojnie wychylił łeb przez jeden z otworów w kolistej, nadłamanej kracie. Szczur przewodnik szybko wy dostał się na wierzch prowadząc za sobą rojne, zbite ciasno, niespokojne stado, wylewające się z kanału niczym szara, piskliwa lawa zdolna zalać całe ciasne podwórko, wiodące do niego sienie, ulicę.

Ordzewiałe, nadłamane koło kraty kipiało bez przerwy od wciąż nowych, wypływających z głębi kanału spiczastych, wąsatych pysków. Wrzało już od łebków o małych, odrażających oczach i równie małych uszach, przepychających się z dołu, jak gdyby w najwyższej panice, której przyczyna tkwić mogła jedynie gdzieś w ziemi głęboko. Rojna, ohydna ciżba rosła, piętrzyła się coraz gęstsza.

W szczyrbie kraty ukazał się nagle pysk długi, ogromny, nie należący jak gdyby do szczura, lecz raczej do bardzo starej, osiwiałej już hieny, która króluje w tym oto miejscu i odbiera hołdy. Zbita i falująca w swym wnętrzu, rojąca się gęstwa dźwignęła raptem kratę, nieco ją nawet przesunęła, ku górze unosząc coraz wyżej wielkie monstrum opasłe i wyliniące, z przekrwioną skórą. Paniczna ciżba dźwigała potwora o siwym pysku. Był to szczur straszliwie rozrosły, przebrzydłe okrągły, tak przy tym odrażający przez swoją różową, przekrwioną goliznę ciała i sparszywiały ogon, że Cylek Mondszajn, przysłonił dłońmi oczy i naraz dostał szarpiących torsji, zdających się dławić krtań i w bólach rozrywać żołądek.

Zaś Korynt w przystępie odruchu wywołanego bliskim, zdawało mu się, nieodwołalnym zagrożeniem wiele nie myśląc wyrwał karabin z omdlałych prawej rąk Cylka Mondszajna, kciukiem przerzucił bezpiecznik, podniósł broń do oka, nacisnął spust, celując poprzez rojącą się gęstwę w osłaniane ciągle cielsko spotworniałego olbrzyma; posłyszał martwe klaśniecie iglicy, bez strzału. Nic więcej.

Zaskoczony, jak gdyby przeoczył coś bardzo prostego, błyskawicznie zarepetował karabin, pewny, iż tym razem rozlegnie się przynajmniej dostatecznie głośny, odstraszcający

huk, jeśli by nawet potwora nie trafił.

Karabin Mondszejna i teraz pozostał głuchy. Wcale nie był załadowany. Tomasz oparł go o mur. Oczami zaczął szukać czegoś, co z większym skutkiem mogło być użyte przeciw ohydnej powodzi rozlewającej się coraz szerzej.

Przy wejściu do sieni domu gminy żydowskiej stał słupek ocynkowanych, dużych wiader na śmieci, ułożonych jedno w drugim. Rozogniony ujął te wiadra u dołu w obie dłonie, dźwignął wysoko nad głowę, postąpił z nimi kilka kroków do przodu, zamachnął się z siłą i rzucił z wysoka, w sam środek obrzydliwego wulkanu. Straszliwy grzmot spadających wiader blaszanych rozległ się niczym raptowna eksplozja pośród martwych, wysokich murów kamienic. Korynt rzucił jeszcze jedno ostatnie wiadro, sięgnął po karabin. Zbliżył się do dławionego ciągle wymiotami Cyłka Mondszejna. Z trwogą w oczach patrzył na zadziwiający obraz oszołomionej łoskotem, odrażającej ciżby, która, zdjeta panicznym lękiem i nim sparaliżowana, z piskiem stanęła w jednej chwili na tylnych łapach, przednie unosząc ku górze i niczym w transie obracała się wkoło, jak gdyby w szaleńczym tańcu cierpienia i grozy.

Cylek stał błądy, obiema dłońmi wsparty o mur, z głową bezwładną, zwieszoną nisko pomiędzy wyrzuconymi do przodu ramionami. Korynt z uczuciem zawodu ponownie odwiódł zamek karabinu. Ujrzał pustą komorę bez jednego ładunku.

— Ani nawet ślepej amunicji wam nie dają?

— Nie — odparł. — Straszymy tylko samymi karabinami.

— Idź, napij się wody. Zostawmy to świństwo, uciekajmy stąd czym prędzej! — powiedział Tomasz. A Mondszejn rzekł:

— Jeszcze nie widziałem czegoś podobnego, choć byłem nawet za Uralem! Stoję tu od miesięcy, dwa razy dziennie i dwa razy w nocy.

Szczury oszołomione hałasem zaczęły umykać z podwórka przez kratę otworu ściekowego. Szara, piszcząca bez przerwy mątwą łebków i ogonów malała gwałtownie, spływając coraz niżej i to podkusiło nagle Korynta, by jej ucieczkę przyspieszyć i wreszcie doznać ulgi.

Z zębami zaciętymi, pobladły, na nowo gniewnie zawzięty ujął broń Cyłka Mondszejna opartą o ścianę, dłonie zacisnął na lufie, wznosił ramiona przed sobą, jak tylko mógł najwyżej, wolno podszedł do okrągłej kraty położonej na otworze ścieku i kolbą zaczął ze wszystkich sił miażdżyć umykające szare grzbiety, pyski z ostrymi, drobnymi zębami, wydające gwałtownie wzniesiony pisk trwogi, walczące zajadle z żelazem, które je zabijało. Szczury wiły się, piszczały, nie chciały jednak ustąpić aż do chwili, póki pod kratą ścieku nie zniknął strzeżony przez nie olbrzym-potwór.

Pod murem Cylek Mondszejn kulił się w sobie złamany w pół, wstrząsany drgawkami. Tomasz zaś uczył naraz, iż to, co robi z takim straszliwym wysiłkiem, wcale nie odzęgkuje grozy i nie odsuwa jej, ale przeciwnie jak gdyby jeszcze potęguje. Szczury rozjuszone bólem, zapachem krwi, instynktownie parły na powrót ku górze.

Korynt cofnął się nagle o krok z omdlałymi już ramionami i mocno zdyszany. Obrócił głowę w tył z myślą o ucieczce, gdy wtem uczył, jak siła jakaś obca przyłgnęła do jego nóg i uwięziła go niesamowitym doznaniem strachu i groźną świadomością, że utknął w potrzasku. Zatchnęło go w piersiach; z największym wysiłkiem cofnął się jeszcze do tyłu i naraz zupełnie obezwładnił go widok nowej, wylewającej się przez kratę ohydnej masy szarych, wyostrzonych pysków z drobnymi zębami.

Trwożliwe przypuszczenie, iż w groźnej lawie pojawiły się teraz inne jakieś stworzenia, stokroć więcej niebezpieczne, na nowo podcięło Tomasza Korynta. Działo

się tak na skutek wcale nie urojonego doznania bliskiej obecności czegoś obrzydliwie czepiającego się jego piersi i skaczącego mu do gardła. W ślepych, panicznym szamotaniu odrzucił karabin. W pośpiechu zaczął strącać z siebie drapieżnych, rozjuszonych napastników. Cofał się instynktownie, uciekał ze środka podwórka, gdzie wylewała się ciągle na wierzchołki atakująca go z furią splątana nawałnica.

Mondszejn stał przy murze półżywy, odwracał oczy, aby niczego nie widzieć. Tomasz uciekał coraz szybciej i naraz w poczuciu straszliwej beznadziei, nie wiedząc, kogo prosić o pomoc i kogo przyzywać, wezwał ją rozpaczliwie. Wołał dziewczynę, która odeszła. Strącał szczury wspinające się po nim, skaczące mu do gardła, wzywał nieludzko:

— Merkana! Merkana! Mer-ka-na!

Ona w tej samej chwili weszła, z ulicy Krasieńskiego do sieni. Przybiegła do niego. Śmiało strąciła dłonią z karku i z pleców Tomasza wążące na niego ze wszystkich stron szczury.

— No! No! — krzyknęła pogodnie. — No! No!

Groza zniknęła w okamgnieniu, jakby jej nigdy nie było. Mrowie szczurze zapadło się z powrotem w zakratowany otwór ściekowy i Tomasz Korynt zawstydził się nagle. Nawet ona się roześmiała.

— W co ty się wdajesz, mój drogi? Napadły cię? Sądziłam, że idziesz za mną. Na przyszłość tylko tupnij mocno nogą o ziemię. To niezawodny sposób na nie!

— Było ich tysiące — rzekł usiłując mimowolnie uśmiechać się podobnie jak ona.

— Cały jestem pogryziony. — Uniósł dłonie nakłute w wielu miejscach krwawymi punktami. Piekły go również twarz i kark. Skłute i pogryzione były nogi. — Tamten człowiek wszystko widział. Możesz go zapytać. Powiedz, Cylek!

Mondszejn milczał oparty na karabinie. Twarz miał bladą, lecz już przytomną, ożywioną widokiem dziewczyny nieobojętnej mu widać wcale od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał.

— Mieliście nawet karabin! — zaśmiała się głośno. — Trzeba było do nich strzelać!

— Karabin, ale bez naboji! — powiedział z nieznacznym wyrzutem Tomasz Korynt.

— Nam nie dają — Cylek usprawiedliwiał się wypruty z sił. — Dzisiaj raczej zabierają naboje każdemu.

— Jeżeli nie strzelać, to trzeba tupać głośno nogami o ziemię! — Śmiejący głos Merkany zabrzmiał niezwykle donośnie, odbity kładącymi się na siebie kłaśnięciami w echowym podwórku.

— Ja jestem tylko śpiewak — usprawiedliwił się zawstydzony Cylek Mondszejn. — Ja nic nie mogłem zrobić!

— A ty, mój drogi panie? — Menkana spojrzała na Tomasza Korynta. — Ty raczej nie jesteś śpiewak!

— Tak myślisz? — zapytał płacąc ironią za ironię. Mondszejn wybuchnął niespodziewanie rozżalonym głosem, jak gdyby przypuszczał, iż wszystko obraca się przeciw niemu:

— Czy ty myślisz, dziewczyno, że ja mówię o sobie śpiewak, by nie powiedzieć Żyd?

Merkana zagarnęła pod ramię otrząsającego się ciągle z obrzydzeniem Tomasza Korynta, który szedł jakby na cudzych nogach, w nie swojej skórze.

— Jestem śpiewakiem, niczym więcej! — wykrzyknął za nimi Cylek Mondszejn. — Co ja, biedny, mogłem zrobić?

Gdy już znaleźli się na ulicy, Merkana Panginis powiedziała do Korynta- bezwzględnie

szczerym i należycie obojętnym głosem, że nie jest tak głupia, jak on może myśleć, powieści nie pisze, to prawda, nie odbywa wielkich studiów na uniwersytecie, lecz tyle rozumie, do czego on zmierzał, że chciał się jej pozbyć. Wypuścił ją przed siebie, ażeby szła i może zginęła, zabłądziła w zupełnie obcym sobie mieście. Czymże by innym wyjaśnić, że zamiast iść za nią zawrócił do bramy, skrył się w niej, a potem poszedł dalej na to fatalne podwórko:

— Czy więc w tej sytuacji, mój drogi panie, nie powinnam raczej natychmiast wrócić na górę po walizkę, którą u ciebie zostawiłam? Czy mi wypada akurat z tobą iść na imieniny do człowieka, którego także nie znam? Jeżeli naprawdę nie wiesz, jak się mnie pozbyć, co ze mną zrobić, to powiedz o tym wprost.

Zaczął ją przeproszać, tłumaczył, jak to należy rozumieć:

— Bądźże choć trochę dzisiejsza, dziewczyno! Na miłość boską! Małżeństwa ci przecie nie obiecywałem! Tylko mówiłem, że możesz być u mnie, jak długo tylko zechcesz. Podobasz mi się bardzo, temu nie przeczę! Dlaczego mówisz, że chcę się ciebie pozbyć? Wcale nie muszę!

Uniosła się przez moment, lecz zaraz pokazała, jak umie doskonale panować nad sobą.

— Podobam ci się? Tylko tyle? Przrzekałeś mi wiele więcej. Ja o tym pamiętam.

Odezwał się, ażeby chociaż przez chwilę zajęła się również nim. Ma ciągle siebie wyłącznie na myśli. A jego coraz dotkliwiej piekło ogniem całe ciało od góry do dołu. Czuł bolesne swędzenie na nogach, na szyi, na plecach i nawet na brzuchu.

Plamki krwi zasychały na jego dłoniach, odczuwał niemiłe ściąganie się skóry. Powinien natychmiast umyć ręce i twarz.

— Iść trzeba najpierw do lekarza, nie na imieniny. Czy słyszysz, gdzie trzeba iść?

Kroczyli szybko, chwilami bieгли, lecz pośpiech przestał nagle służyć Tomaszowi, oblewał go ogniem, sprawiał, że brakowało mu powietrza w płucach.

— Przesadą byłoby może pchać się od razu do lekarza, w niedzielę wieczorem — powiedział do Merkany.

U Wiktora Caboteaux znajdzie się chociażby jeden medyk ze starszego roku. Tomasz Korynt poradzi się u niego, jak tylko zajdą na miejsce.

Za mostem Grunwaldzkim stanęli na moment, ażeby sprawdzić, czy może zaczerwienione, nakłute miejsca puchną. Nie puchną. To dobrze. Podobne ugryzienia mogą być nawet zupełnie niegroźne. Tak może być. Gdy przyjdą na miejsce, Tomasz umyje sobie najpierw ręce i twarz bardzo ciepłą wodą z mydłem, a potem każe sobie nalać jeden kielich albo od razu dwa, jeden po drugim i oba wypije. Lub nawet wypije trzy. Alkohol, rzecz to wiadoma, wszystko dezynfekuje niezwykle skutecznie i może w porę odsunąć chorobę, jeśliby groziła.

— Wódka to dobra rzecz na takie przypadki — powiedziała Merkana. — Przyjdziemy na miejsce, to sobie wypijesz.

— Więc chodź!

Rychło znaleźli się wśród ruin, a potem wśród wielkiej pustki na skraju placu Grunwaldzkiego.

Po wschodniej stronie widać było nieco jeszcze po zimowemu rozpostarte białe światło, dające wrażenie surowej lodowatości. Przed nimi na prawo sterczały ruiny wysokie na kilka pięter, podobne gigantycznym, pustym szafom przeraźliwie otwartym na zatrwożony ciągle świat. Tę nieludzko pustą ulicę nazwał ktoś z polskich pionierów z Wilna albo ze Lwowa imieniem Hoene-Wrońskiego.

Zdążali ku miejscu zaskakującemu ładem architektury ocalałej wśród ruin, zabudową położoną w zieleni wysokich drzew, wcale już jakby nie pamiętających ognia i wielkanocnych bombardowań w czterdziestym piątym.

Wiktor Caboteaux mieszkał przy otwierającej się przed nimi ulicy Marii Curie-Skłodowskiej, tuż nad sklepem Bratniej Pomocy Akademickiej, blisko Kliniki Chorób Wewnętrznych Wydziału Lekarskiego uniwersytetu, leżących po przeciwnej stronie w kompleksie budynków z czerwonej cegły, położonych za wysokim, ozdobnym ogrodzeniem żelaznym.

[*Jak krótkie lato.* Warszawa 1980]

# Antykwariat przy ulicy Barbarossy

## I

Nie byłoby lepiej, ale na pewno byłoby trafniej, gdyby Vogtmann i jego jasnowłosa córka żyć mogli w mrocznych ruinach przy blasku dogasającej świecy. Tymczasem w antykwariacie, a już szczególnie w magazynie, mieszczącym się za sklepem, panował nastrój nieco cyrkowy i coś tu prosiło o melodię katarynki lub dźwięk trąbki z fletem. Słowem budziło się pragnienie, aby obraz został uzupełniony w zgodzie z nastrojem wywoływanym przez rzeczy. Oczekiwało się po prostu głosu smętnej wesołości.

W magazynie, przypominającym teatr po katastrofie, albo też raczej wielce obłąkaną kompozycję, czerwienił się plusz, lśniła czerń i brąz politur starych mebli, wiekowe forniry koloru wosku i miodu budziły najrzewniejsze ze wspomnień, wabiły oczy inkrustacje i złocenia, przykuwały uwagę rzeczy maleńkie i rzeczy potwory, pośród których zawieszono tkwiły wysoko klatki dla papug, niektóre monstrialne, zbudowane co najmniej na kształt bazylik wschodu, zdawałyby się, klatki nie ptasie, lecz królewskie.

Wszystko starzyzna bez większej wartości. Zależy zresztą jak dla kogo. Może raczej intensywne wspomnienie po minionym dawno życiu, nie wolne wszakże od grozy, jeśli zważyć, iż na wszystkim co znajdowało się w magazynie Vogtmanna, znać było ślady ognia oraz szaleńczego gwałtu, jaki zdolny jest zadać człowiek najmisterniejszym nawet przedmiotom.

Wśród tego to żyła Ingelid, córka antykwariusza, pospołu z rupieciami zamknięta przez gniew ojca. Coś tu dotyczyło także i jej. Przywodziła bowiem na myśl posąg strącony brutalnie z cokółu, upodobniona przy tym z postaci do zbuntowanego anioła z obojętnością znoszącego monotonię cierpienia za grzech, z obojętnością, bo bez skruchy i żalu.

Tkwiła w niej piękność tego rodzaju, że nie sposób było obwiniać ją o cokolwiek, a cóż dopiero karać. Gdyby można było wyobrazić sobie świat i taką na nim sprawiedliwość, dla której piękno ciała wystarczającym byłoby, dowodem czystości serca i sumienia, wtedy na widok jej odstonionych piersi zamilkłby najbardziej zawzięty oskarżyciel i nie jest wykluczone, że miałby powody, by poczuć nawet wstręt do siebie. Lecz nie wzdrygnął się wcale ten, którego nazywała ojcem i jak to bywa, uroda grzesznej córki podjudziła go do tym większej surowości.

Niech to nikogo nie dziwi. Przyroda, w swych surowych prawach, posuwających się nieraz do mściwej zawziętości, może oślepić oczy i serca ludzi, których wcześniej, choćby tylko z pozoru uczyniła ojcami.

Strzeżona od miesiący Ingelid nie opuszczała magazynu. Tapczan, na którym leżała, czuć było jeszcze spalenizną, choć to już wiele lat minęło od wielkiego pożaru. Kołdra zdawała się tlić ciągle utajonym żarem i z czarnych dziur sypała się pokruszona, niemiecka

wata z drzewa.

Oczy Vogtmanna zaśmiały się mimo woli. Uśmiechał się zawsze ile razy ze sklepu wchodził do pokoju, który był składem i mieszkaniem Ingelid. Lubił mieć różne rzeczy w domu. Miał serce do starzyny.

Wyciągnął szufladę fryderycjańskiej komódki, czucie i uwagę obróciwszy na to, aby czego nie uszkodzić. Komódka nie miała nóg, zachowała głębokie ślady po uderzeniach siekierą. Vogtmann powiedział kiedyś:

— Niechby ciął skoro musiał. Ale dlaczego tak mocno. Przecież to komoda!

W szufladzie pełno było kolorowych świec. Antykwariusz wybrał kilka barwionych na żółto i wsunął je ostrożnie do kieszeni. Nagle uniósł wielką, wydłużoną głowę, zastygł nasłuchujący, nie dowierzając panującej ciszy. Najczęściej przerażało go milczenie Ingelid. Nie znosił doznań i myśli z tym związanych, choć wiedział, że nic już nie może się dziać inaczej. Nauczył się rozróżniać kiedy ona milczy zwyczajnie, a kiedy wysiła zniechęcone serce.

— O czym tak myślisz? — rzekł. — Dlaczego nic nie mówisz?

— Nie masz głowy, żeby uwierzyć w moje myśli — odparła. — Oddaj mi sukienki. Pójdę gdzie mnie oczy poniosą.

Vogtmann z trudem łapał oddech, nakazując sobie spokój. Dłonie trzymał podniesione wysoko, gestem na pół obrońnym, wyrażającym jakby żywo powracające w pamięci wstyd i rozpacz. Rzekł pod lawiną przypomnień:

— Gdzie chcesz iść? Dokąd? — Jeszcze w nim nie wygasł zapiekły gniew. Z żalu nad sobą byłby w stanie uczynić z nią nie wiedzieć co. — Cóрко! Miej litość. Jestem starym, sponiewieranym Niemcem.

— Prze-śni-że! — wyskandowała, zgarniając włosy z czoła. — Nie mogę słuchać, kiedy mówisz, że jesteś Niemcem. Nie wie kto?

— Zaczynam wątpić kto ciebie wychował — mówił gorzko. — Ja czy może kto inny? Masz inne serce, nie niemieckie! Skąd je masz? Ty nienawidzisz ojca!

Milczała.

— Dawniej — ciągnął — nigdy nie stosowałem wobec ciebie przemocy. Dobrze wiesz. I gdybyś dziś wiedziała dokąd pójdziesz i po co, no to idź: Ale ty nie wiesz. Znowu wpadniesz w ręce policji.

— Nie wpadnę — powiedziała z przekonaniem i takim głosem, którym u ludzi bardzo młodych z gorliwością godną lepszej sprawy przemawia zupełny brak poczucia odpowiedzialności. — Naprawdę nie wpadnę. Sam się przekonasz. Dlaczego nie chcesz się przekonać?

— Chyba że uciekniesz stąd? — zapytał. — Gdzie? Powiedz lepiej otwarcie, że nienawidzisz Niemców!

— Nie wyjeżdżaj z nienawiścią — rzuciła słowami z uśmiechem. — Dlaczego wmawiasz mi nienawiść do Niemców? Co tobie jest?

— Śmiejesz się, idiotko! — naskoczył pogardliwie.

— Wcale się nie śmieję.

— Śmiej się, idiotko, z własnego narodu, z własnego ojca: — Vogtmann ożywił się naraz, nie do poznania zmienił twarz. — Są między nami tysiące ludzi, którym wiele jeszcze trzeba wynagrodzić. Możesz się śmiać! Ja jestem takim człowiekiem, któremu trzeba wszystko wynagrodzić!

— Do mnie przychodzisz? — przerwała mu skrzywiona, otwarcie powątpiewając w powodzenie każdego wysiłku, jaki by trzeba włożyć w przekonywanie go o sprawach,

którymi był opętany. — Cóż ja mogę? On chce, żeby dziewczyna...

Powiedziała to do siebie. Miała popisowe kwestie w dialogu z nim. Paluszek unosiła wtedy w górę.

— Możesz!!! — zawołał z siłą. — Ty dużo możesz: Możesz nie hańbic mojego dobrego imienia! Jestem starym człowiekiem. Starym zrujnowanym Niemcem.

— Byliście dobrymi Niemcami — podjęła raptownie, wpadając naśladowczo w jego ton. Mówiła jednakże z odcieniem znudzenia, jak gdyby miała przed sobą wariata, z którym dla miłej zgody, lepiej iść dobrowolnie do źródeł jego szaleństwa. — Ty byłeś... — ciągnęła wytrzymując jego bezgraniczne zdumienie. — Więc ty byłeś dobrym Niemcem, pan Thiele, poeta twojej młodości, pan Krause, genialny artysta, który rzeźbił robotników, kobiety i niemieckie dzieci. Resztę dobrych Iwan wystrzelał pod Stalingradem.

Skończyła nie patrząc na niego, zajęta wyskubywaniem drewnianych wiórek z kołdry, jakby obcowała z człowiekiem niepoczytalnym ale niegroźnym, który i tak nie doceni, że się na niego patrzy.

Vogtmann stał skamieniały. Znowu wpadł w zasadzkę, którą mu zgotowała. Stoczył się tam jakby siłą bezwładu.

Bardzo trudno, wręcz niemożliwością jest przekonać o normalnym stanie swego umysłu kogoś głęboko przekonanego, że jest inaczej. W pierwszej chwili chciał ją uderzyć w twarz. Tamto jednakże było silniejsze. Jeśli jeszcze nie był wariatem, to się nim stawał w takich właśnie chwilach, kiedy ją przekonywał o swoim najnormalniejszym w świecie stanie.

— Tylko nieszczęście zrobiło z nas to czym jesteśmy. — Mówił do niej, że wszystko, wszyścusięńko stracił. Mówił o sercu i o duszy. Czy pamięta jak wszystko zdeptano? Dlaczego wszystko zdeptano? Po raz tysięczny przedstawiał jej coś na przykładzie własnym i życiu pana Alberta Krausego, którego opluto w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, bo kogoś trzeba było opluć, żeby wszyscy mogli zacząć mówić co innego. — Ale najpierw nas wygnano! Słyszysz, idiotko? Wygnali nas z własnych domów. Przepadły milionowe majątki!

— No dobrze... — powiedziała z ożywieniem i gestykulując dla podkreślenia momentu, w którym zrozumiała ważność epokowego problemu. — Rocznik czterdziesty trzeci uczył się o tym w szkole. Wiem wszystko. Czytam gazety. Ale dlaczego wy, mój drogi szczerze teraz do zlewu w kuchni zamiast iść do wychodka?

Antykwariusz zamieniał się w drewno. Został rażony niespodzianie. Doznał uczucia zupełnej nicości, czuł nieodparcie, jak przez otwór w głowie sypał się w niego gorący piasek. Poddawał się dzikim myślom, ale w pierwszej sekundzie jaśniejszego poczucia, za najpotrzebniejsze uznał powtórnie bronić się przed podejrzeniami, że jest chory na umyśle.

— Co ty, dziecko — bąkał. — Co ty mówisz? Naprawdę myślisz, że ja... — To znowu gubiło go jeszcze bardziej, i ona odpowiedziała krótko:

— Ale skąd. Jesteś normalny!

Gdyby było z nim istotnie źle, nie obchodziłoby go przecie, czy ona to widzi i co o tym myśli.

Ingelid położyła się na wznak i podciągnęła kolana. W najwyższym skupieniu przyglądała się paznokciom u rąk.

Vogtmann przysłonił dłońmi starą twarz. Odwrócił się, wyszedł wolno.

Wiedziała widocznie, jak ją kocha i tego nadużywała. Albo co równie możliwe, choć nie wypada tego twierdzić stanowczo, Vogtmann od strony umysłu biorąc, musiał być

istotnie nie bardzo w porządku. O nikim zresztą nie można tego wiedzieć na pewno.

Nie tyle skromniej, ile bezpieczniejsze jest zawsze wątpić a najrozumniej jest powstrzymać się od sądu.

Ingelid przyknęła oczy, zatrzymując pod powiekami beznadziejne spojrzenie starca. Gdybyż mogła znać jego myśli.

Były stokroć gorsze niż sobie to wyobrażała.

Dawniej żył tylko myślami o niej. Gorąco pragnął być jej prawdziwym ojcem. A kimże stała się ona?

W jesieni czterdziestego czwartego roku znaleziono ją na dworcu we Wrocławiu. Miała jeden roczek. Dziecko z państwowego zakładu dla dzieci, który ewakuowano z pogranicza Polski. Poznali to po znakowaniu na bieliźnie. Ktoś ją pewnie wyprowadził z pociągu, albo co równie możliwe, wypadła, bo z jakiejże przyczyny mogłaby zostać wyrzucona?

Vogtmann adoptował ją, dał nazwisko, uczynił córką. Żona jego Klara była bezpłodna. Wiele lat chorowała na tym tle, znosząc niewypowiedziane męki. Jako bezdzietni dostali wprawdzie urzędowy nakaz wzięcia dziecka na jakiś czas, ale to nie miało znaczenia.

Klara chorowała wtedy bardzo ciężko i on uzmysłowił sobie, jak to w takich razach, że jest już stary i przeląkł się samotności, której widmo stawało mu przed oczami. Klara umarła. I cóżby zrobił, gdyby nie maleńka Ingelid? Nie miałby nawet komu zostawić majątku. Przez głowę mu nie przeszło, że może majątek stracić. Zaprzętał go jedynie sposób, w jaki powinien ratować małą Ingelid, na wypadek najgorszego.

Bardzo szybko doszło do tego i wywiózł ją do Berlina. Sądził, że robi to odpowiednio wcześniej, ale się pomylił. Kiedy chciał wracać do Wrocławia, żeby trwać przy swoim, już było za późno. Pociągiem, który dziwnym trafem nie przystanął ani razu, dojechał do Meseritz i musiał zawrócić. Na pastwę ognia zostawił we Wrocławiu dom i jeden z bogatszych antykwariatów w Europie.

Miłość do Ingelid sprawiła, że zrazu nie czuł ciosów. Nie obchodziła go nawet klęska Niemiec. Wielu Niemców potwierdzi, że bezpieczniejsze było wtedy nie interesować się tym wcale. Vogtmann głodował przez kilka pierwszych lat i było mu to właściwie obojętne. Mógł głodować zawsze. Żal i zmory dręczące myśli opanowały go dopiero później, kiedy zauważył, że jedni zawsze mogą wszystko i im wychodzi, a drugim nic się nie udaje.

Dzięki Ingelid stanął jako tako na nogach. Dlatego, że pracował tylko dla niej, dla nikogo więcej.

Wzruszało go, że Ingelid chodzi do szkoły i mówi śmiesznym berlińskim akcentem. Z uporem kładł w jej młode serce swe gorzkie tęsknoty, całą przeszłość, której nie mógł darować. Dbał, aby w niej nie ocalał ani skrawek miejsca, który by obrócono na co innego lub zajęto na inne uczucia.

Uwikłał się w jednostronności i nawet nie spostrzegł kiedy dojrzała. Nie zrozumiał jej wstydu, strachu i skargi. Stało się to bardzo szybko. Przedwcześnie. Nic dziwnego. Tyle widziała. Ale że się tym nie zainteresował w odpowiednim czasie?

Odmieniło ją w ciągu kilku tygodni. Rozkwitła cicho, niemniej gwałtownie. Kiedy potem próbował patrzeć na nią jak dawniej, zamykała szczelnie oczy. Jakiś czas uśmiechała się gorzko, odkrywając zapewne, że oprócz wielu znanych uczuć jest jeszcze inne, niewytłumaczona pogarda do wszystkiego i wszystkich.

Lecz już wcześniej mimo dobroci i oddania, jakimi ją darzył, okresami żyła w niewytłumaczonej pustce.

Tęskniła za czymś w obcy sposób, Vogtmannowi nieznanym. Zawzięcie dochodził skąd

się to w niej bierze. Podpatrywał niespokojny jak ona patrzy godzinami w przestrzeń, jak wzdycha. Ileż czasu mogła trwać nieruchomo w oknie. Ale kiedy napomykał o tym w rozmowie, płakała. Mówiła po niemiecku przepięknie, lecz i to w niej jak gdyby dziwiło. Ingelid miała duszę skrytą, niewiadomą.

W końcu uciekła z domu, choć nie było najmniejszego nawet powodu, aby opuszczała kochającego ojca i to bez słowa. Poszła do piekarni i więcej nie wróciła. Widocznie obce jej było wszystko, co czuje dziecko.

Nie widział jej przez cały rok, ale mu o niej mówiono. Ingelid zasłynęła w Berlinie. Nienajlepsza to była sława dla niemieckiej dziewczyny. Widywano ją z cudzoziemcami, przepadała za mężczyznami słowiańskiego pochodzenia. Lecz, że ci byli rzadkością i przyjeżdżali do Berlina na krótko, lub tylko zatrzymywali się w drodze do Paryża, przebywała najczęściej w towarzystwie angielskich i francuskich żołnierzy, z garnizonów okupacyjnych. Opowiadano, że Niemiec jej jeszcze nie dotknął.

Miała wtedy piętnaście lat. Ubierała się na czarno a mimo to nazywano ją aniołem. Zapewne dla przejasných włosów. Realność tej dziwnej a tak zachwycającej postaci, potwierdziłoby wielu Polaków, którzy szczerze się nią interesowali.

Vogtmann mógł ją odszukać i sprowadzić do domu. Postąpiłby tak każdy ojciec. Antykwariusza powstrzymywało jednak przypuszczenie, że ona już wie kim jest i nie miał odwagi podnosić swych ojcowskich uprawnień. Prawdę mówiąc zwątpił poważnie, czy Ingelid jest niemieckim dzieckiem. Reszta narzuciła się automatycznie. Co takie obce w niej, czyż tym nie była krew słowiańska? Cóżby innego. Szczerze tym gardził nawet dawniej, kiedy nie było tyle powodów.

Wreszcie odzyskał Ingelid niespodzianie. Przeprowadziła ją do domu policja. Nieprawdopodobnie schudła. I ją widocznie ostatnio sponiewierali gdzieś niegodnie.

Wcale nie wiedziała, że Vogtmann nie jest jej prawdziwym ojcem. To by się teraz pokazało. Zznałaby przed policją, byłaby to dla niej zbyt ważna okoliczność.

Nigdy jeszcze nie widział u niej tyle dumy. Bez drgnienia powiek patrzyła w przeraźliwie otwarte oczy Vogtmanna. W oczy ojca.

A jednak doznał pewnej pociechy, bardzo przy tym żalösnej, kiedy policjanci zapytali, czy to jego córka. Jeśli jego, niech ją sobie zabiera. Zdziwiło ich jednak, że jest już taki stary. Współczuli, lecz to więcej oznaczało, że go ostrzegają na przyszłość. Nie było innego wyjścia, musiał zapłacić, przesadnie w tym przypadku wysoki mandat karny za „niedbałe pełnienie obowiązków rodzicielskich”.

Kazał jej się rozebrać, zamknął bieliznę i sukienki, aby już nigdy nie mogła uciec. Oślepiiony gniewem bił ją póki nie omdlała pod mściwymi razami pięści.

Zatłukł w niej co mogłoby jeszcze kiedyś żyć i aż im było dziwno, że choć byli sobie tacy bliscy, nie mogą się już ani rozpoznać, ani myśleć o sobie spokojnie, bez nienawiści maskowanej wyczekującą obojętnością.

Vogtmann nie wzdragał się przypuszczać do wyobraźni obrazów najmściwszych i w myślach był wobec niej bezlitośnie okrutny. Lecz milczał, nie mówił kim była. Czyżby miał jeszcze nadzieję?

## II

Tego wieczoru Vogtmann zamknął sklep wcześniej niż zwykle. Był to dzień jego urodzin. Ciemną kotarą zasłonił na noc oszklone drzwi i zaczął obliczać kasę.

Sklep jego był wąski a przy tym długi, sprawiał wrażenie pewnej mimo wszystko

obszerności. Na ścianach pokrytych zielonkawą tapetą, wisały maski pośmiertne niemieckich muzyków i pisarzy, dwa obrazy Zuegela oba w granatowym tonie, Slevogt, Corinth i Dettmanna *Zdychający koń*. Samo tylko płótno bez ram, znacznie zresztą uszkodzone.

Na półkach stało trochę starodruków, przeważnie biblie oraz modlitewniki luterzańskie, obok książek pisarzy niemieckich ze Śląska, wśród których ze szczególnym pietyzmem eksponowani byli Eichendorff i Gerhart Hauptmann. We wnękach pomiędzy regałami wisały rekwizyty teatralne, peruki, wąsy, sztuczne nosy, staromodne maski balowe, lampiony, słowem wszystko poniewierające się u handlarzy starzyzną na całym świecie. Antykwariat Vogtmanna nie prosperował najlepiej, tym bardziej więc musiał mieć wszystko.

W gablotkach na całej długości lady sklepowej leżał brąz, stare srebro, naczynia cynowe, oraz ulubione w Niemczech artystyczne szkło, mizerne zresztą w wyglądzie. Ozdobą lady w antykwariacie były sztylety i noże, spora ich kolekcja, okutych w srebro i złoto. Były i najprostsze oprawne w drzewo lub skórę.

Vogtmann sprzedawał także widokówki z Wrocławia, Opola, Brzegu, Legnicy i nawet z nadwiślańskiego Krakowa. W szufladzie, bez czego być nie mogło, przechowywał albumy z fotografiami pięknych kobiet z Hamburga, Paryża i Londynu. Nigdy nie tracące aktualności obrazki kupowali wszyscy: chłopcy, dziewczęta, osoby duchowne i mężowie stanu. Nagość ludzka i wszystko możliwe, czego tylko da się dokonać w związku z nią, jak dawniej tak i dzisiaj cieszyła się nie słabącym popytem.

Vogtmann był zmyślnym antykwariuszem, także zewnętrznie reprezentował typ człowieka uformowanego wyłącznie do wykonywania tego właśnie zawodu. Przedmioty, po które nikt by się nie schylił, choćby i leżały na ulicy, jeżeli się już znalazły w antykwariacie Vogtmanna, nabierały swoistej wartości i blasku by nie rzec, stawały się bezcenne. Tajemnica leżała w tym, iż sylwetka Vogtmanna, jego wygląd, rysy twarzy i magicznie powściągliwe ruchy, prawdopodobną czyniły i osobiwą autentyczność wszystkiego co posiadał. Rzecz każda wzięta z jego rąk, zdawała się pochodzić z regionów tajemnej dotąd dziwności, strzeżonych jakby osobiście przez Vogtmanna i przez niego odkrytych. On sam cichy i monstualny robił wrażenie również pochodzącego stamtąd.

Sława Vogtmanna ugruntowana była na całej ulicy Barbarossy i z tych samych powodów trochę od niego stroniono. Był z tych ludzi nierzeczywistych, których piętnuje wygląd lub zawód, na przykład zawód dozorczy w krematorium. Vogtmanna piętnował wygląd. Zjawisko samo w sobie niesprawiedliwe. Otaczano go szacunkiem, ale przyspieszano kroku, kiedy chciał korzystać z przywileju człowieka szanowanego.

W antykwariacie po przeciwległej stronie okna wystawowego i drzwi, tuż pod ścianą, widać było okrągły stół przykryty czerwonym pluszem, przy którym Vogtmann spędzał wieczory. Tu na zdartych fotelach fryderycjańskich przysiadali z nim ludzie uważani za najbliższych przyjaciół. Byli to wspomniani już panowie: Thiele i Krause, mężczyźni z owego pokolenia, dla których nic już nie miało znaczenia, prócz rozmów o tym co było kiedyś, dawniej.

Wieczorem antykwariat oświetlała jedynie żarówka z okna wystawowego, paląca się zresztą przez całą noc. Jaśniało stamtąd na sufit zza osłoniętych wysoko szyb i przez to więcej niepokojący wydawał się mrok leżący w kątach.

W zamkniętym sklepie, Vogtmann trwał niczym pod działaniem narkotyku, jak gdyby w ogóle nie istniał za dnia i najintensywniej czuł życie dopiero w nocy. Stał wtedy, jak mógł najciszej, sprawując swe tajemne panowanie nad rzeczami zgromadzonymi

w antykwariacie. Należało to do obrządku nie tylko takich dni jak dzisiejszy. A zresztą w Berlinie czuł się fatalnie, najgorzej jak tylko czuć się można nie we własnym domu. Potem doszły do tego inne względy, wśród których wiele znaczyła Ingelid.

Szczególnie dzisiaj nie chciał się niczym zdradzić przed nią. Uważnie wyciągnął kutą tacę z miedzi, przechowywaną głęboko pod ladą i położył ją na miękkim pluszu pośrodku stołu. Na tacy ustawił sześć złotych świec. Kończył właśnie sześćdziesiątkę i z przeliczenia wypadło po jednej świeczce na każdy dziesiątek lat. Przez oszczędność wybrał świece żółte, bo miał ich najwięcej.

Powinien je być od razu zapalić lecz tego nie zrobił. Ingelid bez wątpienia usłyszałaby to przez drzwi. Przez porównanie z otaczającą go ciszą, zapalka, wyobraził sobie, musiałaby wydać grzmot.

Usiadł w fotelu i oddał się myślom. Głowa spadła mu na piersi. Zawsze był nieco bezradny wobec ciężaru głowy; nie wyglądało to na kalectwo, było raczej oryginalną dolegliwością. U ludzi bardzo wysokich nie dziwią takie rzeczy.

Omotał go starczy sen, uśpienie wyłączające władzę zmysłów i moc ciała, aby mogły pracować niezmacone niczym myśli. Lecz nie chciały ustąpić przypomnienia ostatniej rozmowy z Ingelid. Dlaczego mówił do niej tak długo, czekając choćby na cień pokory z jej strony?

Przed paroma dniami obiecał ją zaprosić na urodziny a nie przysłałby przecież naga, musiałby ją ubrać. Można by nawet nie zauważyć, że coś się nagle skończyło. Ingelid ucieszyła się szczerze, widocznie brała to pod uwagę, nie wiadomo tylko dlaczego dzisiaj postanowiła co innego i odrzuciła możliwość niezauważalnego pojednania.

Jeszcze nie spała i musiała podsłuchiwać; było u niej bardzo cicho. Dopiero później usłyszał stąpanie bosych nóg. W magazynie panowała ciemność i było tak ciasno, że nie można się było swobodnie obrócić, a ona mimo to urządziła tam spacer. Po jakimś czasie zaczęła śpiewać:

Fritz war SA und Karl war Partei  
Und Alfred bekam doch den Posten.  
Aber auf einmal war all dies vorbei...

Dziewczęcy głos przemieniał się w ponure wołanie, któremu obca była jakakolwiek melodia, przypominał miarowy krok człowieka okalowanego, idącego w bezkres ze świadomością celu nie odgadnionego dla innych.

U kogo ona to słyszała? Ileż szyderstwa zamknąć można dla pozorów, w smutku. Mogła to słyszeć tylko po tamtej stronie Berlina. Gdybyż jeszcze powiedziała im, że jest dzieckiem niczym i znaleziono ją na dworcu?

Komuniści, owi, dla Vogtmanna niepojęci ludzie wschodu, jakże go to śmieszyło i oburzało. Wmówili skutecznie w świat, że istnieją wyłącznie w związku z tym, iż możliwa jest krzywda człowiecza. Ale czy jest do pomyślenia żywy człowiek nie mający pretensji? Każdego ktoś lub coś krzywdzi! Ileż tu znanych przyczyn, ile odmian zjawiska. Można by je usuwać, ale po co wykorzystywać je do innych celów? Szczęściem Ingelid jeszcze nie wie nic o sobie. Nie ma pojęcia, że znaleziono ją w koszulce ze znakami drukowanymi czarnym tuszem.

Było znowu cicho. Z ulicy Barbarossy dolatywał szum samochodów. Nie słyszało się motorów, jedynie opony szmerzące na asfalcie z pogwizdem i elegancją. Kiedy samochód mijał antykwariat, po ścianach przesunęło się białawe światło, ciągnące

za sobą pomarańczową lub czerwoną mgłę.

Jakiś czas jeszcze przed wystawą zatrzymywali się ludzie. Ale zrobiło się późno i nikt już nie przystawał.

Vogtmann otrząsnął się z niemiłych myśli, choć nigdy w zasadzie nie zapomniał o Ingelid i o tym, że komuniści panują już na drugiej ulicy; bo czy wiadomo co może się stać w tym mieście za pół godziny?

Wolno przybliżył oczy do miedzianej tacy, leżącej przed nim. Kiedy z ulicy przyływały nieco więcej światła, rysowały się wtedy wyraźnie cienie ustawionych świec, zwodziły odbite blaski, zdające się otwierać przestrzenie fioletowe, tkwiące gdzieś w głębi polerowanej miedzi.

Z magazynu przyplwiał czasem śpiew a czasem niewyraźny szept. Dlaczego nigdy nie zamykał na klucz drzwi, za którymi spała Ingelid? Dzisiaj postanowił drzwi zamknąć lecz jeszcze czekał. Błądził po ścianach nie widzącymi oczami, podnosił szeroko otwarte dłonie z niejasnym zamiarem przysłonienia twarzy. Ostatkiem świadomości zdawał sobie sprawę z tego, że dzieje się z nim coś, czego wcale nie pragnął. Myśli nakazywały bowiem czuć. Nic jednak nie mógł uczynić po ich woli, zastygał, przymykając powieki.

A kiedy nagle przecknął z przytomnym ożywieniem w oczach, nie wiedzący jednak dobrze, co się z nim działo, Ingelid z kołdrą na plecach, stała w sklepie przy drzwiach.

— Spisz jak kamień! A ten chce urwać drzwi!

Vogtmann podniósł się z fotela nadzwyczaj sprawnie.

Na ulicy przed antykwariatem tkwił skromniutko pan Albert Krause. Głowę skrytą w ramionach unosił wraz z całym ciałem, kłaniając się tym sposobem. Twarz mu gdzieś wymazali. Zdawał się nie pamiętać gdzie stoi i po co przyszedł.

Ingelid uciekła czym prędzej. Antykwariusz dotknął stojącego.

— Ruszałem klamką — rzekł Krause. — Widocznie spałeś, ale dziecko usłyszało. — On o Ingelid mówił: dziecko, bo tak dawniej mówił Vogtmann.

— Co się z tobą dzieje? Trudno cię poznać! — Vogtmann wziął go pod ramię i wprowadził do sklepu. Krause skinął tylko głową.

— Naprawdę trudno cię poznać!

— Tyle przeżyłem — powiedział słabo Krause. Vogtmann pomyślał, że to słabe odezwanie się dotyczy życia w ogóle i pokwitował je westchnieniem, jako rzecz wiadomą i zrozumiałą. Dopiero po chwili zauważył dźwięczący mu jeszcze w uszach ton głosu Krausego, każący się domyślać innego zgoła rozumienia wypowiedzianych słów.

— Jak to?

— Nic nie wiesz? — zdumiał się Krause. — Chciałbym nic nie wiedzieć! — Zaczął gestykulować, pokazywał zdaje się, jak to jest kiedy się człowiek zapłacie.

Antykwariusz pomógł mu usiąść na krześle.

— Nie mogłeś się zapłatać w nic takiego...

— Nie mogłeś... — Krause podjął złamany. — Właściciel kina przy ulicy Cicerona zaproponował mi urządzenie wystawy w przedsiönku jego kina. Chciał ściągnąć publiczność i coś zrobić dla niemieckiej sztuki. Dał ogłoszenie do prasy: wielka sprawa! Alfred Krause! Pamiętajcie jego kobietę z sierpem i wiele innych genialnych dzieł? Następnego dnia kino zostało zamknięte przez policję. W Hamburgu napisał pewien socjaldemokrata: czy to ten Krause, który rzeźbił popiersie Hitlera? Czy to ten, którego się wszyscy bali? Którego dostał od Hitlera pół miliona marek i willę w Gruenau? Rozumiesz, mnie się bali!

Vogtmann próbował to zbagatelizować. Krause mówił:

— Gdyby można machnąć ręką. Nie było więcej jak piętnaście wierszy *petitem* na ostatniej stronie. Wystarczy w dzisiejszych czasach. Radio podało przed trzema dniami, że trybunały zagraniczne szukają jakiegoś Alberta Krausego. Zostałem wezwany na policję, jutro mam być przesłuchany w obecności świadków. Policja mi wierzy na słowo, zajrzeli do starych gazet, wszystko się zgadza. Dlatego mnie jeszcze nie aresztowali. Ale muszą mnie przesłuchać w obecności świadków, żeby nie zepsuć stosunków z zagranicą. Mogą wyjść z tego różne rzeczy. Jeżeli jestem podobny do tamtego Krausego? Przeprowadzą świadków i ci potwierdzą. Co to dla nich... Dla świadków Vogtmann? A jeżeli oni naprawdę szukają mnie? — zapytały wargi i obłędne oczy Krausego.

— Masz przyjaciół! Uspokój się, Albercie!

— Ależ mnie zgubili przyjaciele! Dzisiaj jeszcze piszą, że się mnie bali. Pół miliona marek, dom, samochód! Ja się także bałem! Kto się nie bał? Tylko o sztukę nikt nie pyta. Rzeźbił popiersie Hitlera... Co z tego? Może to było warte pół miliona marek. Trzeba zapytać jak to było zrobione! Może to była sztuka jakiej już nigdy nie będzie?

— Znajdziesz dowody. Bądź spokojny. Niech cię nawet przesłuchają. Policja musi przesłuchiwać wielu Niemców.

— Niech przesłuchują. Ja nie pójdę. Jutro zrozumieją sami. Chciałem zacząć żyć i nie udało się.

— Albercie?

Krause uczeplił się oczami starej twarzy antykwariusza:

— Weź wszystkie moje prace. Może się jeszcze na coś przydadzą. Kiedyś będzie może inaczej. Ale czy nie mógłbyś iść teraz ze mną? Pobędziesz do świtu i rano zabierzesz rysunki. Muszę mieć kogoś przy sobie...

— Chcesz żebym poszedł z tobą?

— Straciłem już pół nocy. Dawno powinienem być w domu!

Vogtmann nie znajdował słów.

— Po co tyle mówić. Tracimy czas. — Palce Krausego odszukały dłoń starego, uścisnęły ją słabo.

Vogtmann gotów był iść z nim i chciał nawet to powiedzieć wyrażając razem zastrzeżenia, które mu się nasunęły, lecz naszła go zła myśl. Niech idzie Ingelid! Zapragnął, żeby poszła z nim i było to równoznaczne z nie opuszczającym go od pewnego czasu gniewem, chęcią jakiegoś fatalnego doświadczenia jej serca i woli. A choć w tej samej chwili doznał przerażenia, zaistniało ono w nim całkowicie poza tym górującym pragnieniem.

— Bardzo mnie dziwi wszystko co mówisz... — rzekł.

Krause siedział otępiały.

— Pójdzie z tobą Ingelid!

— Nie! — sprzeciwił się Krause. — Przecież to dziecko!

Vogtmann poczuł się jak w sieci. Ujął twarz Krausego w obie dłonie, przechylił ją w górę.

— To zostań u mnie. Mam trochę pieniędzy, weźmiemy najlepszego adwokata.

— Nie rób tego.

— Posłuchaj co mówię. Weźmiemy najlepszego adwokata!

— Kiedy ja nie chcę żyć. Po co mi adwokat? Vogtmann badał podejrzliwie nic nie wyrażającą, uśpioną twarz:

— I dlatego mnie ciągniesz z sobą?

— Nie ciągnę. Ty jeden zrozumiesz, nikt więcej. Tego nie da się powiedzieć.

Vogtmann wyrwał rękę, którą Krause chciał pocałować. Stał nad nim i oczy wbił

w przestrzeń. Nie rozumiał jeszcze wszystkiego, ale już dobrze wiedział czego nie rozumie. Wargi Krausego uparcie szukały jego dłoni. Opędzał się niecierpliwie. Potem szybko zapalił świecę i wszedł do magazynu.

Ingelid siedziała na tapczanie w pozie wyrażającej gest obronny lecz już gasnący, jak gdyby w obliczu zaskoczenia, które nie nadeszło w porę i oznacza co innego.

— Pójdiesz z nim — nakazał antykwariusz. — Przyniesiesz od niego rysunki.  
— Nie chcę iść z nim!

— Zawsze mówiłaś, że chcesz iść. Ubierz się. Natychmiast otwieram szafę.

— Nigdzie nie pójde! Czy ja kiedy mówiłam, że chcę iść?

— Mówisz jak do głupiego! Tyle razy mówiłaś, że chcesz iść. Więc idź teraz. Nie ma drugiego Niemca, któremu byłoby gorzej. Zrobiłem z nim interes. Pójdiesz i przyniesiesz rysunki. Długo nie potrwa.

— Rysunki... — pokpiła. — Może mnie będzie rysował? Znam takie rysowanie! W nocy po rysunki!

— Rysunki. Nie chodzi o nic więcej. Gdybyś nie wiedziała kto to jest Albert Krause. Dobrze wiesz. Zaczynj wreszcie inaczej myśleć o pewnych ludziach. Najwyższy czas. Jemu zależy na człowieku, nie akurat, żeby to była dziewczyna.

— Więc idź ty — doradziła. — Ja popilnuję sklepu.

— Wielka sztuka wysłać mnie. Dlaczego ty nie pomyślisz tak: nieszczęśliwy człowiek szuka pomocy u Niemców i nie może jej znaleźć. Szkoda żyć dalej, jeżeli Niemiec nie może znaleźć pomocy!

— Co zrobił? — zapytała. — Zostaw filozofię.

— Nic nie zrobił. Zapłatał się. Jutro ma ważne przesłuchanie. Policja zamknęła kino, w którym chciał urządzić wystawę. Znasz kino przy ulicy Cicerona...?

— Mów od razu, że się zapłatał. Ja ogromnie lubię niemiecką policję. Po co kołujesz?

— Przepraszam — odparł. — Żałuję, że nie powiedziałem tego wcześniej. Ma sprawę z niemiecką policją. Trzeba mu pomóc.

— Idę! — Ingelid z kołdrą na plecach zbliżyła się do drzwi, aby przyjrzeć się Krausemu. Nie podjął jej uśmiechu. Nie było w nim miejsca na odwzajemnienia radośniejszych uczuć, musiałyby mu kto w jednej chwili przebudować twarz.

Vogtmann bez skutku ustawiał świece na nierównej podłodze. Kapnął wreszcie stearyną i świeczkę przyklepił. Siłował się z zamkiem ciężkiej szafy, o której mówiło się, że przez pięćset lat stała na ratuszu w Merseburgu. Mniejsza o to, w jaki sposób szafa znalazła się w Berlinie. Vogtmann kupił ją na ulicy od bardzo wesołych ludzi za pół litra potwornie różowego likieru.

Klucze nigdy do niej nie pasowały. Cholernie stare zamki, otwieranie ich trwałło zawsze odpowiednio długo. Antykwariuszowi drżały palce, ale pracował nadzwyczaj cierpliwie. Nie mógł zdawać gwałtu rzeczy, której wartość była mu aż nadto znana.

Ingelid wzięła bieliznę z jego rąk. Spódnice i sweter rzuciła na poręcz krzesła. Ubierała się bez pośpiechu, z tą ciężką dokładnością ruchów, którą u kobiet wyzwolić może jedynie głęboka rezygnacja i świadomość, że niebawem przyjdzie się znowu rozbierać.

Wcisnęła się w czarną spódnice i takiz sweter, przylegające dokładnie do jej ciała, kształtów jak gdyby wyodrębnionych, samoistnych, żyjących wszakże w doskonałej harmonii. Włożyła fioletowe pończochy, przesuwając palce wzdłuż całej długości nóg ruchem powolnym, pracowitym, naśladowującym pieszczotę, wdziała lekki płaszcz koloru kardynalskiej purpury, który kupił jej kiedyś francuski oficer. Płaszcz był już zniszczony i wyplówały. Zaskakiwało, że ten najwspanialszy z kolorów może wyglądać tak biednie.

Antykwariusz doznał przykrych uczuć, od których ścisnęło się w nim serce. Twarz Ingelid nigdy nie kłamała, a teraz była wyzywająca. Każdego zastanawiała jej miękkie delikatne rysy. Mały nos lecz jakże wyrazisty, nieco w górę zadarty, wargi pulchne, zarysowane jednakże wstydliwie nad subtelną linią podbródka, harmonizującą z szerokimi a przy tym niewiarygodnie drobnymi kośćmi policzków i skroni. Słodkie madonny w katolickich kościołach na Śląsku, miały w twarzach to samo zaprzeczenie twardej urody germańskiej.

Ingelid przerzuciła na plecy splot jasnych włosów. Wąska spódnica z niejaką gwałtownością wzięła jej uda, dlatego kroczyła drobno jak na pokazie, znikomość kroku wyrównując prędkością nóg i zachwycająco przewyciężając urocze spętanie. Nic nie mówiąc wyszła przez sklep na ulicę.

Krause wstał szybko. Vogtmann podtrzymał go, ukradkiem ścisnął jego rękę i coś szepnął. Zbyt dużo miał do powiedzenia a czasu było mało, tyle ile trzeba na postawienie kilku kroków.

Ingelid patrzyła na nich z ulicy: stojąc na jednej nodze, drugą ugięła nieco w kolanie, jakby doznając chłodu, uczuć chciała tajemne ciepło własne.

Nad ulicą Barbarossy jarzyły się neony, wyznaczając parterowy pułap nocnego mroku i coraz wyższe jego piętra. Asfalt lśnił od kolorowej poświaty. Ulewa światła płynącego środkiem nocy, przypominała zbytek, przywodziła na myśl uroczysty zgiełk, opadły nagle z sił, obecny jeszcze mimo pustki i ciszy, jakby przez czyjeś niedopatrzanie, trwający dłużej niż to było konieczne. Światła palono dla kilku milionów ludzi, a tu tymczasem nie było nikogo, tylko ich troje lecz nie widzących.

Daleko na placu Barbarossy płonęły znicze; rude płomienie w mgiełce nocy. W ciemnościach krzyczały tak już od lat maleńkie usta ognia. Zdawało się płonie tam do dzisiaj czarna niemiecka dusza, a to protestowały zachodnie sektory najsmutniejszego z miast, którego kiedyś nie zrównano z ziemią przez wspaniałomyślność, lecz tylko rzucono na kolana.

— Zaczekam na ciebie — powiedział antykwariusz w stronę Ingelid i dał znak Krausemu.

— Nie położę się spać. Staremu nie oplaca się kłaść o tej porze.

Ingelid uczuła uścisk palców Krausego. Postępowała za nim lecz coraz wolniej, opierała się, dając odpowiedź na to, że jest wiedziona siłą. Zaskoczyło ją milczenie Krausego i sama mówiła co jej przyszło na myśl, żeby tylko nie słyszeć źle wróżącej ciszy.

Zapytała o pewien lokal. Ciekawiło ją jak tam teraz jest i kto przychodzi. Ale czy można rozmawiać z człowiekiem, który wcale nie słyszy pytań? Mógłby chociaż powiedzieć, że nigdy nie widział tego lokalu, że go nie było na to stać.

— Ale dawniej! Chciałabym cię widzieć dawniej, kiedy miałeś pół miliona marek. Ciekawe, co ja robiłabym wtedy?

Krause wiódł ją drogami, po których jakby nigdy sam nie chodził. Często zastanawiał się gdzie powinni iść i popadał w rozterkę. Nie miał pewności kierunku, tracił orientację, prowadził ją tam, skąd okazywało się, musieli zawracać.

Mieszkał w dalekiej dzielnicy Schoeneberg za cmentarzem Gminy Wyznaniowej Dwunastu Apostołów.

— Naprawdę chcą cię wziąć? — spytała zwalniając kroku. — Powiedz dokładnie, o co chodzi. Lubię takie historie.

Krause milczał, głowę niósł zwieszoną.

— Jesteś cholernie mowny — powiedziała, próbując wyszarpnąć rękę. — Powiedz

choć czy masz łazienkę?

Krause stąpił jak we śnie, kolana dźwigając wysoko. Można by uważać, że miał pozrywane nogi i popadał w przykrą, właściwą temu stanowi, przesadę ruchów.

— Jak Boga kocham. Załatwiłabym cię w jednej chwili. Nie lubię takiego szarpania! Palce Krausego spotęgowały uścisk.

Znaleźli się przy murze cmentarza Dwunastu Apostołów, po chwili minęli ogródki działkowe. Ingelid słyszała, że gdzieś niedaleko zaszumiały drzewa.

Weszli w uliczkę. Z miękkiej ziemi rzuciło ich od razu na nierówny bruk. Minęli otwartą bramę pierwszego skraju domu. Krause dawał do zrozumienia, żeby iść na palcach. Cicho zdążyli do oficyny.

Wprowadził ją na schody nie mające, zdawało się, końca. Za nimi zostawał powoli zapach ludzi, jedzenia i poszczekiwanie obudzonych psów.

Wspięli się na strych. Powiało chłodem, wonią pleśniejącego drzewa, jakby od lat przeciekały dachy. Ingelid przypomniał się pewien młyn nad kanałem Sprewy, po tamtej stronie Berlina. Przeżyła tam piękną chwilę, mimo iż wyniknęły z tego potem nieprzyjemności, dlatego, że gość uciekał ze wschodu i niepotrzebnie wdał się w takie rzeczy w ostatniej chwili.

Zadzwończy klucze, Krause zdejmował kłódki i skoble, przyzwyczajony do wykonywania tych czynności po omacku.

Wprowadził Ingelid w zaduch ciemnej izby i przytknął drzwi za sobą.

— Świetnie mieszkasz — powiedziała wysilając oczy. — Musi tu być bardzo ładnie. Lubię komfort.

Słowom Ingelid zawtórował nagie czyjś głośny oddech i sapanie zmęczonych piersi. Było bardzo ciemno i można było przypuszczać, że odgłosy dochodzą zza ściany.

Krause zamknął mieszkanie na kłódkę od wewnątrz, potem dopiero zaśwyciła światło.

Stali naprzeciw siebie w małym pokoiku o ścianach nie bielonych od stworzenia świata. Pod ścianą z okienkiem u sufitu ustawione było drewniane łóżko o staromodnej rzeźbie, blisko drzwi trwał wrośnięty w podłogę piec żelazny z rurą puszczoną prosto w mur. Z tyłu za szafą stojącą w poprzek pokoju, po przeciwnej stronie... Ingelid skierowała tam płochliwe spojrzenie.

— Boisz się? — zapytał Krause.

— Nie jestem dzisiejsza — odparła błędąc raptownie. — Ze mnie nie zrobisz idiotki. Dlaczego zamknęłaś drzwi?

— Mów mi po imieniu. Powiedz do mnie: Albercie. — Krause wodził oczami po ścianach i tam kierował prośbę.

— Mogę mówić, ale się nie zgrywaj. Lubię przytomnych. O co chodzi? Kto tu jeszcze jest?

— Nie ma nikogo. Chciałbym, żebyś mnie pocałowała. No? Nie możesz? Jesteś inna od wszystkich niemieckich dziewcząt, ja to bardzo lubię. Po tobie wszystko sływa, nic cię nie obchodzi ani ojciec ani co się z nami dzieje. — Wydawał się nie doceniać, że ona pozwoliła mu się objąć. — Miałem mieć wystawę w tym kinie przy ulicy Cicerona...

Ingelid już to słyszała. Powiedziała: bądź przytomny, ujęła w dłonie twarz Krausego i nieco ją przechyliła, zbliżając ostrożnie do swych ust. Lekko dotknęła jego suchych warg lecz on żądał czegoś więcej.

— Nie możesz? — zapytał z wyrzutem. Wpiła się w zebrzące usta bez pamięci kogoś całuje. Mogła całować każdego mężczyznę idealnie przezyciężając obrzydzenie; mimo młodego wieku osiągnęła doskonałość, jak to odczuje każdy, wiedzący co nieco o życiu,

godną nie potępienia ale wzruszającego podziwu.

Rozkołysani trwali przez małą chwilę w uścisku, nagle Ingelid odepchnęła go dysząc. Nie śmiała wycierać warg na jego oczach, trzymała je półotwarte, pokazując białe zęby.

Chciał jej okazać wdzięczność i zapewnił skwapliwie, że niepotrzebnie się tak boi. Dlaczego ciągle nad słuchuje? Krause otworzył szafę i wyjął stamtąd dużą, szarą teczkę, zawiązaną z jednego boku tasemkami.

— Sto sztuk. Około sto sztuk — powiedział niewyraźnie. — Co miałem robić? Rysowałem. — Spojrzał na nią słodko, jakby mu się spieszyło wrócić znowu do uścisków.

— Widzę, że masz zamiar przespać się ze mną! Mówiłam ci, żebyś nie robił ze mnie idiotki!

Nawet nie zauważył jej sprzeciwów, obezwładnił ją szybciej niż zdążyła mu się jako tako oprzeć lub krzyknąć. Mimo beznadziejnej słabości w twarzy i ledwie żywego ciała wykazał brutalną sprawność i siłę.

Położył ją na łóżku w płaszczu koloru kardynalskiej purpury i fioletowych pończochach, na których odcinały się czarne, nowiusieńkie buty. Przykuł ją złymi oczami kiedy usiłowała się podnieść, pragnął jedynie, żeby się stało po jego woli, nie żeby miał czegoś nadużywać. Dał jej do zrozumienia, że sam zamierza leć na podłogę.

Z pewnych przyczyn wydało się to Ingelid groźniejsze, niż by się położył przy niej. Mogła znieść każdą nienormalność, ale bała ich się panicznie.

Spoczęła na niej otchłań oczu Krausego. Być może patrzył nie na nią, może się modlił i do niej kierował coś równocześnie. Nagle unióś rękę i światło zgasło.

Ingelid przywarła plecami do ściany. Oślepił ją iskrzący ból w oczach, tak bardzo pragnęła przejrzeć ciemność i widzieć Krausego. Przeszkadzało jej gwałtowne bicie serca, każde uderzenie niosło do mózgu lawinę tnących promieni, potęgujących ból wewnętrzny i strach.

Usłyszała, że Krause się kładzie. Z podparcia spadł na łokcie, potem uderzył ciałem miękko padając, jak brzemienista owca. Coś jeszcze robił wokół siebie, trafiał jeszcze rękami lecz jakby się już rozmijały z celem.

— Albercie! — wrzasnęła panicznie. — Zaświeć!

Cisza, warstwa za warstwą, owijała szczelnie głowę Ingelid i potem nagle opadła z niej raptownie, wysyłając u swego kresu efekt niespodziewany. Rozległo się miarowe taktowanie i to z siłą, która nieprędko mogła ustać a może była niewyczerpana.

Ktoś uderzył kostką palca w podłogę. Może za ścianą? Nie było to zwykłe postukiwanie od niechcenia lecz wytężona praca. Drżenie słychać było w drzewie łóżka, na którym skulona leżała Ingelid.

Odezwał się głos. To samo stęknienie słyszane przez Ingelid w chwili kiedy weszła do izdebki Krausego, dobyte z niemych ust.

Niedaleko zadudnił pociąg. Pierwszy tego dnia pociąg kolejki z ulicy York do Telrow. Okienko rozjarzało czasem błysk światła samochodowych, skądś bardzo daleka, skoro dosięgały izdebki Krausego. Może to były światła reflektorów, bijące od czasu do czasu z lotniska na Tempelhof lub z tego po wschodniej stronie miasta w Schoenefeldzie? Sufit jaśniał wtedy ostrą białością, niczym ekran w kinie kiedy zerwie się film.

A tamto kuło bez przerwy w podłogę.

Ingelid przypuściła do siebie najgorsze domysły; była jeszcze bardzo młoda, żeby nie myśleć wyłącznie o śmierci. Chciała krzyknąć ze wzniesionych piersi i przeżyła chwilę przeraźliwego osamotnienia, kiedy przekonała się, że nie może dobyć głosu.

Stukanie ustało raptownie. Przypłynęła fala ulgi, ale czy mogła trwać długo?

Dziewczyna wstała cicho z myślą, żeby uciekać. Strach dźwignął ją za włosy, poczuła się niesiona.

Krause spał zwinęty w kłębek na psi sposób. Nie dotknęła go wcale stopami.

Okienko pod sufitem zalepiła szarość. Świtało. U drzwi widać już było wyraźnie wiszącą kłódkę i skobel. Tych drzwi wcale nie można było zamykać inaczej, nie miały klamki ani zamka.

Wieczność trwał każdy krok. Ileż musiała dobyć z siebie siły, aby podnieść nogę i postawić ją cicho. Dotknęła palcami szafy, żeby się oprzeć i nie stracić równowagi. Od pewnej chwili wyraźnie słyszała czyjś słaby oddech. Skoro nie mogła stąd uciec, musiała, chcąc nie chcąc, zajrzeć lękowi w oczy.

Za szafą stało wiadro, na krześle obok miednica, pod ścianą jakieś garnki i błyszcząca okuciami walizka. Mrok wisiał tu jeszcze gęsty, trudny na razie do przejrzania. Lecz tyle można już było poznać, że to leżące w kącie na materacu w pasy, było żywym, rzuconym na ziemię ciałem kobiety. Ręce związane w tyle, ramię i głowa oparte o ścianę, na ile pozwalał na to zbyt krótki powróż. Usta kobiety zalepione były plastrem, którego końce sięgały karku i ginęły pod rudymi włosami. Twarz ściśnięta tym sposobem niby obręczą, była nienaturalnie długa. Ramiona podniesione wysoko w ciężkim wysiłku, przywodziły na myśl człowieka nie mogącego złapać tchu.

Ingelid pochyliła się nad leżącą. Patrzyła na rozrzucone rude włosy, twarz pokrytą piegami, na ciężkie, napuchłe powieki, w których każdy włoszek zdawał się wyrastać z wezbranego ostro miejsca. Taśma plastra, ściskająca policzki zdradzała bezzębne dziąsła. Broda wysunięta do przodu była ostra, bardzo mała, nos naznaczony głębokim śladem, najwyraźniej po długim noszonych okularach.

Dotknęła karku leżącej i wytrzeszczone oczy zaczęły mówić do niej prędko. Mogło to oznaczać tylko to jedno jedyne czego pragnie człowiek związany, ale upłynęło sporo czasu zanim Ingelid zerwała dławiący tamtą plaster, nie pamiętając o spętanych rękach.

Wąskie, skore do zaciskania się usta, otwierały się ledwie: choć nic ich już nie krępowało. Pomiędzy linijkami warg zaróżowiwał język, twór jak gdyby obcy i zdziwiony swobodą, kłujący. Język, jaki mieć mogą bardzo małe stworzenia lub zgola nawet owady.

— Co tu robisz?

Usta mlasnęły, smakując podniebienie, nie żeby mówić.

— Jak ty wyglądasz? Kto cię związał?

— Kochanek — odparły usta w drwinie i roześmiane krzywo. — Mąż.

— Masz męża? — Ingelid uważała, że mieć męża z całą pewnością wyklucza możliwość doznania tak przykrego losu.

— Dlaczego nie? — śmiały się usta. — Może nie mam najpiękniejszej twarzy, ale ciało? Dlaczego się dziwisz? Twarz jeszcze nic nie znaczy. Nigdy nie patrzyli na moją twarz, zawsze na piersi, biodra, na nogi. Der Busen, Huefte, ein Popo! — zawołała nadszarpniętym głosem, płynącym z niebezpiecznego, może tylko chwilowego zachwiania się równowagi wewnętrznej. — Krause rozbił mi okulary — uzależniła się trzeźwo. — Słabo widzę. Jesteś zdaje się młoda.

— Swoje już przeszłam — odparła Ingelid.

— Ja jestem Żydówką — powiedziała leżąca. — Wiesz co to jest Żyd? Widziałas już kiedy?

— Wiem trochę ze słyszenia. A co to jest?

— Żebyś ja wiedziała! Zapytaj tatusia, on ci na pewno powie. Tylko, że Krause nigdy nie wspomniał o tobie... Bez znaczenia. Nie mówił mi o wielu rzeczach.

— Żyłas z nim? — zdziwiła się Ingelid. — Z Krausem?

— Żyłam nie żyłam. Takie życie! Najpierw robił wielką tajemnicę, jak chłopiec, a potem się wstydził. Na jedno wychodzi. Widocznie zaczął liczyć na co innego, albo mu ktoś zwrócił uwagę. Moja wina. Zawsze chciałam mieć męża Niemca. Nawet w obozie. Wiesz co to jest obóz? Nie wiesz...

— No, coś niecoś wiem. Słyszałam od Polaków.

— O tak, Polak może ci dużo powiedzieć, tyle samo, co Żyd. Mniejsza z tym. Nawet w obozie nie opuszczała mnie myśl, żeby mieszkać kiedyś w Berlinie i mieć dzieci od Niemca.

— Ale kto ty jesteś? Skąd?

— Urodziłam się w Czechosłowacji; czy ma jakieś znaczenie gdzie się człowiek rodzi? Zawsze byłam z Niemcami, czytałam tylko po niemiecku, chodziłam do niemieckich szkół. Nie znam innego języka. Jestem szalona... Być może jestem. Zamknęli mnie w obozie, potem pracowałam tu niedaleko u Siemensu w Berlinie. Wcale nie jako człowiek; jako coś innego. Ale miałam względy, mój dziadek dostał krzyż żelazny od cesarza za pierwszą wojnę światową. Kiedy się to skończyło i przyszli Rosjanie, uciekałam prosto do Pragi. Mówili, że Niemiec już nigdy nie będzie. Mówienie! W Pradze znowu mówili, żeby być razem. Ciagle bali się powtórki. Co z tego, że wyjechałam. Nie mogłam znieść Palestyny. Tyle wszędzie Żydów. Miliony! Grzech mówić, ale ja to mówię. Potem znowu zaczęli mówić i przyjechałam do Berlina Zachodniego. Dali mi wielkie odszkodowanie za ból, za wszystko co wycierpiałam. Założyłam sklepik z kwiatami. Na kwiatkach nikt nie zrobi majątku? Nic nie szkodzi.

— To ja ciebie znam, jeżeli sprzedawałaś kwiaty!

— Kto mnie nie zna! Szkoda, że nie mam okularów. Może i ja ciebie znam? Pewnego dnia Krause przyszedł kupić kwiaty. Widziałam, że kupuje za ostatnie fenigi i dałam mu kwiaty za darmo. Chciałam, żeby przychodził częściej i przychodził. Z początku był nawet we mnie zakochany. Opowiadał, że jest rzeźbiarzem. Bądź sobie. Myślał, że ja nie wierzę i zaprowadził mnie kiedyś na tę ulicę co się teraz nazywa ulicą Wolności, na wprost Bramy Brandenburskiej, tam gdzie jest firma Mercedes. Pokazał mi miejsce, gdzie stała jego „Kobieta z sierpem”. Osiem metrów wysokości.

Zastanawiałam się dlaczego w dzisiejszych czasach nie pozwalają Niemcowi rzeźbić? Ale skoro nie pozwalają, niech przynajmniej rysuje. Rysuj, żebyś nie wyszedł z wprawy. Obiad masz u mnie, dostaniesz nawet na papierosy, tylko rysuj. Życie nauczyło mnie ostrożności i zaczęłam sprawdzać u wszystkich berlińczyków, czy był Krause rzeźbiarzem. Był Albert Krause, wielki artysta, wielki bogacz, cóż kiedy ślad po nim zaginął. Zabili go przy oblężeniu Berlina albo co możliwe popełnił samobójstwo. Krause rzeźbił samego Hitlera! Jedna pani powiedziała mi, że on mógł zostać gdzieś wywieziony. Herr Krause das war eine Persoenlichkeit... Długo nie powtarzałam mu co ludzie mówią, w końcu musiałam. Nagadał mi górę słów. Dorozumiałam się piąte przez dziesiąte, że na niego zwałili całą odpowiedzialność za sztukę w czasach hitleryzmu i po wojnie został wykreślony na zawsze. Być może został wykreślony. Ale od tego czasu zrobił się chłodniejszy, nie chciał już u mnie jeść, uparł się zarabiać na życie. Przerzywał bilety w kinie przy ulicy Cicerona. Miał tam zrobić wystawę. Ja go widocznie bardzo lubiłam; dałam gotówkę, żeby mógł wystawę przygotować.

Najpierw mówiło się, że pójdziemy razem na otwarcie wystawy, on nawet wspominał

o naszym ślubie. Był przejęty rysunkami i nie wiedział co mówi. Potem kategorycznie zabronił mi pokazywać się w tym kinie. Żadne razem! Z pewnych względów chciał iść sam. Może tam mieli być tacy Niemcy, którzy nie znoszą Żydów i się mnie wstydził? Rano oświadczył mi: nie możesz się tam pokazywać a po południu był już błądy i drżała mu broda. Gazeta w Hamburgu napisała, że to jest ten Krause, którego się panicznie bali artyści i nie mogli pojąć skąd on się wziął. Radio pytało o co innego. Czy to jest ten Krause, mający najgorsze rzeczy na sumieniu. Ja mam radio w sklepie. Dostałam palpitanie serca. Zaniemówiłam. Mój Albert? Nawet kino przy ulicy Cicerona zamknęli? Naprawdę nie miał go kto bronić i ściągnął mnie do siebie. Myślał, że ja go zbawię. Jakie szczęście, powiada, że mam ciebie. Idź do policji i powiedz, jaki ja jestem człowiek. Ty jesteś Żydówka!

Zaraz, odpowiedziałam, z a r a z... Wymówiłam tylko te dwa słowa. Być może zauważył jak gorąco pragnęłam się przenieść na skrzydłach aniołów gdzie indziej, w inne miejsce na świecie. To go rozwścieczyło, chciał mnie zabić. Gdyby mnie można było zabić samą ręką, byłabym już zabita grubo wcześniej. Ale straciłam przytomność i wtedy mnie związał, usta zalepił plastrem, który mu sama kupiłam od bólu w plecach.

Ingelid skrzyżowała ręce na piersiach, palcami oplotła szyję.

Ruda musiała chwilę odpocząć, potem powiedziała:

— Że ciebie nie dziwi... My mówimy tak głośno, a on nie słyszy.

— Tak — przeraziła się dziewczyna.

— Mnie zastanawia — rzekła Żydówka. — Dlaczego on ciebie przyprowadził?

Czy nic ci nie mówił o mnie?

— Nic. Przyszłam po rysunki. Powiedział, że się zaplątał. Był przyjacielem mojego ojca. Może znasz antykwarjat przy ulicy Barbarossy?

— Dziwne, że kogoś przyprowadził. Musiał przecież być ktoś, kto rozwiąże moje ręce. Leżę już od czterech dni. Nie dał mi kropli wody: Ile czasu można wytrzymać? Jednak nie chciał mojej śmierci i kogoś przyprowadził. — Ruda wsparła się na łokciu, podniosła w górę twarz. — Krause ma w kieszeni szczyryk. Wyjmij szczyryk i klucze!

— Ja?

— Po to przysłaś. Nic się nie bój. Taki sam człowiek jak każdy inny, pozbawiony tylko wszystkiego.

— Nie pójdę! — Dziewczyna cofnęła się pod ścianę. Sekundę wcześniej bała się jeszcze rudej a teraz przy niej czuła się najbezpieczniej.

— Jaka głupia. Spróbuj! Każdemu wydaje się, że nie może. Idź! — podniosła głos, ostatkiem sił prosząc i grożąc. — Każdy potrafi. Idź prędzej! Jaka głupia!

Ingelid wychyliła głowę zza szafy, szukając jakby dla siebie najkorzystniejszego miejsca pomiędzy śmiercią i szaleństwem.

Gruba warstwa kurzu na szybach w okienku więziła szarożółty blask słońca i światło poranku nie dostawało żywym strumieniem rozplaszczoną na podłodze twarzy Krausego. Zastygł z policzkiem przyklepionym do desek, leżał rozbity, rzucony jakby z wielkiej wysokości.

Ale leżał na lewym boku i nie było nic bardziej prostego, jak iść i sięgnąć do jego prawej kieszeni. Jeżeli istotnie chciał rudej coś ułatwić, zapewne nie leży na kluczach i nie trzeba go będzie obracać.

Przymknęła oczy. Szparkami patrzyła powyżej, na ramię Krausego. Potem kiedy już była bardzo blisko, przerzuciła wzrok na nogi. Lecz on leżał zwinięty w kłębek i prawą dłonią dostawał nóg. Ujrzała jego gipsową rękę.

Ostrożnie wsuwając paluszki, udało jej się wyjąć z kieszeni scyzoryk i klucze. Krause był jak wystrugany z drewna, stawał przez to niespodziewanie duży opór. Przez podszewkę kieszeni uczuła chłód jego biodra i coś z ciała przeskoczyło na nią. Uczuła postępujące zimno.

Nie była w stanie otworzyć scyzoryka, stokroć gorzej szło jej z przecinaniem sznura. Roznosiło ją drżenie i skaleczyła napuchłą dłoń rudej. Żydówkę zawiodły siły, nie mogła ustać chociaż podtrzymywana. Z trudem przyzwyczajała się do tego, że ma ręce.

Musiała być kiedyś kobietą o bardzo pięknym ciele. Niesłusznie tylko chwaliła się piersiami, już ich nie miała. Brzuch, biodra i uda były jeszcze i w tej chwili imponujące.

Z bardzo bliska przyjrzała się twarzy Ingelid zapłakała histerycznie:

— Słyszałam, że ty z nim przyszedłeś i zaraz się domyśliłam. Prosił, żebyś go pocałowała. Nic nie rozumiałaś? Już wtedy miał truciznę w ustach!

— Żal ci go?

— Nie wiem. Ja nie wiem kim on był. Jeżeli on był ten Krause mający najgorsze rzeczy na sumieniu, dlaczego w takim razie ja żyję?

— Może był dobrym Niemcem? — Ingelid odezwała się ze świadomością, że nie powtarza własnych, przemyślanych słów lecz tylko przeżywa chwilę, w której najporęczniejszą jest użyć wypowiedź zasłyszana od ojca.

— Może był dobry dawniej a może jest dopiero teraz? Tak bardzo chciał mnie zabić i nie zrobił tego! — Ruda spostrzegła krwawiącą dłoń i zaczęła ją ssać zawzięcie.

— Myślę — rzekła Ingelid — że on był artystą.

— Kim był? Widziałeś jego rysunki? Ja widziałam, mogę powiedzieć. Znam się na tym. Mój ty Boże... Nie umiał wcale rysować. Dziwiłam się, skąd wziął tyle odwagi, żeby urządzać wystawę. Nawet u Hitlera nie zarobiłby rysowaniem na chleb. „Umiał za to bić. Bił bezbłędnie. Wiem co mówię! — Ruda zagryzła umazane krwią wargi, oderwała się od drżającej Ingelid, upadającym krokiem poszła do Krausego.

Chód z dawna już musiała mieć nierówny, choć pewnie nie utykała tak głęboko jak w tej chwili. Prawej nogi nie prostując w kolanie, wspierała się jedynie na palcach i zadzierała stopę.

— Ty kulejesz? — Ingelid ogarnęło szczere zdziwienie.

— Trochę kuleję! — Ruda błyskawicznie obróciła się w stronę dziewczyny. — Jedna Niemka w obozie przetrzącała mi nogę takim drągiem! — Pokazała palcami miarę drąga, jakim Niemka przetrzącała jej nogę.

Ingelid ujrzała nieprzytomnie otwarte oczy. Nie wiedzieć kiedy znalazła się przy drzwiach, upadła na nie. Zapomniała, że drzwi są jeszcze zamknięte na kłódkę. Wyjęła klucze z kieszeni, śledząc uważnie każdy ruch tamtej.

Cóż mogło jej grozić? Żydówka stała jak wmurowana o krok od Krausego, patrzyła bezwolnie. Ingelid zbiegła szybko po schodach na dół. Rozległ się za późny i o tyleż rozpaczliwy krzyk:

— Zaczekaj! Zostań ze mną, panienko. Na litość boską, muszę mieć świadka. Powiedzą, że to ja go otrujęm. Nie uwierzą Żydówce!!!

## Samotni nocą

W jednej chwili, jak to się tylko zdarzyć może, obrzydła mu firanka z kremowego muślinu i okno, przy którym jadał obiady, pił kawę i czytał gazety. Przeniósł się dlatego pod ścianę, w kąt, blisko szatni umieszczonej nieskładnie pod schodami, prowadzącymi do sali na pierwszym piętrze nazywanej winiarnią, ale oprócz nazwy, nie różniącej się niczym więcej od parteru.

Usiadł przy jednym nie zajęтым w tym rejonie stoliku, aby po małym czasie przekonać się, że i tu mu źle. Mając znowu szatnię blisko za plecami, poczuł się nawet w czymś dotknięty, jakby nie sam dokonał wyboru miejsca, lecz został przez kogoś wyrzucony niegodnie. Z urazą do świata i życia, bo nie do siebie, trzymał w ręce list od Jannet Collin i na to wyglądało, że ona zdawałoby się przyjaciółka i najbliższy mu człowiek, należy jednak do ludzi, od których listów nie czyta, nie otwiera ich wcale.

Mówił do siebie w chwili samoudręki i złych wspomnień: — Sieje we mnie spustoszenie, niszczy głupiego a czemuż nie mam dość siły, aby ją porzucić? Dlaczego? — I wymyślał sobie z mściwą satysfakcją od starych psów. Mówił rzeczy jeszcze gorsze. Takie, że powtarzanie ich byłoby niestosowne.

Mimo długich lat przyjaźni odwlekał ciągle uregulowanie stosunku do niej i nigdy nie powstało mu w głowie, aby zaproponować jej małżeństwo. Pod tym względem zachowywał się jak mężczyzna silny, niezależny, bez skrupułów a takim wcale nie był. Stało się więc, że obcując wzajem przez lata, przyrosli do siebie, niczym w najtrwalszym związku, w czym ona podobna była do powoju, który raz uczepiwszy się drugiego istnienia, wspina się po nim i trzyma w pętach.

W pierwszym liście, wysłanym do Jannet z Berlina, wspomniał o swoim wielkim zmęczeniu i zapytał czy to możliwe, aby człowieka mogła tak zmęczyć miłość. Albo jest to może co innego? Użył właśnie takich słów. Na to odpisała mu wersetami z samego chyba księdza Bossueta, dając do zrozumienia, iż co się tyczy owego stanu nabawił go się pewnie gdzie indziej, bo nie z nią, nie przy niej. — „Jakimże to sposobem mogłeś się przy mnie zmęczyć?” — pytała Jannet. — „Kiedy? Nigdy nie miałam okazji nadużyć twoich sił witalnych, jak to nie bez pewnej racji, czynią inne kobiety”.

„Nigdy, bądź pewny” — pisała, strojąc się na swój nowy, ulubiony ostatnio ton — „nie poświęcę wieczności dla rzeczy przemijających. Miłość, o której myślisz, jest zaiste samą rozpaczą! Ktoś tu ostatnio zwrócił mi uwagę, abym znaków i świadectw przemijania, które któż zdolny jest dostrzec w sobie, szukała w twarzach innych ludzi, najlepiej na ulicy wcześniej rano, kiedy po wschodzie słońca rozstają się kochankowie. Zauważ i ty, co uczynić może z ludzi zła namiętność, czyli skłonności przeciwne naturze. Na każdej twarzy, zastrzegam się jednak, że nie na wszystkich, ujrzysz wypisane zgubę i śmierć! Tylko czy ty, Andrzej, potrafisz tak patrzeć? Nie pisz mi o zmęczeniu, wydaje mi się bowiem, że i ty jesteś zgubiony”.

Ze wszystkiego, co mógł wyczytać z listu Jannet, niewątpliwe było to, iż znowu miała nowego kochanka. A tych sytuacji bardzo nie znosił. Schodził w nich bowiem do prawowitego, ale oszukiwanego męża. Tak to przynajmniej wyglądało.

— Z kimże więc wdała się znowu? — pytał się doktor André Quitaut. — Kto jest kochankiem Jannet? Albo nim jest stary mistyk docent Tavanne, albo... — i samochcąc zaśmiał się do myśli — albo młodziesieńki wikary z parafii Świętej Matyldy, którego kazań Jannet słucha popłakując, z nieobeschłym jeszcze okiem po mszy do zakrystii, żeby łzy widział młody kaznodzieja, zapaleniec i aby z nim pomówić o tym. Jannet w ramionach chłopięcia-teologa! Potwornie to wesołe. Czyż nie?

Duch jej nie wzniosłby się przecież, sam przez się, na takie wyżyny. List jej był krzykiem zachwyconego odkrywcy, odzywający się w niej nie po raz pierwszy, lecz zawsze ilekroć go zdradzała, jeśli to oczywiście można tak nazwać.

Nie bez znaczenia było, iż niezmiennie odkrywała w takich razach ciągle coś innego. Nigdy dotąd jednak nie zmieniła aż tak dobitnie swojej roli z czyjąś inną. Roli...? Ona przecież zmieniła swą naturę! Wikary jest młodziutkim chłopcem, lecz z tego wynika, że sobie już radzi jak stary.

O, czuł dotkliwie, wyraźnie, w liście Jannet przemówił do niego pożądlivy siłacz i zarazem chytry filozof. Wziął ją, posiadał, a ona pewnie wszystkim tak pokierowała, że co się między nimi działo, działo się na tle rzeczy najwyższych.

— Mój ty Boże — westchnął doktor André Quitaut. — Jakże cię ośmieszają duchowni i kobiety!

Dzisiaj dopiero, kiedy po obiedzie razem z dzbanuszką kawy kelner podał mu świeżą pocztę z Paryża, przymusiło go coś, aby przez franki w hotelu „A d r i a” w Berlinie, oczami Jannet, spojrzeć na twarze przechodniów, mijających wielkie okno na parterze, przy którym siadywał popołudniami. Lecz cóż to znaczy — zapytał — patrzeć oczami Jannet? Trzeba by zresztą patrzeć zaraz po wschodzie słońca, nie teraz.

Jej widzenie, myśli, światopogląd, wszystko to kłamstwo lub jak kto woli, ciągle jakaś nowa prawda. Jannet zawsze jest tylko taka, jakim jest jej ostatni mężczyzna.

Nie była jego żoną i mógł nie czynić sobie wyrzutów z jej powodu, lecz ostatnimi czasy nie opuszczała go myśl, że to on w czymś zawinił.

Jannet porównać można było z uosobieniem kobiecości, jeśli nie z najwyższym jej, idealnym wzorem. W miłości umiała być interesująca, potrafiła się zdobyć na najniezwyklesze czułości a mimo to zesłała w domu Quitauta do roli czegoś w rodzaju dalekiej krewnej lub gospodyni. Nie miała wprawdzie wykształcenia równego Quitautowi, ale po cóż, na miłość boską, było jej wykształcenie, skoro posiadała urodzive ciało a więc niejako wolny bilet do świata intelektu, sztuki, nauki, polityki, pokazało się, że i kościoła, gdzie zawsze przepadano za tymi rzeczami i tylko tam umiano je używać i cenić.

Jeden tylko André Quitaut obojętniał wobec rzeczonych uroków i było to dziwne. Nie interesowały go idealnie smukłe nogi Jannet Collin, jej po mistrzowsku, cudnie sklepiony brzuch, brzuszek arcydzieło, śliczne, powiedzmy bez wahania, niezemskie, lecz w raju dojrzałe piersi, uformowane genialną ręką, poza plecami Quitauta, pozujące zwycięsko do niejednego ze znanych dzieł paryskich mistrzów fotografii, pędzla i dłuta. Tak zbudowana Jannet mogła iść przez świat, przystając, ale nie zatrzymywana przez nikogo. Quitaut znał, rzec by można, dokładnie, swój brak skłonności dla owych nieodpartych uroków i jeśli czynił sobie wyrzuty z powodu Jannet, miały one miejsce wyłącznie na tym tle. Powinien jej był powiedzieć jasno, co go interesuje, a co nie. Prawdopodobnie dawno już uciekłaby od niego, oszczędzając mu cierpień i męczących

rozmyślał. Najbardziej nieznośne było wysilanie serca, chwile złudy, nierozwagi, czy wręcz słabości charakteru, kiedy rozrzuwiony porywał się od biurka, stawał przed nią, czytając gazetę i zaklinał władczo:

— Na kolana, moja słodka. Motylku... Myszko... — wołał udając szaleńca, spozstrzegając bowiem równocześnie jak haniebnie się wygłupia.

Jannet nigdy nie rozumiała, o co mu chodzi lub nie chciała zrozumieć. W każdym razie nie miała na to ochoty i zamiast klękać i czynić do czego wzywana, pięła się do jego ramion, obejmowała go, gotowa runąć z nim choćby w przepaść, na to jednak bacząc i pod tym warunkiem, aby usta tkwiły na ustach.

W Quitaucie gasł tymczasem zapal i robiło mu się duszno od uścisków. Udawał zupełnie ogłupiałego, który nie wie co się dzieje i przewyciężając zmieszanie, proponował wtedy spacer lub rozmowę. Bardziej jednak cenił zawsze rozmowy, sądząc iż dla Jannet wyjdą one z większym pożytkiem. Pokonany, z upodobaniem rozwdził się nad smutkami miłości niespełnionej, pobudzającymi za to do intensywnej pracy intelekt i ducha. Mówił więc w zasadzie o czymś całkiem innym, ale sam pomyśl, jak widać, nie był taki znowu zły.

Istotnie chłonęła owe podsuwane jej możliwości coraz chętniej i przeinaczając jego intencje marzyła o miłosnych spełnieniach w ulewie myśli czy też w ich blasku; zbliżała się do wieku, kiedy kobieta odkrywa jeszcze inne możliwości zdobywania, mianowicie możliwości intelektualne. Blisko czterdziestki będąc, pod wpływem uczonego Quitauta rozsmakowała się w tajemnicach ludzkiego trwania na ziemi, szukaniu prawdy filozoficznej, nieodgadnionej dla wielu a tak bliskiej, jeśli jej tylko z oddaniem szukać.

W tym też czasie roztyła się nieco lecz wcale powabnie. Pamiętając o jej dawnej smukłości linii, powiedzieć wolno, iż przemieniła się w dostojny majestat. Rzecz nie wykluczona, iż jeśli szło o samo dostojenstwo, upatrywać by trzeba jakichś jego związków z bywaniem Jannet u Św. Matyldy, w kościółku przerobionym z magazynów wojskowych nad samą Sekwaną. Pewne to jednak nie jest. Ciało jej stało się umiarkowanie pulchne, jak gdyby tylko po to, by z niepowstrzymaną gwałtownością wyrażać mogło tym większe zniecierpliwienie nerwów. W takim zaś razie kłamliwą pozą było uzewnętrzniane przez nią rozmiłowanie się w stanach trwałego skupienia wewnętrznego.

Po jakimś czasie na niebaczного Quitauta znowu przyszła znana już czytelnikowi chęć i pewnej niedzieli zawołał uniesiony rzewnie: — Na kolana, moja ty słodka! — I nazwał ją, jak miał w zwyczaju: motylkiem i myszką.

Słyszając to Jannet bez zwłoki obsunęła się na kolana, w pewnym jednakże oddaleniu od niego, tam gdzie ją zastało niespodziewane wezwanie. Krągłe paluszki spłotła wysoko na piersiach, przytomne, skupione oczy z Quitauta podnosząc w górę, w niebiosy.

Prędko Quitaut postąpił w jej stronę, gdy wtem wyraziste wargi Jannet zaczęły szeptać nabożnie, miegłono, lecz wytrwale i się w tym zapamiętały. Modliła się, niech to nikogo nie dziwi, bo jej tak doradził młodziutki spowiednik. Módl się — powiedział — kiedy on trwa w szale.

Działa się rzecz do pewnego stopnia niezwykła i on uciekł od niej przerażony.

Nie mówili do siebie przez kilka miesięcy; dla Quitauta był to czas prawdziwej ulgi, kiedy Jannet istniała i równocześnie mogła być nie istnieć.

A skoro znowu wróciła, obrzucił ją wymówkami:

— Głupie, niestosowne...! Jak mogłaś!

— Trzeba było ze mną porozmawiać o tym. Wielki temat!

— Wtedy porozmawiać? — oniemiał ze zdziwienia. — Umyslnie wybrałaś tę chwilę?

Stał, patrząc na nią, nie tając pogardy. Bolało go jednak, że nie od niego słyszała słowa,

którymi mówiła i myśli jej pochodziły skądinąd. W dodatku jakże chytrze wycelowane wszystko przeciw niemu. Kim byłaby Jannet, gdyby myślała jego, Quitauta, myślami, A gdyby jego, nie czyich innych używała słów? Gdyby w ogóle była kim innym.

Kłócili się, ona popłakiwała. Kiedy już wszystko zawiodło, odchodziła cichusieńko, by kiedyś wrócić w podobny sposób.

Powroty jej były ciągle nieuniknione. Na nich zresztą zbudowana była miłość, a i wielka samotność Quitauta. Odchodziła już niejedną raz na zawsze, kluczy od mieszkania nie oddawała jednak nigdy.

W ciszy, jaka zalegała dom po odejściu Jannet, doktor André Quitaut wracał na nowo do pracy, w niej znajdując wytchnienie i radość. Jeśli wieczorami wychodził kiedy z domu, działo się to tylko na skutek zmęczenia, polegającego na tym, iż co robił, sam sobie w tym był największą przeszkodą. Szedł więc, błądził po mieście bez końca, szukając ucieczki od niepokoju. Nieraz wracając późno niósł w umęczonym sercu wdzięczność dla świata, bo czego by tylko na nim szukać, wszystko w końcu znaleźć można.

Germanistą będąc w Liceum Ludwika Wielkiego w Paryżu, pisał doktor André Quitaut książkę o Lessingu i epoce oświecenia w Niemczech. Biurko jego zalegał materiał gromadzony przez lata, fotokopie rękopisów, istniejące już opracowania, nieopublikowane dotąd listy, wszystko przysyłane mu najczęściej z uniwersyteckich bibliotek Berlina i Lipska. Kończąc pracę, teraz dopiero odwiedził Niemcy, dwanaście lat po wielkiej wojnie.

Quitaut chlubił się posiadaniem pierwszych wydań Lessinga: „Dramaturgii hamburskiej”, „Natana mędrca”, „Wychowania rodzaju ludzkiego” oraz późniejszym wprawdzie, pochodzącym z końca dziewiętnastego wieku, jakże jednak dla niego pięknym wydaniem dramatu pod tytułem „Emilia Galotti”. Stało się u niego nawykiem mieć tę książkę zawsze przy sobie. Tak bowiem często bywa, iż rzecz czasem mała pomaga człowiekowi znosić wielką samotność na świecie.

„Emilia Galotti” i dzisiaj w Berlinie leżała przed nim na stoliku obok srebrnego dzbanuszka do kawy, pustej jeszcze filiżanki i gazet. Ostatni, nie czytany list Jannet, tkwił pomiędzy kartkami ulubionej książki.

W szatni tymczasem ucichło, nie wiało już na Quitauta podmuchami, kiedy z zamachem ubierano płaszcze.

Kelner, mocny w sobie, żołnierski typ Niemca, wystrzyżony do siności skóry i tak wysoko, iż zdać się mogło, na karku nosił drugą czujną i widzącą twarz, co jakiś czas spoglądał na Quitauta, badając przyczyny jego niezadowolenia. Znał kaprysy hotelowych gości, nie chciał, aby się tu co obróciło przeciwko niemu. Uderzył więc w niego pytającymi oczami, skłonił się w duchu, pokazując gotowość służenia.

Quitaut zrozumiał i przywołał go do siebie. Zamówił podwójny koniak a właściwie tak wyglądało, że chce coś wynagrodzić kelnerowi. Powiedział nawet cicho dla zupełnej jasności:

— Przeniosłem się. Wiało mi po nogach.

— O tak. Już jesień — odparł miłym szeptem kelner, ujęty poufałym tonem a w innym miejscu na twarzy dotknięty wymówką, że się sam nie może domyślić, że od okna wieje. Dla kelnera nie to zresztą było najważniejsze, co mówi i myśli Francuz, dlatego rzucając niepewnym okiem oddał się domysłom i nawet obawom. Zza kołnierza białej marynarki wypłynęła mu na kark przejmująca, malinowa plama. Odnosiło się wrażenie: chce coś odwołać póki czas, odwrócić jakiś porządek lub go naprawić, nie uczonego z Francji mając na myśli, ale zupełnie kogoś innego.

Nie trwało oka mgnienie a niski pękaty kielich, do połowy nalany koniakiem, stał już na stoliku przed Quitautem. Nie podgrzany jeszcze ciepłem dłoni, złotawy trunek słabo puszczał z siebie gorzkawą woń, jak gdyby był kwiatem oczekującym chwili przebudzenia.

Na wielkim, jak i sama ściana oknie, powieszona została amarantowa zasłona i w takim razie nic już nie stało na przeszkodzie, aby doktor André Quitaut wrócił do swego stolika, przy którym siadywał od miesiąca.

— Verehrter Herr gestatten!

Skwapliwość kelnera nie dała się wiele namyślać Francuzowi. Zanim co rzekł, tamten wziął już dzbanek z kawą, filiżankę, gazety, książkę z listem w środku i czekał, pokazując dumnie ile się zmieścić może w dwu kelnerskich rękach.

Dlaczego się tak uwijał i naglił, jakby co chciał wymusić, tego Quitaut nie wiedział. Obudziło się w nim jednak uczucie powolnego oporu i napięcia, jakiego doznajemy przynaglani, nie rozumiejąc przyczyn.

Stolik pod oknem, do którego się kierowali, choć dopiero pusty, okazał się nagle zajęty. Siedzący tam mężczyzna podniósł się raptownie, nie tając zakłopotania, w przeciwieństwie do Quitauta. Widziało się ile świadomej godności, ile blasku promienieje równocześnie, z wielkiej, nadzwyczaj pięknej postaci obcego.

Oczy Quitauta próżno szukały odpowiedzi na pytanie kim on jest i co tu robi. Kelner zgięty nisko porządkował na stole, pracował, ręce mając jakby z łoświu, język z drewna i oczy krótkowidza. Wreszcie odszedł, skłoniwszy się obu panom, nie widzący jednak niczego.

Obcy, o wiele potężniejszego wzrostu od Quitauta, patrzył nań z rzadko widywaną u ludzi słodyczą. Jego zjawiskowo białe oczy, przygasły nagle, napotkawszy chłód w spojrzeniu Francuza. Z twarzy i czysto zarysowanych warg wyjrzał zawód; jego powieki drgnęły i przez policzki przemknął skurcz, mający swe źródło jakby w burzy zawiedzionego serca.

Przeżyli złą chwilę, nie dłużej trwającą od błysnienia myśli. Obcego ogarnęło trwożliwe podniecenie, jak kiedy człowiek napotkawszy na swej drodze innego, nieznanego człowieka, nie odchodzi, lecz pyta się o coś siłą wezbranego uczucia i milcząco zwierza tajemnicę, lękliwy, bo bez pewności, jak ona zostanie przyjęta, gdyby istotnie została ujawniona.

Quitauta zmieszało spojrzenie białych oczu, drżących nieco warg obcego, jego władcza, męska twarz, której, zdać by się mogło, nie było pisane patrzeć na coś innego prócz uległości. Francuz usiadł z niejasnym postanowieniem, że nie spojrzy więcej na sąsiada.

— Stoere ich Sie nicht Herr?

— Nie, skądże... Proszę... — odparł niechętny Quitaut i oczy skierował gdzie indziej.

— Wstyd mi — obcy ciągnął niepewnie. — Nie znam francuskiego. Właściwie mógłbym mówić, ale nie ośmielę się przed panem.

— Pan wie, że jestem Francuzem?

— Wiem... — powiedziały białe oczy, wargi dodały nieco głośniejszy. — Ależ jestem tu codziennie. „Adria” to mój lokal, choć to już nie to co dawniej!

— Niechże pan siada — rzucił zniecierpliwiony Quitaut. Zdziwiło go, że tamten stoi ciągle przed nim, nienaturalnie wielki, głowę trzymając nieco po chłopięcemu.

Obcy usiadł po namyśle. Położył przed Quitautem wielkie dłonie i ukrył je zaraz. Palce miał drapieżne, długie, żyjące nieodgadnioną namiętnością ścigania czegoś,

co z wielkim trudem i tylko w walce daje się okiełznać. Pochylił się do Quitauta, szepnął w jego twarz ciepłym, czystym oddechem:

— Szczerze uwielbiam wasz kraj. Byłem w Paryżu w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim. Nigdy więcej. Tylko daty ważne są w życiu Niemców. Tym różni się między sobą od pewnego czasu. Daty i miejsca. Nigdy nie byłem żołnierzem. Słyszysz pan, jak to brzmi? Niewiarygodne? Zdaję sobie z tego sprawę.

— Niewiarygodne zawsze jest możliwe. Nie byłoby inaczej zdziwienia na świecie — rzekł sucho Quitaut. — Interesuje mnie bunt niemieckiego ducha. Jak pan widzi, nie rozstaję się z „Emilią Galotti” Lessinga.

— Tak... — obcy przeżył moment nieopisanego zawodu. — Ależ kobiety nic nie znaczą w tym narodzie. Pan przecież musi wiedzieć, czym jest w języku niemieckim rodzajnik żeński... Śmierć Emilii Galotti? — obcy zastanowił się pod presją wejrzenia Quitauta. — Śmierć kojarzy się Niemcowi z wyobrażeniem najwznioślejszych pierwiastków męskich, jest po prostu rodzaju męskiego. Pan jednak myślał o czymś innym. Nie, nie. Zrozumiałem pana spojrzenie. Śmierć, uważa pan, była jedną z możliwości? A więc stawia pan pytanie, dlaczego ja jeszcze żyję? Przepraszam, ależ najmocniej przepraszam. Jeszcze słowo — obcy uniósł w górę wielką dłoń. — Nie wiem, czy ktokolwiek mógłby żądać ode mnie czegoś więcej. W trzydziestym trzecim, w lutym, widziano mnie na estradzie po raz ostatni. Postanowiłem nie istnieć dla nich, w ministerstwie propagandy złożyłem oświadczenie w tym sensie mniej więcej. Mimo wszystko wiedzieli, że nie porzucę skrzypiec. Przez dwanaście lat grałem niedaleko stąd w dzielnicy Weissensee, w małej piwiarni. Zostałem tam oficjalnie skierowany, aby się nazywało, że oni nie są mściwi i dbają o nieszczęśliwych idiotów. Może pan sobie wyobrazić, w piwiarni gra się tylko do śpiewu. Bunt naraził mnie na to, czego bałem się zawsze panicznie. Na śmieszność. Nie pozwolili mi wyemigrować; kiedy wystąpiłem ze Związku Muzyków, w prasie ukazały się ubolewające komunikaty, że się skończyłem i po prawdzie nigdy nie miałem prawdziwego talentu. Interesuje pana duch niemiecki, więc pan chyba nie zdziwi się dalszym ciągiem sprawy. Wszyscy wierzą do dzisiaj, że się skończyłem i nigdy nie miałem prawdziwego talentu. Bunt zabija, unicestwia, to nie jest dobra droga dla żywej jednostki. Zawsze lepiej jest robić gorliwie to co każą. Lepiej jest ich oszukiwać i przetrwać przy swoim. Sztuka zawsze może przetrwać każdego durnia... Momencik, przepraszam. Pan nie wie kim jestem. Moje nazwisko Johannesfryderyk Koenig.

— Doktor André Quitaut — przedstawił się mile ujęty Francuz, ściskając dłoń Koeniga.

Nazwisko muzyka niemieckiego znane mu było, a przynajmniej teraz zdało mu się bardzo znajome. Słyszało się o skrzypku takiego nazwiska. Quitaut czytał o nim. Nie wiedział tylko kiedy czytał, w latach trzydziestych, czy wczoraj.

— Miło mi — mówił. — Ależ tak, czytałem, wiele się o panu słyszało. Jestem zaszczycony.

Roześmieli się zadowoleni, że jednak odkrywają coś usprawiedliwiającego ich znajomość i to, że właśnie siedzą razem przy jednym stoliku. Doznania cieszące Quitauta, pochlebiały równocześnie Johannesfryderykowi Koenigowi, nie ma bowiem większego szczęścia dla artysty, jak kiedy przekonuje się, iż świat wie o nim i jego nazwisko nikomu nie jest obce. Miał się za zapomnianego nieszczęśliwie, a tu pamiętają jeszcze o nim i to w Paryżu.

W miłym nastroju budzącego się nagle zaufania, opowiadali o sobie, to jeden to drugi. Zabrnęli w rozmowę o cichej wdzięczności serca, tęsknotach duszy, najwięcej o młodości,

tym wielkim darze życia, który w nadzwyczaj naturalny sposób muzyk odkrywał właśnie u Quitauta.

Zwyczajem niemieckim, czyli z prostego szacunku dla pieniędzy, nic nie jedząc, wypili jeszcze po kilka koniaków, rozpoczęli flaszkę szampana i wtedy pokazało się dowodnie, że Quitaut istotnie jest młodszy i to o lat piętnaście, do czego przyznał się nie bez pewnego zawstydzenia.

I Koenig wyjawiał wtedy melancholijnie, że dochodzi sześćdziesiątki.

— A włoski? — powiódł palcami po imponującej kasztanowej czuprynie. — Włoski siwe... W trzydziestym roku życia osiwałem doszczętnie.

— Nie wierzę! — śmiał się Quitaut, słysząc ton szczerzy i żalotny. — Włosy pana zachowały jeszcze piękny, naturalny kolor!

— Ależ nie... — upierał się rozbawiony Johannesfryderyk. — Farbowany jestem...

Jak młodziki pijący po raz pierwszy, tak oni z zapalem sięgali po kieliszki. Twarze ich zapłonęły, głowy nachylone do siebie potakiwały cichym słowem, albo zastęgały, w zależności od tego czy się czemuś dziwili, czy też smutnie nie dowierzali.

Oblicze Johannesfryderyka zasnuła nagle mgielka, jak gdyby się cofnął i mówił oddalony. Oczy z białej emalii straciły blask, zdradzając głębokie napięcie wewnętrzne i całą głębię wzruszenia przekazując wprost Quitautowi.

— Jestem niewymownie zmęczony — Johannesfryderyk miał na myśli zmęczenie ducha nie ciała. — Młodość przeżyłem w nieskończonym zachwycie, lecz to był dręczący sen. Do szczęścia, jakie może dać sztuka, zawsze potrzebny nam jest ktoś drugi, kto wie o nas wszystko. A przy mnie w tym najpiękniejszym okresie nie było nikogo. Naszą sztukę, nasz świat przesłodkiego czarodziejstwa i męki, najpewniej kochamy w kimś innym, w tajemnicy zespolenia, w najprawdziwszym oddaniu serca. Przeżyłem pierwszy ból, odkrywając moją samotność, tę truciznę tęskniącej duszy, żalobę po szczęściu odwołanym, jak to odczułem już wtedy, na zawsze. Zna pan to? W sercu czarno... Lecz nigdy nie wyzbyłem się nadziei, że ktoś nareszcie przyjdzie, będzie czekać u mych własnych drzwi. Kto czeka nazbyt długo, nie pragnie już trwałego szczęścia, lecz choćby tylko krótkotrwałych oślnień. Za jedno z nich dałbym resztę życia, byleby choć na chwilę wypełniło serce po brzegi. — Johannesfryderyk dotknął palcami piersi Quitauta. — Czyżby tylko zawsze śmierć była wybawieniem czekającego serca? — Wtem zaśmiał się, jakby żałował czegoś poniewczasie. — Wziął mnie pan pewnie za niepoważnego głupca, kiedy przyznałem się do moich farbowanych włosów. Roześmiałem się przy tym tak niemądrze! Zaśmiałem się na wspomnienie bólu. Jak to możliwe? Kiedyś był przy mnie człowiek bardzo mi bliski. O, bardzo bogata, wrażliwa natura. Mimo młodego wieku prawdziwie kochał sztukę, umiał odwzajemnić szczerze przywiązanie. Póki... — Johannesfryderyk zawiesił głos i palcem godził w pierś Quitauta. — Póki nie spostrzegł moich siwych włosów. Pobielałem wtedy gwałtownie. Był to ów moment, kiedy napisałem pamiętne oświadczenie. Już wtedy zacząłem grać w piwiarni. Nie rozumiał tego, a raczej pojmował zgoła inaczej. Pod tym względem różniliśmy się poważnie, wcześniej już była mowa o tym między nami. Młodość zawsze bywa bezradna wobec problemów politycznych, łatwo jednak ulega demagogom i potrafi być nikczemna jak i oni. On był bardzo jeszcze młody i niedoświadczony...

Przesiedlono mnie właśnie. Mieszkałem już wtedy w maleńkim pokoiku przy Janowitzer Bruecke. Znał pan tę dzielnicę? Kałuża! Mogli zabić człowieka za pół marki, za dwa papierosy. Dzisiaj nie stoi tam już kamień na kamieniu. Sklepy, rzeźnie, koszary, piwnice i strychy pełne mrowiącego się bagna, które pewnego dnia wlało

się do śródmieścia. Oczywiście ubrali ich jednakowo. Ja mieszkałem na jednym ze strychów.

Jakiś czas jeszcze spędzaliśmy tam razem niektóre wieczory, kiedy nie musiałem iść do piwiarni. Grałem ulubionego Schumann'a, czytaliśmy wiersze Rilkego. Aż nagle powiedział, że czegoś się boi. Serce przysłoniła mu chmura i mówił do mnie o lękach, które bez wątpienia czuł. Niebawem miał się ukazać w druku tomik jego poezji, co ukrył przede mną. Tych wierszy wcale nie znałem. Dzisiaj jest to już ceniony, ogólnie szanowany pisarz. Wielki talent, może się nie obawiać, że znalazłyby się powody, dla których można by go nie szanować. Przemilczę nazwisko. Otóż wtedy powiedział mi, że krępują go moje siwe włosy. Powód! Zapłakał widząc moje zakłopotanie. Poprosił, abym zgasił światło i grał dalej. Nie zdziwiło mnie to. Wiedział, jaką przyjemność sprawia mi gra w ciemności, jeżeli on słuchał. Zacząłem ulubiony przez niego utwór. Nie wiem, czy grałem, miałem jedynie świadomość, że on mnie słyszy. Sądziłem, pragnie pocieszenia, był bowiem, przyznać muszę, wspaniale muzykalny, bardzo podatny. Grałem, póki nie otrzeźwiło mnie nagle doznanie niesamowitej pustki. Potoczyłem się w ciemności i upadłem. Było to głębokie, jak pan się zaraz przekona, niebezpieczne omdlenie. Ciała nie czułem, nad moimi myślami zamknęło się ciężkie wieko, którego istnienie odkryłem ze zgrozą. Znalazłem się w przedziwnym stanie, choć bez uczucia, cierpiałem jednak. Czegoś podobnego, sądzę, doznawać będziemy po śmierci. Widziałem, czułem obecność własnej zmaterializowanej świadomości. Głaz bólu, ołowiana treść, cieknąca jednakże swobodnie jak woda, żywe, unerwione zjawisko, przypominające, że on odszedł, podcinające wszakże moje życie. A biorąc rzeczy brutalnie, po prostu uciekł ode mnie, wykorzystując ciemność i muzykę.

Skoro tylko wróciłem do przytomności, nie mogłem się rozeznąć w tym co zaszło. Zdziwiły mnie ściany, skośne jakieś nade mną a najwięcej meble ustawione jedne na drugich. Wspominałem już o maleńkich rozmiarach pokoiku. Nigdy nie patrzyłem na mój dobytek, leżąc na podłodze. Wstrząsające doznanie, jeśli uwzględnić żywą obecność tego co mnie obaliło.

Podźwignąłem się nie ten sam. Bardzo wcześnie rano, o świcie wyszedłem z domu i bodaj na dworcu przy Aleksanderplatz, kazałem ufarbować moje włosy. Oczywiście, że nie o to chodziło... Zrozumiałem, że muszę stać się kim innym, choć nie zaprzeczę, iż ciągle ulegałem snom boleśnie osamotnionej duszy. Nigdy już więcej nie wrócił, lecz wciąż czytywałem wiersze Rilkego, grałem Schumann'a...

Poezje mojego przyjaciela ukazały się w wielkim nakładzie pod tytułem „Ziemia i krew”. Kochał przecież Schumann'a i Rilkego... Nie wiem, jak do tego doszło. Później spotkałem go w operze, wtedy wystawiali jeszcze Wagnera. Było to bodaj ostatnie przedstawienie, bo potem zakazali. Wagner nigdy nie miał szczęścia. Nie myślę się, był to rok trzydziesty piąty. Mój przyjaciel łśnił, błyszczał otoczony młodzieżą, wyrósł na przepięknego mężczyznę! Pisał wszystko, czego chcieli, ale uratował go talent. Miał widać piekielną odporność i go nie zniszczyli. Po wojnie, pewnie to pana zainteresuje, bywał na moich koncertach w Brukseli i Wiedniu. Pisał do mnie kilka razy... Cóż, kiedy nie mogłem, drogi panie, nie mogłem... — Johannesfryderyk położył palce na dłoni Francuza. — Takie są żale samotnego serca, mój drogi doktorze... jeśli pan pozwoli tak poufale mówić do siebie.

Doktora Quitauta zawiódł głos. Odetchnął głębiej, dłoń jego drgnęła pod palcami Johannesfryderyka. Lecz nim zdobył się na pierwsze słowo, Johannesfryderyk podźwignął przed nim ręce, wołając jakby o ciszę nad wielkim wzburzeniem a może miał moc, zdolną

jednym gestem ustanowić myśli, które powinien był wyrazić Francuz.

— Wiem na pewno... — zaczął Quitaut głosem bardzo zrazu niepewnym. Daleki jestem od tego, aby twierdzić, że oczekuje pan ode mnie współczucia! Serce pana zbyt jest wielkie, silne a ból choć tak żywy jeszcze w pamięci, bardzo jednak dawny. Szczerze cenię wzniosłą szlachetność pana, cenię godność. Krzywdą, jakiej pan zaznał, budzi uczucia, o których nie wiem co powiedzieć. Jeszcze to sobie szczegół po szczególe przemyślę. Nie mogę jednak przemilczeć myśli, iż niejednokrotnie szczęście nasze i spokój powierzamy ludziom niegodnym. Tacy, zapewniam pana, Johannesfryderyku, nigdy nie poznają uroku przyjaźni...

— Cudu miłości! — poprawił cichusieńko Johannesfryderyk.

— Przed szczerością serca — ciągnął rozgorączkowany Quitaut — uciekną! Nie rozumieją czulego drgnienia myśli. W duszy nosić będą zawsze okrucieństwo! Samotność przeżył pan, Johannesfryderyku, jako niebycie, jako nieobecność własną, tak to przynajmniej wyczułem z pana słów — ciągnął z przejęciem Quitaut. — Ale czymże jest samotność na oczach drugiego człowieka, który czyha na nas i może sztydzi, lecz nie odchodzi? Od którego uciec można tylko na chwilę, bo już nie można uciec na zawsze!

— Tyś przeżył większą udrękę, doktorze... — westchnął Johannesfryderyk. — Cierpiełaś stokroć więcej ode mnie! Tylko czy ja dobrze zrozumiałem?

Quitaut nie zwrócił uwagi na pytanie, zapalił się w mówieniu przeciw Jannet, boć przecież ją tylko miał na myśli i ją oskarżał. Unicestwiał Jannet. — A czymże właściwie jest to wszystko, Johannesfryderyku? Czymże to jest? Brzuch, nogi, dwie piersi. Strona dobrej naukowej prozy więcej jest warta od...

— Los pana, doktorze, głęboko mnie wzrusza — rozżalił się Johannesfryderyk. — Tylko czy ja się aby nie mylę... Ma pan na myśli kobietę?

Quitaut zamilkł. Uczuł wyraźnie uderzenia krwi w skroniach. O tak, miał na myśli kobietę. Odkrył w sobie zapiekłą niechęć do Jannet. Ale jakże się to stało? Dawno już przecież była mu obojętna.

— I nie szukał pan prawdziwej przyjaźni! — podjął cierpliwy Johannesfryderyk. — Nie poszedł pan za głosem samotnego serca?

— Cierpiałem i cierpię niewymownie — wyrzucił z siebie Quitaut. — Szukałem wytchnienia od męki, chciałem zapomnieć. Rozmłówałem się w pracy, w cichych wieczorach w bibliotece, nocach przy biurku, stukocie maszyny. W tym wszystkim, Johannesfryderyku, co nas słucha, gdzie my tylko panujemy. Do nikogo nie mogłem się przywiązać. Rzadko, żebym wracał do kogoś po raz drugi, bo po co wracać? Poznałem wszystką miłość i zawsze bałem się miejsc, gdzie mówiono mi o szczęściu. Kiedy mi ktoś mówi o szczęściu, wiem od razu, że to podstęp, że ktoś chce, by przy nim zostać na zawsze. Kobiety, Johannesfryderyku...

— Wiem, wiem, mój doktorze... — przerwał spłoszony nieco Johannesfryderyk. — Już się zrobiło późno. Nieco wypiliśmy. A gdybym zaproponował panu spacer? Pokażę panu mój Berlin. Miasto, które kocham bez podejrzeń!

— Ależ pan, Johannesfryderyku, rozumiałaś mnie zbyt skrajnie! Bardzo mnie to krzywdzi! Powiedziałem, że budzą się we mnie podejrzenia, gdy ktoś mi mówi o szczęściu, lecz nie w tym sensie, bez cienia aluzji...

Spojrzały na niego przebaczące oczy Johannesfryderyka.

Ubrał ich troskliwy kelner, z drugą, widzącą twarzą na posiniałym karku.

Przed hotelem „Adria” pusto było i ciemno. Dopiero w dalekiej perspektywie Friedrichstrasse, w okolicy teatru „Metropol” i dworca kolejki roilo się od kolorowych świateł. Było to jedno z wielu miejsc w Berlinie, które wołają niespokojnie wśród nocy, zapowiadając natarczywie przeogromne zniszczenie się tęsknot.

Johannesfryderyk Koenig i doktor Andrè Quitaut szli powolnym krokiem w kierunku wołających światła. Przystanęli na moście nad kanałem Szprewy. Oparci o żelazną balustradę trwali przy sobie blisko. Nikt nie mógł widzieć, jak uśmiechają się ukradkiem, nieznacznie, kryjąc przed sobą jednakowe myśli i rozrzewnienie.

Johannesfryderyk ujął Quitauta pod ramię. Oddalali się przytuleni do siebie nieśmiało. Zanim doszli do Unter den Linden, zdawało się, idzie jeden osamotniony człowiek, nie dwu.

[*Samotni nocą. Opowiadanie*. Katowice 1970]



**Jan Pierzchała**

**Tego miasteczka już nie ma**

## Teatr w starym Jaworznie

W 1918 roku, wszędzie na ziemiach polskich, wyzwolona duchowość narodowa spontanicznie manifestowała swą żywą obecność. Powoływano towarzystwa oświaty i ludowe uniwersytety regionalne, których atmosferę przedstawił Stefan Żeromski w sztuce *Uciekla mi przepióreczka*. Któż mógłby kiedy pomyśleć o kulturze bez oświaty? Przy tym, co istotne, organizowano również teatr, tę jakże trudną, najbardziej złożoną ze sztuk, lecz przecie w sposób najprostszy i bodaj najskuteczniej apelującą do serc i umysłów ludzi, do wyobraźni.



*Kolonie letnie dla dzieci powiatu chrzanowskiego w Regulicach. 1932.  
Od dołu: 1 rząd stoją od lewej z Jaworzna: x, Jan Pierzchala, x, Mieczysław Kopka*

Jak bywa niezmiennie w każdej epoce, forma ówczesnej kultury wynikała z panującej formy życia, z jego duchowych potrzeb.

W pierwszych latach niepodległości spontanicznie powstawały zespoły miłośników sceny, teatr amatorski, robotnicze i wiejskie grupy teatralne. Rozwinął swą działalność Związek Młodzieży „Siła”, posiadający sekcję sceniczną. Zespołami teatralnymi

„Siły” opiekowała się Sekcja Teatrów Ludowych przy Towarzystwie Przyjaciół Teatru Polskiego. Organem TPTP był miesięcznik „Teatr Ludowy”, którego redakcja rejestrowała, instruowała, wreszcie pośredniczyła we wspieraniu finansowym rozwoju ruchu teatralnego w miastach i na wsi.

„Teatr Ludowy” otworzył swe łamy również dla teatru w Jaworznie. Nie po raz pierwszy szerszą historię kultury narodowej przychodzi nam kojarzyć z dziejami kultury w tym małym wówczas mieście.

Dla potrzeb niniejszego szkicu pozostaliśmy przy owych dwu wcześniej wywołanych hasłach, jakimi są Sekcja Sceniczna Związku Młodzieży „Siła” oraz miesięcznik „Teatr Ludowy”, ukazujący się w Warszawie.

„Siła” powstała we Lwowie w 1881 roku. Związek ten szybko przeniesiony został do Krakowa, gdzie skupiał nie tylko młodzież pracującą, ale także uniwersytecką. Kiedy „Siła” powstała w Jaworznie? Informuje nas o tym historyk: „Na ziemiach byłego Zaboru austriackiego ogniwa PPS rozpoczęły pracę oświatową w 1919 lub 1920 roku, w różnych miejscowościach m.in.: w Krakowie, Lwowie, Borysławiu, Nowym Sączu, Przemyśle, Łańcucie, Jaworznie.” (Adam Światło: *Oświata a polski ruch robotniczy 1876-1939*).

Jednakże „Siła” była zawsze organizacją niezależną, uchylającą się stanowczo wszelkiemu podporządkowaniu partyjnemu. „[...] Na Śląsku „Siła” przetrwała do 1939 roku, kiedy to w statucie jej podkreślono nie tylko funkcje społeczne, lecz również niezależność: „„Siła” ma na celu szerzenie wśród najszerszych mas nauki i sztuki» (Tamże, s. 573).

Identyczny program należy przypisać Związkowi Młodzieży „Siła” w Jaworznie, który w połowie 1922 roku był już organizacją zdolną do takiej pracy, o której pamięć przetrwać może każdy upływający czas. Trwa też, jak się okazuje, do dzisiaj. Choć niewątpliwie pod niejednym względem – każdego nie obeznanego z sytuacją środowiska – zmylić by mogła orientacja właścicieli ówczesnej siedziby jaworznickiej „Siły”; związek mieścił się bowiem w tzw. „Radzie Robotniczej”, domu przy ulicy Górnicy 30 (dzisiaj), zbudowanym w 1919 roku przez PPS. Była to w tym czasie budowla prosta jak stodoła, z wyższymi nieco oknami, z salą widowiskową wyposażoną w scenę w postaci wysokiego podium. Dom przebudowany później wiele razy mieści dziś przedszkole. Resztę mówi wmurowana przez ZBOWiD w ścianę tego tablica pamiątkowa.

Miejsce to zmieniło swój pierwotny wygląd, lecz kiedy przyprowadzicie tam kogoś z mieszkańców starego Jaworzna, kto pamięta ten dom z danych czasów, powie wam niewątpliwie, że to „Rada”, innej nazwy nie znajdziecie.

Tu działała Sekcja Sceniczna jaworznickiej organizacji „Siła”. Jej pracę dokumentował miesięcznik „Teatr Ludowy”, najdłużej istniejące czasopismo teatralne w całej historii prasy polskiej. Stanowiło kontynuację założonego w 1908 roku „Poradnika Teatrów i Chórów Włościańskich”, w 1919 roku, wychodzące jako „Lirnik Wioskowy”, od 1920 roku jako „Teatr Ludowy”, redagowany przez Wacława Budzyńskiego, zaś w okresie 1923-1939 przez Jędrzeja Cierniaka, entuzjastę teatru, artystę, autora wielu pozycji repertuarowych. Jędrzej Cierniak był inscenizatorem widowisk wysnutych z obrzędów, pieśni i folkloru o charakterze raczej misteryjnym. Propagował idee teatru regionalnego, o jakim pisał Stefan Żeromski w *Snobizmie i postępie*.

## Teatr Józefa Saługi

Powróćmy na scenę teatru w jaworznickiej „Sile”. Istniejące już wtedy sceny w „Sokole” i „Przyjaźni”, choć posiadały ku temu dużo lepsze warunki, nie podjęły jeszcze wówczas w tej skali programowej działalności scenicznej, nie miały stałych zespołów artystycznych. Z początkiem 1922 roku młodzi artyści-amatorzy, entuzjaści sztuki teatralnej wstępowali raczej do Sekcji scenicznej „Siły” w „Radzie”.

Organizatorem, wreszcie kierownikiem tej sekcji, aktorem i reżyserem był Józef Saługa (3 IX 1889 – 28 XI 1971), znany później działacz katolicki, między innymi współtwórca i jeden z założycieli i opiekunów Katolickiego Związku Młodzieży Polskiej, powstałego w 1935 roku, z siedzibą w gmachu „Przyjaźń”.

Józef Saługa w latach trzydziestych został pracownikiem Ubezpieczalni Społecznej w Chrzanowie, dokąd dojeżdżał codziennie pociągiem. Na skutek owych marszów z teczką na stację kolejową i stamtąd do domu, za powrotem ciągle pod górę, mieszkał bowiem z rodziną przy ul. Krzywej 8, w domu Majmurków, stał się postacią zawsze o wiadomych porach widoczną, przez to charakterystyczną, właśnie na łamach wspomnianego miesięcznika „Teatr Ludowy”. Bez jakiegokolwiek dowolności możemy więc powiedzieć, że teatr „Siły” w Jaworznie, był to teatr Józefa Saługi.

Choćby w ten skromny sposób wnieśmy pomnik tej pięknej postaci zanego jaworznianina. Otwórzmy miesięcznik „Teatr Ludowy” nr 1 z 1923 roku. Józef Saługa zamieszcza tam sprawozdanie z pracy swej Sekcji Scenicznej za rok ubiegły 1922. Pisz o premierze dwu jednoaktówek granych przez aktorów-górników w dniu 15 sierpnia oraz o kolejnych sztukach wystawianych dnia 22 października. Były to: *W Dąbrowie Górniczej*, dramat z życia górniczego (autorka Maskoff) i *Błązek opętany*, komedia w 1 akcie (autor Anczyc). „Sztuka pierwsza udała się bardzo dobrze [...]. Również i druga sztuka, jak zwykle u nas komedia, przyjęta była dobrze. [...] Na sali już na długo przed rozpoczęciem zgromadziło się dużo robotników, którzy rzęsiście oklaskiwali wykonawców. Dowód to, że tutejsza placówka Teatru Robotniczego swoją staranną wystawą sztuk i doborem tychże zaczyna zdobywać sobie w mieście uznanie i powodzenie. Pod artykułem widnieje podpis: „Józef Saługa, kierownik Teatru Robotniczego w Jaworznie”.

Co zaś ma związek z dramatem *W Dąbrowie Górniczej*, to pseudonim: Józef Maskoff, cytowany przez Saługę, jak wiadomo, należał do wybitnej dramatopisarki, Gabrieli Zapolskiej. Jako aktorka w trupie Felińskiego, również jako autorka *Kaśki kariatydy*, Zapolska, w tym przedstawieniu własnej sztuki występowała w Dąbrowie Górniczej w dniach 10-16 maja 1896, była wtedy gościem uczniów tamtejszej Szkoły Szytyarów.

Młodzi górnicy wywarli na niej duże wrażenie. Dała też temu wyraz w jednoaktowym utworze *W Dąbrowie Górniczej*, wydanym we Lwowie w 1898. Sztuka znana była pod wcześniejszym tytułem jako „migawka narracyjna” – *Dlaczego wiary nie mają?*. Prapremiera odbyła się w lutym 1899 roku. Ów pierwotny tytuł bardziej przystawał do treści „obrazka scenicznego”, *W Dąbrowie Górniczej* opowiada bowiem o strajku na tle pewnej górniczej rodziny, w której ojciec górnik, pamiętający pańszczyznę i pałki kozackie, tłumiące każdy bunt, długo nie decyduje się na przystąpienie do strajku, przygotowanego przez młodych szytyarów, póki nie przekonał się o ich prawości i poświęceniu.

Inny świadek ówczesnego życia teatralnego w Jaworznie, Karol Gołąb, delegat Zagłębia Chrzanowskiego Związku Teatrów Ludowych, opiekujący się także zespołami teatralnymi „Siły”, w swoim okresowym sprawozdaniu z działalności, opublikowanym przez „Teatr Ludowy” (nr VI z 1923 roku), opisał repertuar wystawiony ostatnio w Jaworznie, sporo miejsca poświęcił metodzie pracy scenicznej, stosowanej w zespołach, zgodnie zresztą z instrukcjami zamieszczonymi na łamach tego miesięcznika.

Coraz więcej mamy dowodów, iż w latach 1922/23 Józef Saługa uczynił własny teatr nie tylko popularnym wśród swoich, ale i głośnym pośród amatorskich scen krajowych. W połowie sierpnia 1923 roku doszło w Jaworznie do niezwykle oryginalnego wydarzenia teatralnego. Józef Saługa wyprowadził swój zespół teatralny, sięgnął po formę, o której pisali: Cierniak i Żeromski. Saługa dał wielkie przedstawienie plenerowe w Parku Gwareckim w Jaworznie.

Otwieramy opóźniony tym razem miesięcznik „Teatr Ludowy” nr 1/2 z 1924 roku. Przymknąwszy oczy widzimy, jak wcześniej Józef Saługa zasiada do pisania, jak niezwykle starannie kaligrafuje tytuł swego obszernego artykułu *Cyganie Korzeniowskiego w Jaworznie*.

O czym pisze? Do drugiej w nocy zespół budował scenę. Zakładali kolorową instalację elektryczną, formowali scenografię ze świerków i sosen, bo akcja *Cyganów* toczy się w lesie. Przedstawienie zaczęło się o 17 w niedzielę. „Licznie zgromadzeni mieszkańcy Jaworzna z entuzjazmem przyjęli teatr Józefa Saługi. Po każdym akcie *Cyganów* rozlegała się burza oklasków. [...] Wieczorem wychodzą z parku tłumy żywo rozprawiające o udanym widowisku. Cel mój został osiągnięty” – kończy swoją relację autor.

Podobnego zamierzenia teatralnego w tej formie nie zrealizuje później w Jaworznie już nikt inny; Józef Korzeniowski pojawi się jeszcze na afiszach, gdy na scenie w „Przyjaźni” odbędzie się w 1932 roku premiera jego *Karpackich górali* i tym razem z udziałem Józefa Saługi jako reżysera.

W kilka miesięcy po wystawieniu *Cyganów* załamuje się teatr w „Radzie Robotniczej” w Jaworznie. „Sekcja Teatrów Pracowniczych” powstała w 1922 roku pod opieką Związku Teatrów Ludowych, skupiająca dziewięćdziesiąt zespołów w całym kraju, została zlikwidowana. Był to także wyrok na zespół teatralny Józefa Saługi, który tyle osiągnął. Saługa sprawił, iż Jaworzno w owym czasie zaistniało na mapie teatralnej Rzeczypospolitej Polskiej.

Gdy w 1926 roku Teatr Osterwy „Reduta” wyruszył w objazd po teatralnej Polsce, stanął również w Jaworznie i dał tu na scenie w budynku „Sokoła”, wówczas przy ulicy Szkolnej dwa przedstawienia sztuk Stefana Żeromskiego: *Sulkowski* i *Uciekła mi przepióreczka*.

Spójrzmy na mapę tej podróży „Reduty” po Polsce. Wykonał ją T. Białkowski, umieszczona została w pomnikowym dziele Michała Orlicza – *Polski Teatr Współczesny. Próba syntezy* (Warszawa 1932, s. 171). Bez tej mapy nie można z pełną wiarygodnością mówić o dziejach kultury teatralnej w mieście Jaworznie. Jest ona dowodem ambitnych, po części spełnionych aspiracji kulturalnych tego miasta w przeszłości.

## Pamięć o źródłach

Józef Saługa i jego teatr w Radzie Robotniczej w Jaworznie kojarzył stare dzieje teatru z nowszymi. Saługa nie znał o 17 lat starszego Wincentego Drabika (1881-1933) urodzonego w Jaworznie malarza i znakomitego scenografa wielkiego teatru polskiego. Rodzice Drabika: ojciec Franciszek, górnik, matka Katarzyna z Kozakiewiczów z dawien dawna zamieszkiwali w Jaworznie. Wybitne zdolności zawiodły Wincentego Drabika z Jaworzna do Krakowa, gdzie uczył się zrazu w Szkole Przemysłowej, potem jako stypendysta rządowy studiował w Akademii Sztuk Pięknych. Uczył się u St. Wyspiańskiego, J. Mehoffera i St. Stanisławskiego. Od 1903 r. malował dekoracje dla „Teatru Ludowego” w Krakowie, tam też pod pseudonimem „Kibard” występował jako aktor. W 1903 r. rozpoczął studia w Kunstgewerberschule w Wiedniu. W czasach późniejszych w Polsce sam stworzył własną, oryginalną scenografię w teatrze polskim.

Teatralne Jaworzno ożywiło się w latach dwudziestych. Po rozwiązaniu zespołu aktorskiego Saługi, po bytności w Jaworznie „Reduty” wzrosły ambicje, zaczęto organizować w „Sokole” i w Katolickim stowarzyszeniu „Przyjaźń” nowe zespoły sceniczne o wyższych niż dawniej dążeniach. Oto w 1927 r. M. Szpakowicz, kierownik artystyczny i reżyser „Teatru Polskiego” w Katowicach wraz z żoną Michaliną, aktorką, pod wpływem jaworznianina i aktora Stefana Martyka, zorganizował i prowadził w Jaworznie płatne „studium dramatyczne” dla dużego grona miejscowych amatorów obu scen w mieście.

Teatr „Przyjaźni” skupiał raczej włościan i robotników oraz młodzież, dla której corocznie wystawiano *Pastoralkę* w najstarszej edycji lipskiej, opracowanej przez ks. Mioduszewskiego, *Wigilię Św. Andrzeja* – Dominika Dorowskiego, dla dzieci grano *Jaselka* – Or-Ota i L. Walczyńskiego. Na Wielkanoc dawano *Golgotę* – R. Rostana. Pojawiał się repertuar umoralniający, jak choćby *Madej zbój* – K. K. Matauscha lub *Madejowe łóżko* P. Kołodzieja. Popularnością cieszył się Korzeniowski i jego: *Cyganie*, *Majster i czeladnik*, *Karpaccy górale*, grani w Jaworznie także pod tytułem *Nad Czeremoszem*, zawsze w reżyserii J. Saługi.

Do zespołu teatralnego „Przyjaźni” należeli: Józef Kawecki, Karol Stolarzewicz, Mieczysław Bigaj, Jan Chachulski.

W „Sokole” skupiało się aktorstwo raczej ze sfer urzędniczych. Występowała tu Wanda Uramowicz, siostra późniejszego aktora i reżysera, Andrzeja, razem ze swoim mężem Jerzym Goetlem i jego bratem Władysławem, znanym pianistą. W drugim pokoleniu aktorstwo uprawiali: córka Wandy i Jerzego, Maria oraz jej mąż Stanisław Kopocz.

Scena w „Sokole” inaugurowała swą działalność w 1927 r. wystawieniem spektaklu *Powsinogi beskidzkie* – E. Zegadłowicza w inscenizacji i reżyserii M. Szpakiewicza i Arturowej Górskiej. W „Sokole” działał teatr dla dzieci, w którym popularność zdobyła sztuka Marii Gerson-Dąbrowskiej – *Laleczka z saskiej porcelany* z doskonałą Janiną Kogutówną w roli głównej. W latach 1929-1939 wystawiono w „Sokole” rewie i inne utwory muzyczno-wokalne. Ten repertuar wyreżyserowali: M. Szpakiewicz, P. Ptaszyk, Stefan Martyka, M. Bigaj, Wł. Goetel. Stronę muzyczno-wokalną cechował wcale profesjonalny charakter. P. Ptaszyk był filharmonikiem z Krakowa, śpiewała urodzona w Jaworznie i wykształcona w Konserwatorium Muzycznym w Katowicach Józefa Wierzbik-Bem. Wyższe studia muzyczne odbyli obaj Goetlowie. Popisywali się najmłodszy pianiści z Jaworzna: Mieczysław Reyman, Adam Hofman. Śpiewali, jeszcze

jako gimnazjaliści, Bronisław Biliński i bardzo młody, Dino Szabo, syn Włoszki i Węgry, b. Admirala floty austriackiej, który w 1920 r. osiadł w Jaworznie.

Od 1929 r. utrzymywał się na scenie w „Sokole” *Karnawał w Rzymie* – Johanna Straussa (syna), w reżyserii M. Szpakiewicza i Stefana Martyki, przy fortepianie zasiadał Władysław Goetel. Podobnym zainteresowaniem cieszył się *Jazzband* – E. Kreneka i *Mam prawo kochać* – montaż poezji i ówczesnych szlagierów – z filmów i kabaretów, w reżyserii P. Ptaszyka.

W tym repertuarze występowali: Wanda Uramowicz-Goetlowa, obaj Goetlowie, Bronisław Datoń, Stanisław Grzegorzczak z bratem Władysławem, Wł. Kwiatek, Wł. Biel, Józef Mruzek, T. Owerko, J.Chachulski.

Nie zadawały się z nimi M. Szpakiewicz, gdyby nie reprezentowali odpowiednio wysokich umiejętności wokalnych i aktorskich. Sam ich zresztą wykształcił i opiekował się nimi, zanim w 1931 r. z Katowic wyjechał do Wilna.

Wspomnieliśmy wcześniej Wandę Uramowicz i jej brata Andrzeja, urodzonego w Jaworznie 20 XII 1914 r. Matką ich była Franciszka z d. Rogosz, nauczycielka, ojcem Stanisław Marian, pracownik sądu. Spośród siedmiorga rodzeństwa, dwaj bracia: Andrzej i Hubert byli bardzo do siebie podobni. Wzięli sobie urodę po ojcu. Z tej przyczyny myliliśmy ich obu: aktora i reżysera, dyrektora teatrów, z dyrektorem gimnazjum i Liceum im. A. Mickiewicza w Katowicach. Obaj byli jednakowo dystyngowani, jakby co dopiero opuścili salony lub ku nim spieszyli uroczym wystudiowanym krokiem swych długich nóg.

Zaskakuje nas, że i Andrzej najpierw był nauczycielem. Razem z bratem, z całą pewnością przez matkę, zostali popchnięci ku nauczycielstwu. Andrzej studiował w Seminarium Nauczycielskim w Mysłowicach, które po reformie Jędrzejewicza przeniesione zostało do Bielska, jako Liceum Pedagogiczne. To zaś w 1939 r. ukończył inny, z teatrem związany jaworznianin, Bronisław Biliński (1918-1974), syn kolejarza, później znany śpiewak, wybitny solista, aktor i reżyser Opery we Wrocławiu, ale i w Berlinie, w Wiedniu.

Od 1934 r. Andrzej Uramowicz uczył w szkołach na Śląsku. W 1938 r. podjął specjalistyczne studia pedagogiczne w zakresie robót ręcznych i rysunku w Warszawie. Stąd wojna zaprowadziła go w 1939 r. do Lwowa, zaś tam w końcu do „Polskiego Teatru Dramatycznego”, kierowanego przez Bronisława Dąbrowskiego, u którego występował jako aktor i razem z Dąbrowskim w 1945 r. przeniósł się do Katowic.

Wtedy już znał swe rzeczywiste powołanie życiowe, lecz się znacząco zawahał. Nie wszedł na scenę „Teatru Śląskiego”, choć przyjęło się sądzić, iż było inaczej. Znalazł się w Jaworznie. Spędził tu cały rok, jako organizator wczasów górniczych w Wiśle i Zakopanem.

Tymczasem jego rówieśnik, Stanisław Szczygieł, razem z aktorem „Teatru Śląskiego”, Tadeuszem Szanieckim, uruchomili w Jaworznie „Teatr Górniczy”. Scena stanęła aktorami jeszcze z przedwojnia; znowu skupiała: Chachulskiego, Kwiatka, Datonia, Uramowiczów: Wandę i jej córkę z mężem; ma się rozumieć za wyjątkiem Andrzeja, który dopiero później, już jako reżyser zaczął się „bawić” teatrem amatorskim: w Łodzi, Połczynie Zdroju, Bielsku, Częstochowie.

W 1945 r. przed Andrzejem Uramowiczem nie stał problem wyboru między szkołą a teatrem, lecz wyłącznie pomiędzy aktorstwem a reżyserią, pojętymi jako upragnione mistrzostwo i oryginalna doskonałość.

W Jaworznie formy teatru ewoluują, stając się coraz dojrzalsze, dotyczy to także pretendującego do zawodowstwa „Społecznego Teatru Miejskiego”, o którym pisałem swego czasu w katowickich „Poglądach”. Andrzej Uramowicz znalazł tu w owym czasie schronienie. Patrzył on wprawdzie w tym samym kierunku, lecz zdecydowanie wyżej,

inaczej. A. Linert, jego biograf pisze: „Wiedziony jednak potrzebą pracy w teatrze, w 1946 roku przystąpił do egzaminów na Wydział Reżyserii «Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej» w Łodzi, a po przeniesieniu Wydziału w roku akademickim 1949/50 w Warszawie” (Andrzej Uramowicz. *Księga pamiątkowa*. 1998, s.13). „Miał znakomitych pedagogów z Leonem Schillerem. Dyplom reżysera uzyskał, przygotowując Uczone białogłowy – Moliera, w trzech obsadach, w senografii Otto Axera i pod opieką artystyczną Bohdana Korzeniowskiego” (tamże).

Andrzej Uramowicz w 36 roku życia odnalazł wreszcie swe miejsce w teatrze. Pracę zawodową, jako reżyser, rozpoczął w Szczecinie, w 1950 roku, za dyrekcji E. Chaberskiego. W Szczecinie Andrzej Uramowicz ożenił się z p. Anielą Kisiel. Był dyrektorem i kierownikiem artystycznym „Teatru im. A. Fredry” w Gnieźnie (1952-1953). Potem jako dyrektor i kierownik artystyczny objął „Teatr Polski” w Bielsku-Białej i prowadził te dwie sceny, okresowo razem z „Banialuką”, do maja 1963 r. Wyniosła rzetelność artystyczna, społeczne uznanie, a przy tym opozycyjna duchowość Andrzeja Uramowicza, nie ułatwiały mu pracy i ostatecznie zaciążyły na konflikcie z ówczesnymi władzami Bielska-Białej, zakończonym wprowadzaniem grzecznościami, ale i rozstaniem się stron. Teatr w Bielsku-Białej objął wówczas M. Górkiewicz.

Andrzej Uramowicz prowadził z kolei: „Teatr Zagłębia” w Sosnowcu (1965-1966), „Teatr Dramatyczny im. A. Mickiewicza” w Częstochowie (1966-1975), skąd przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Bielsku-Białej.

Kalendarium prac reżyserskich Andrzeja Uramowicza w latach 1950-1975, sporządzone przez A. Linerta, to prawie 100 realizacji scenicznych, układających się w obraz oryginalnego przekazu artystycznego, jaki uzupełnia dokumentacja fotograficzna z przedstawień wybitnych. Prace teatralne Andrzeja Uramowicza omawiali krytycy teatralni: M. Podolska, I. Sławińska, T. Kwaśniewski, S. Foltasiński, J. Ławnikowski, S. Surówka.

Piszącemu niniejsze Andrzej Uramowicz tak zadedykował poświęconą mu *Księgę pamiątkową* wydaną w 1998 roku:

Pan Jan Piechrzała  
Każda pliszka swój ogon chwali –  
Dla przypomnienia, żeśmy obaj jaworzniacy,  
Uramowicz.

Nie było takiej chwili, abyśmy o tym nie pamiętali.

## Tego miasteczka już nie ma

### Monolog zasłyszany



*Jaworzno 1943. Podwórze rodzinnego domu. W tyle po prawej budynek „Przyjaźni”, po lewej dom, w którym mieszkał Drabik, brat Wincentego*

Mój rodzinny dom stał w Koczurowym Kącie, w Jaworznie, na rogu ulicy Wandy i Barbary. Był to dom babki mojej, w nim się urodziłem i w nim urodziła się moja matka. W tym domu ukrywał się ksiądz Stanisław Stojalowski. Wszyscy byliśmy związani z księdzem, toteż rodzina była niemiłe widziana na plebani, bowiem kuria nie tolerowała ks. Stanisława. Nie tolerowała także tych, którzy mu pomagali. Pralatem był wtedy ks. Wińczewski. Ksiądz Stojalowski przeniósł się po pewnym czasie do Bielska, ale wracał do Jaworzna często i chętnie. Czasem przywoził ze sobą, z Bielska właśnie – teatr, który wystawiał w Jaworznie sztuki. Szacunek i swoisty kult ks. Stojalowskiego spowodował, że zawiązał się społeczny komitet budowy pomnika. Pomnik wystawiło jaworznickie chłopstwo z datków własnych, kościół do tego się nie przyczynił.

Kiedy dzisiaj słucham o sukcesach „Szczakowianki”, wspominam niegdysiejsze spacerunki przez obsadzoną drzewami, ale zupełnie pustą drogę przez Galmany, gdzie kąpałem się z przyjaciółmi w którymś z dwóch kopalnianych basenów służących wcale



nie rekreacji, ale zamulaniu szybów. Woda płynęła przez Warpie, Sodołą, wtedy częściej nazywaną Wapiennikiem, Górę Piasku... dodawano do niej piasek i wpuszczano do wyrobisk. Szczakowa była wówczas osobnym miasteczkiem, prawdę mówiąc mocno zantagonizowanym z Jaworzniem. Była mocno inteligentnym miasteczkiem granicznym, z wieloma dobrze funkcjonującymi zakładami pracy. Była Garbarnia, Huta Szkła, Cementownia. Szczakowa utkwiła mi w pamięci jako miasteczko fajnych ludzi, kolorowych parasolek, pań prowadzących dziewczynki z warkoczycami.... Ludzi ze smakiem. Siostry mojego ojca mieszkały w Szczakowej. Nie można było z nimi rozmawiać. Przyjeżdżały w takich

kapeluszach, że wyglądały jak niespotykane zjawiska. To byli zupełnie inni ludzie. Ci ludzie dyktowali pewien styl życia w mieście. W Jaworznie, w „Przyjaźni” wystawiano Jasełka, a w Szczakowej – wielki repertuar muzyczny. Przy fortepianach siedzieli ludzie wykształceni, po konserwatorium muzycznym, urzędnicy, śpiewacy. Pani Bem była śpiewaczką po konserwatorium. Trochę zadzierali nosa...



Od dołu: I rząd od lewej: Zięba, Stus, Mandelbaum, Wachsman, Sachs, Singer, Julian Nowak, Sachs, x, x; II rząd od lewej: Edward Sarna, Władysław Sarna, Jan Pierzchała, Jerzy Goetel, Mieczysław Siostrzonek, Krystian Tippe, Marian Pawelek, Stanisław Sidelko /ksiądz/, Jan Ziarko, Tadeusz Strzala; III rząd od lewej: Władysław Palian, Wierzbik, x, Mieczysław Zemla, Maria Kownacka /nauczycielka/, x, Pytlik, Patucha, Józef Wąsowicz, Świergula; IV rząd od lewej: Władysław Pawlak, Roman Malik, x, Bolesław Pniak, x, Władysław Żurek, x, Herman

Ale to bardzo stare dzieje. Tego miasteczka już nie ma. Zostało w mojej pamięci. Może jeszcze trwa w kilku osobach, które tamten czas pamiętają.

Po wojnie wyjechałem na studia do Wrocławia. Po ukończeniu studiów, zostałem dyrektorem radiowej rozgłośni wrocławskiej. Potem przyjechałem do Sosnowca, bo z rozgłośni zostałem wyrzucony. To była dość dziwna historia. Pewnego dnia, było to chyba w roku 1951, do rozgłośni na Krzykach weszła gromada Żydów. Było ich około czterdziestu. Wszyscy grają, wszyscy są muzykami. W tym czasie pan Seredyński ze Lwowa organizował orkiestrę symfoniczną Polskiego Radia w oparciu o muzyków właśnie ze Lwowa. Chętnie i szybko zorganizowaliśmy więc komisję złożoną z muzyków. Komisja przesłuchała tych grajków, z których każdy grał „od ucha”, skocznie i melodyjnie, ale żaden nie grał z nut. Nie można więc ich było przyjąć do profesjonalnego zespołu muzycznego. Ledwie dwóch, którzy czytali nuty, zostało zakwalifikowanych. Muzykanci oburzyli się wielce, pojechali do komitetu partii ze skargą, że ich wyrzucono... i tak się skończyła moja kariera jako dyrektora programowego rozgłośni wrocławskiej.



Gimnazjum im. St. Staszica w Chranowie. Po małej maturze. Klasa IV b. Gimnazjaliści z Jaworzna

Od dołu II rząd od lewej: x, x, x, x, x, Jerzy Hofman, Tadeusz Kapcia, Władysław Michalik /Byczynna/; III rząd od lewej: Jan Bem, Stanisław Sidelko, x, x, x, Mieczysław Kawecki, Józef Folga, Bronisław Lasek, x, x; IV rząd od lewej: Franciszek Kaszuba, x, Józef Herman, Jan Pierzchała

Wyjechałem więc z Wrocławia po dość nieprzyjemnej rozmowie, w czasie której padło sporo niedobrych słów. Ukarany zostałem więc dodatkowo – zamiast krytą ciężarówką, mój dobytek został przewieziony do Sosnowca odkrytym samochodem. Po drodze dwie ulewy doszczętnie wszystko zmoczyły. Trzeba było kilka dni suszyć meble, by się wprowadzić do mieszkania po moim koledze, który został właśnie awansowany na dyrektora ośrodka dzieci z Korei. Gdzieś na Dolnym Śląsku, w okolicach Szklarskiej Poręby, w dwu zamkach mieszkało ich kilka tysięcy. Wprowadziłem się, ale sporo czasu i zachodu wymagało otrzymanie przydziału na to mieszkanie. W tym czasie założyłem wydawnictwo „Śląsk” w Katowicach. Pierwsza redakcja publicystyczna, jaka powstała przy Wydawnictwie Górnico – Hutniczym nazywała się właśnie „Śląsk”. Pracowałem

w niej do 1956 r. Następnie wyjechałem do Niemiec, gdzie objąłem funkcję attache kulturalnego. Wróciłem w 1959 r. Podjąłem pracę w redakcji „Poglądów” – tam doczekałem emerytury.



*Jan Pierzchała w swoim mieszkaniu w Sosnowcu*

Do Jaworzna zaglądałem oczywiście często, będąc z wizytą u rodziny. Kiedy wyszła któraś z moich książek, zdaje się *Rozstanie i powrót*, zaproszono mnie do „Sokoła” w czasie Dni Książki i Prasy. Przy stoliku spędziłem pół dnia, podpisując tomiki i rozmawiając ze znajomymi. Była to jedyna okazja, kiedy zjawiłem się w Jaworznie jako pisarz. Chociaż nie. Była i druga okazja. Na spotkanie z czytelnikami jak to zwykle się mawiać w Jaworznie Biblioteki dla Niewidomych zaprosiła mnie pani Barbara Sikora. Miałem tam wieczór autorski. Zeszli się wszyscy moi starzy znajomi, bardzo dobrzy znajomi, których zaszokowałem pokazując im książeczkę, wydaną przed wojną w Jaworznie. Mam ją ciągle. To *Historia siedmiu mędrców* wydrukowana w jaworznickiej drukarni Silbergberga.

Przedruk za: „Sokół Jaworznicki” 2003, nr 1 (16). Tekst jest zapisem rozmowy przeprowadzonej z Janem Pierzchałą przez Zbigniewa Adamczyka podczas wizyty w mieszkaniu pisarza przy ulicy Małachowskiego w Sosnowcu, w lutym 2003 r.

## **Pamięć o wartościach**



## Jan Pierzchała

### Co było, a co powraca

Literatura, wszelka sztuka, nie poruszają odbiorcy w inny sposób, jak tylko za pośrednictwem prawdy i piękna jakie są w nich zawarte. Z troską o prawdę i piękno powiązane są literackie przygody mojego życia, zasoby mojej skromnej duchowości, niejedna moja klęska, ale i wiele zwycięstw nad sobą, bywało, że i nad innymi!



*Wieliczka 1935. Klasa I Gimnazjum im. St. Staszica w Chrzanowie. Wycieczka do Kopalni Soli w Wieliczce. Gimnazjaliści z Jaworzna. Od dołu: I rząd od lewej: x, x, x, x, prof. Waleńkowski, Stanisław Sidelko, x, Bigaj, x; II rząd od lewej: x, x, x, x, x, Jan Bem /ksiądz/, x, x; III rząd od lewej: x, x, x, Jan Pierzchała, Władysław Sarna*

Moja literatura to moje wyznania win i pragnień razem z moimi smutkami, umartwieniami. To moje starania o oryginalność myśli, o ich ład, o piękno mowy.

Miałem szczęście uczestniczyć w niepodzielnym życiu literackim. Wspomagały mnie wielkie przyjaźnie, z których wypłacam się do dzisiaj. Znam pracę bez wytchnienia, zaznałem także radości sukcesu.

Najczęściej zajmowałem się tym, ile człowiek zawinił względem drugiego człowieka, dlaczego nie kochał lub z jakiej przyczyny miłości zaniechał. Nieustannie pytałem: kim jest człowiek?

Nie trzeba pytać o nic więcej, ażeby wiedzieć czym jest życie, czym jest świat, jeżeli wiemy kim sami jesteśmy.

Częściej niż mężczyźni bohaterami moich powieści i nowelistyki były kobiety, bo też one panowały nade mną w moim dzieciństwie i mojej młodości, były ostoją życia i niewzruszoną podstawą uczuciowości, jako wierna, ofiarna prawda.

Spśród wielu, moja utrudzona życiem matka dała mi najwięcej: przejąłem po prostu cały jej świat, stałem się tym, kim jestem: zamkniętym w sobie melancholijnym egotystą.

Jan Pierzchała

Dnia 14 lutego 2005r.

„Jaworznicki Sokół” – Redakcja  
Red. Nam. Zbigniew Adamczyk  
Wzrost

Pani redaktorko, cała Warszawa ma mi obrotu. Ciągnie się o kary, za pojcie Gon, za to przybrałem prawni kilka zdjęć. Złoty mieli oskarżenie na 100-tysię moich uradun w 2021 roku. Sądę, że i tak pan, aby to zdjęcie, w takim tam przypadku, mógł mi dostąpić mi i wsparcia rze!

Przebrałem przedmowa dla pana Pawła Sarny.

moje przyjacielu wyprawy kawczubie

Jan Pierzchała

List Jana Pierzchały do redakcji „Sokoła Jaworznickiego”

Kimże byłbym, gdybym nie wiedział po kim całego siebie dziedzicę, od kogo przejąłem przypadłości mej duszy, cechy osobowości, kim jestem nie tylko we własnych oczach.

Zniechęcające moralnie czasy dzisiejsze, zamęt i chaos myśli, dręcząca polityka odwetu, uniemożliwiają przesłanie rzeczywistych procesów zdeaktualizowanego już myślenia literackiego oraz praktyki wydawniczej z tym związanej. Obiektywna wiedza o tamtym półwieczu bywa zamazywana, fałszowane są obrazy ujęć syntetycznych, a wszystko ze szkodą dla współczesnej świadomości artystycznej, sprowadzanej beztrasko do pojęciowości amerykańskiej: do modernizmu i postmodernizmu, czym szermuje wielu poetów i prozaików, wielu krytyków niespełnionych, wielu blagierów, dalekich od tego, by wiedzieć co mówią.

A przecież oficjalnemu programowi literatury już od lat sześćdziesiątych, przeciwstawiane były u nas, wprawdzie nie na drodze spektakularnego buntu, lecz jedynie jako wytrwale sprzeniewierzenie myślowe, inne zgoła zasady twórczości literackiej, inne w znaczeniu woli kształtowania nowej, w duchu humanizmu przeobrażonej doktryny sprawiedliwości społecznej, rozumianej jako powrót do nie zamąconej obcymi wpływami świadomości narodowej, nade wszystko do powagi rozumu, do wolności wreszcie, w której to dziedzinie, po późniejszych konstytucyjnych rewizjach, pojawiło się niebawem tyle zuchwałych nadużyć, godzących w człowieka.

\*\*\*

Zarzucono mi swego czasu jednostronność, omalże dogmatyzm, wynikający z tego, iż zbyt wiele spodziewałem się osiągnąć z pomocą filozofii pracy, na drodze uznania jej wielkiej roli od Hezjoda począwszy, a więc w zgodzie z tradycją wysoko cenionych najstarszych dążeń ludzkich, które podstawowe wartości egzystencjalne uzależniały od pomyślnych wyników pracy, wyróżniającej się cechami twórczymi.

Bo pisałem wiele razy: twórczą być winna wszelka praca, nie tylko dokonania artysty, ale i każdego pracownika.

Choćby w „Poglądach”, aby daleko nie szukać, w oparciu o ten motyw, zwracaliśmy uwagę na nowe poznawcze strony literatury, na rolę wrażliwości i wyobraźni, na obywatelską wolę bycia nie tylko kim innym, ale także kimś więcej!

Dzisiaj zaś widzimy z czego wynika i na czym polega słabnięcie i rozpadanie się dziejowych symboli o pierwszorzędym znaczeniu. Czymże bowiem jest dziś pracodawca, czym pracownik, czym jest wreszcie sama praca, jako wartość i podstawowa kategoria społeczna? Niczym więcej jak tylko złudnym odesłaniem świadomości do szcątkowej postaci historycznego kodu pracy, który był kiedyś w naszej kulturze wyrazem i źródłem kondycji, stwarzającej człowieka i jego godność. Jakież degeneracji uległ dziś ów proces stwarzania?

Jakąż jednocześnie przewrotnością są twierdzenia, iż ciągle nie wiadomo, co wypełniało dążenia myśli, wolę tamtej formacji literackiej, „pobitej” bo tylko taka terminologia wchodzi tu w rachubę.

Przymusowa „eliminacja” był to dawniej nie znany czynnik periodyzacji literackiej. Lecz nie wszystko uległo drastycznemu wytłumieniu. Filozofia minionego czasu, traktowana kiedyś przez nas jako spór z przeznaczeniem, nadal przecie jest wielce zasadnym pytaniem o perspektywy humanizmu, pytaniem dla mnie tym cenniejszym, że i dziś je sobie stawiam w późnych latach mego życia.

Starość, mogę was zapewnić, choćby najdokuczliwsza ma swoje małe radości i wielkie pociechy. Sędziwy wiek odmawia nam dostępu do wielu rzeczy, jakie nas dawniej cieszyły, co więcej — pograża nas w smutkach powiązanych z rychłym przejściem ze stanu nam znanego w całkowicie nieznanym. W tym razie niewielką ulgę daje przekonanie, iż świat widzialny, w którym żyjemy, jest światem jedynym.

Lecz zanim do smutków przyjdzie, niezwykle krzepiące jest to wszystko, co było na początku naszego życia i co na starość powraca do nas z mocą rozplamioną wyobraźni, z wielce miłą świeżością doznań.

Ażeby w tej sytuacji doświadczyć upragnionego uniesienia, by ujrzeć ułamek chwili minionej, aby myślą objąć czyjś bliski, ale zawył los, wystarczy nieraz przymknięcie oczu i odczytanie tego, co jawi się pod powieką. A znowu kiedy indziej, dość nam

błyśnięcia brzemiennej w treść sekundy, dość widoku niewidzianych dotąd ludzi, ujrzania nieznanymi miejsc, albo budowli. Nowe obszary wyobraźni odkryć mogą białe firanki, pieniące się w czyms oknie, jak gdyby tylko dla nas, albo rzadko widywany ptak, pojawiający się w naszej bliskości, a my zdumieni domyślamy się kto go też posłał, w jakiej sprawie? Dlaczego stworzenie żyjące raczej w wieczystej bojaźni, wcale jej nie okazuje, aby nas o czymś tajemnym pouczyć.

Bezcennymi kategoriami w procesie powstawania literatury są: prawda, piękno oraz – co równie istotne – wola i zdolność wyrażania pełnej szczerości uczuć, nie znające zahamowań, nie lękające się zawstydzeń.

Nieszczęśliwy jest autor, który ani na pierwsze, ani na drugie nie może sobie nigdy pozwolić, z winy tłumiących go uzależnień i często cichnie, na zawsze lub zawodzi jako artysta.

O pisarzu wiemy wszystko, dopiero kiedy poznajemy mroczne i niemroczne potęgi jakie nim miały, jakie napastowały go aż do znużenia. Jakie zostawiły nieusuwalny ślad w jego duszy.

Moja ostatnia powieść *Szept węża w wysokiej trawie* to także taka darowana mi wspaniałomyślnie tęsknota za dawno, dawno minionym czasem, który niósł troski, jak zawsze niesie, upadki, załamania, tragedie, dawał jednak pełną rękojmię jeszcze możliwego szczęścia i nadzieje spełnień, jakie niedostępne i raczej wykluczone byłyby dzisiaj. Ta powieść jest u mnie jeszcze jednym przykładem feminizacji ekspresji literackiej. Jest nadto przykładem takiej selekcji słów, tak kształtowanej mowy, a przez nią instrumentalnej narracji powieściowej, która podejmując najbardziej intymne wątki w losach bohaterów, utożsamia je z wrażliwością czytelniczą w przekonaniu, iż zostaną przyjęte jako pożądana odmiana piękna, jako niebanalne spełnienie ciekawości i oczekiwań, bo tego żaden autor wykluczyć nie może.

Trudno mi w paru słowach wyjaśnić to wszystko, co ze mną związane, ciągle może nie nazbyt czytelne, a nawet może zakryte. Wspominam tu o tym na wypadek, gdyby kogoś ciekawiły te właśnie strony mojej osoby i mego pisarstwa, choć wiem, iż do dobrego tonu należy nie stawiać takich pytań, a już na pewno nie czekać na odpowiedź.

Tekst przemówienia - wygłoszonego przez jubilata podczas spotkania zorganizowanego przez Górnśląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach z okazji osiemdziesiątej rocznicy Jego urodzin - ukazał się pierwotnie na łamach „Śląska” 2001, nr 11 (73).

# Rozpoznać wartości

## Zaułki kultury

**Józef Górdzialek:** Należysz, Janku, do zachodniej orientacji literatury polskiej, nurtu wykraczającego daleko poza preferencje tematyczne czy ideowe. Z czego to u ciebie wynika?



*Katowice 1971. 50-lecie urodzin*

**Jan Pierzchała:** Twoje spostrzeżenie jest oryginalne. Odwołuje się do całkiem nowej kategorii, dotąd w syntezach historycznoliterackich, także w bieżących ocenach krytycznych, nie stosowanej. Pojęcie orientacji zachodniej jest nie tylko repliką na orientację kresową, będącą kiedyś podstawą polskiej, wschodniej polityki państwowej, lecz w naszych warunkach oznacza dzisiaj, podobnie jak przed wiekami, zakres i skutki oddziaływania na siebie pierwiastków polsko-niemieckich.

Sądzę, że pod kątem „orientacji zachodniej” należy napisać nową historię literatury na Śląsku, zresztą historię Górnego Śląska w ogóle. Pod tym względem mniejszość niemiecka u nas ma rację. Niezbędne są, szczególnie w dziedzinie literatury, nowe studia komparatystyczne w odniesieniu do obu literatur, obu kultur, czego nie brano pod uwagę w dwudziestoleciu międzywojennym, rozdrażnionym sytuacją popowstaniową i poplebiscytową. Nie bez znaczenia była późniejsza napastliwość III Rzeszy.

Wincenty Ogrodziński ogarniał najszersze obszary językowe w odniesieniu do literatury średniowiecza i reformacji. Nie uwzględnił przełomu wieku XIX/XX. Wtedy nie wspominało się o jakimkolwiek pożytku płynącym z wnikanania poprzez literaturę w pokłady stosunków polsko-niemieckich w przeszłości. Ale właśnie o takiej syntezie



Jan Pierzchała 1934

literatur: polskiej i niemieckiej na Śląsku zawsze myślał Wilhelm Szewczyk.

Kiedy wyjeżdżałem do służby dyplomatycznej w Berlinie w maju 1956 roku, prosił mnie o zebranie materiałów o Hansie Marchwitz, urodzonym w Szarleju pod Bytomiem. Zależało mu na książkach Marchwitz o Śląsku, jakie ukazały się zaraz po wojnie. Rychło poznałem się z Marchwitz, zacząłem go zapraszać na uroczystości w Ambasadzie, w Ośrodku Kultury Polskiej przy Friedrichstrasse. Bywałem u niego w domu. Przy okazji odwiedzałem Petera Huchela, redaktora „Sinn und Forum”, w Wilhelmshorst przy Hubertusweg. Marchwitz się starzał, coraz częściej zalił się na Niemców, na Schrichtsellerverband. Nie był tam mile widziany, dlatego że z akcentem śląskim mówił po niemiecku, że w 1955 roku za „Reheisen” ponownie przyznano mu nagrodę państwową.

Przeprowadzałem również kwerendę biblioteczną w związku z Maxem Ringiem, synem schłopiatego

Żyda śląskiego, który był lekarzem i pisarzem urodzonym w 1817 roku w Sudzicach w Raciborskiem. Pracował jako lekarz w Gliwicach, potem w Berlinie, gdzie umarł w 1901 roku. Udało mu się uzupełnić bibliografię Ringa szczególnie w zakresie teatru. Żadnej innej książki tego pisarza nie znalazłem, choć miałem wstęp do biblioteki w Uniwersytecie Humboldta i do Staatsbibliothek. Zależało mi na powieści *Ein verlerenes Geschlecht*, mówiącej o rodzinie Sułkowskich panujących jeszcze w XIX wieku w Bielsku i Mysłowicach. Wspominam o nich w *Legendzie Zagłębia*. Wtedy jeszcze nie było książki Arne Lubosa *Geschichte Literatur Schlesiens* (1960) ani też Mieczysława Urbanowicza *Z dziejów literatury niemieckiej na Śląsku w XIX wieku* (1964).

**J.G.:** Może mógłbyś nieco więcej powiedzieć o przyczynach orientacji zachodniej swojego pisarstwa? W końcu posłali cię do Berlina w 1956 roku jako attaché kulturalnego. Coś w tym musiało być. Nie miałeś uprzedzeń niemieckich?

**J.P.:** Miałem i nie miałem. Mam galicyjskie wychowanie. Jak każdy jestem niewolnikiem własnego życiorysu. Portret Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa I, odziedziczony po matce, do dzisiaj wisi u mnie w domu. Urodziłem się w Jaworznie, w galicyjskim dwunastotysięcznym mieście, które wąziutkim pasmem, poprzez Dąbrowę Narodową i osadę Jęzor „nomen omen”, miało przystęp do owego „trójkąta trzech cesarzy”. Chodziło się tędy z przemysłem. Mój dziadek po kądzieli, Andrzej Radko, w pęcherzach przynosił spirytus do Mysłowic.

Nasza obecność nad pruską granicą miała charakter czyhania na błyszczące życie niemieckie, na jego bogatą, wyniosłą obcość. Najprzeróżniejsze uprzedzenia do Prus miały pochodzenie wiedeńskie, sprawdzały się też co do joty pod wieloma względami,

z wyjątkiem jednego, że Niemcy to „Lutry”. Ta opinia nie pokrywała się z naszym doświadczeniem. Do połowy XIX wieku Bytom należał do diecezji krakowskiej. Wtedy zamiast do Kalwarii lub Płok, chodziło się z pielgrzymkami z Jaworzna do Piekar. Częstochowę od nas dzieliła nieprzekraczalna granica z zaborem rosyjskim. Lecz w Prusach nigdy nie było bezpiecznie.

Dla nas, jeszcze w czasie okupacji hitlerowskiej, jakoś poręczniej było jechać z Jaworzna do Wiednia, aniżeli do Katowic. Śmiesznie brzmi, ale tak było. Moje babki, także matka, nigdy nie były w Warszawie, za to znały Wiedeń, Linz, nawet bardzo daleki Salzburg, gdzie służyli w wojsku mężowie lub bracia, synowie. W dawnych czasach wszyscy fotografowali się u Rysia w Krakowie lub w Kunst-Atelier fuer Fotografie A. Barth, Wien VI, Gumpendorferstrasse 32. W powieści *Jak krótkie lato* opisałem żołnierstwo stryja Feliksa oraz jego powrót z włoskiego frontu w 1919 roku.

Po odzyskaniu niepodległości Jaworzno nadal było Galicją Zachodnią. Nawet burmistrz został ten sam, co za czasów austriackich, niejaki Raczek. Piastował urząd do 1939 roku\*. Mieliliśmy tych samych dróżników (byli tacy), tych samych, jakich jeszcze pokazują dzisiaj w teatrach w wodewilu *Królowa przedmieścia*, strażników miejskich, z tymi samymi szablami austriackimi, z bębenkiem towarzyszącym rytualnemu ogłaszaniu zarządzeń.

Jaworzno, jedyne w całej Galicji, wzniosło pomnik księdzu Stanisławowi Stojalowskiemu, galicyjskiemu rzecznikowi prawdy polskiej i kościoła prawdy ewangelicznej, bez bogaczy. W stodole mojego dziadka, Andrzeja Radki, ksiądz Stojalowski odprawiał msze święte. Posługiwał mu dziadek i niejaki Koźbiał. Dziadek kolportował „Pszczółkę” i „Wieniec”. Kartkowanie roczników tych pism było to zajęcie mojego dzieciństwa. Urodziłem się w 1921 roku, pośród żywej pamięci o przeszłości. Do 1939 roku, dopóki nie nastały pfennigi i marki, z całym przekonaniem na polskie dziesięć groszy mówiłem „szóstka”. Austriacki system monetarny był sześćdziesiąty. Jedna korona liczyła sześćdziesiąt halerzy. „Szóstką” nazywaliśmy dziesiątą część polskiego jednego złotego. Mieszkaliśmy przy ulicy hrabiego Andrzeja Potockiego, właściciela Krzeszowic i pałacu „Pod Baranami” w Krakowie, członka austriackiej Izby Deputowanych w latach 1895-1897, namiestnika Galicji w okresie 1903-1908, Marszałka Kraju, zamordowanego w biurze namiestnictwa przez ukraińskiego fanatyka Mirosława Siczynskiego dnia 12 kwietnia 1908 roku.



Gdynia 1968. Od lewej: Albin Siekierski, Franciszek Ryś (Jaworznianin), Irena Stasińska, Jan Pierzchała

\*Franciszek Racek sprawował urząd do 1937 roku (przyp. red.)

Moje gimnazjum znajdowało się w Chrzanowie, gdzie mieściła się siedziba galicyjskiego Kreisamtu. Jedyne młodzi mówili: powiat. Dojeżdżałem tam codziennie pociągiem oświetlonym jeszcze gazowymi lampami. Języka niemieckiego uczyła mnie prof. Wilhelmina Goork, siostrzenica urzędującego regenta Węgier, Horthy'ego. Jej zawdzięczam, że dość dobrze znam język niemiecki, uczę się go przez całe życie.

**J.G.:** A Śląsk? Czym było czyhanie, o którym mówiłeś?

**J.P.:** Sam spostrzegłeś, że przynależę do „zachodniej orientacji” duchowej, literackiej, więc ja z pokorą wyjaśniam: nie jest to jakaś postawa naśladowcza lub tylko wyuczona. Od 1918 roku granice województwa krakowskiego znowu pokrywały się z dawnymi granicami Kraju zwanego Galicją Zachodnią. Kordon mieliśmy znowu w tym samym miejscu. Jako dzieci dojeżdżaliśmy na rowerach do Jęzora, do mostu kolejowego nad Przemszą, którego wysokość wywoływała zawroty głowy. Ten most to były Niemcy, Śląsk. Czyhaliśmy na to obce i nieprzystępne, znajdujące się na Śląsku. W galicyjskim odczuciu Austria i Niemcy były to dwie duchowości skrajnie różne pod względem stosunku do wszelkiej polskości.

Z Mysłowic przyływały odgłosy innego życia. Dzwoniły tam tramwaje, ludzie byli inaczej ubrani, a choć mówili podobnie, mazurzyli jak i my, samą melodię mowy, takie słownictwo brali żywcem z niemczyzny. Po tamtej stronie, na skarpie wysoko, straszyl pomnik Bismarcka, zburzony wprawdzie przez powstańców śląskich, lecz ciągle widoczny, potężny – jako fundament i ruina czegoś kolosalnego, nieusuwalnego. Istniały przyczyny, dla których wychowywani byliśmy w surowym zakazie przekraczania drugiego mostu przez Brynicę do Mysłowic. Istniała tam stacja przeładunkowa bydła z Polski do Włoch i w ogóle na południe oraz punkt zborny w handlu ludźmi, żywym towarem. Brzmiało to bardzo groźnie. Przestrzegano przed tym dziewczęta, wywożone z Mysłowic do Argentyny. Przez Jaworzno szły wielkie pielgrzymki ludzi do Mysłowic. Mówili o tym księża na kazaniach w kościele. Mysłowice to były bramy zguby.

Dopiero na Wielkanoc w 1936 roku pojechałem wreszcie z matką do Katowic po moje pierwsze półbuty. Jechaliśmy z innej strony, tramwajem z Sosnowca, gdzie uczęszczałem do liceum i mieszkalem w internacie. Okazało się jednak, że mówiąc po polsku butów w Katowicach kupić nie można. Doznaliśmy swego rodzaju zaskoczenia. Poradziliśmy sobie jednak znakomicie. Moja matka nie pierwszy raz kupowała coś po niemiecku. Już wcześniej byłem przeświadczony, że Ślązacy są dwujęzyczni. Szkoły mieli przez wieki niemieckie, modlili się po niemiecku, spowiadali. Aż tu naraz w polskich Katowicach w ogóle przestali mówić w sklepach po polsku, choć akurat w tym samym czasie ksiądz Szramek w kościele Mariackim przestał odprawiać nabożeństwa dla Niemców. w ich języku, o czym dowiedziałem się dopiero niedawno od mądrej pani profesor Grażyny Szewczykówny, na sesji Uniwersytetu Śląskiego i Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego poświęconej Szramkowi. Buty i ryby można było kupić wówczas w Katowicach tylko mówiąc po niemiecku. Być może tak uparcie mówili po niemiecku wyłącznie do „goroli”, wszystko możliwe. Fischhalle mieściła się tam, gdzie dzisiaj znajduje się Supermarket, przy ulicy Skargi. Miejsce to sprawiało wrażenie giełdy w Berlinie.

W moim Jaworznie, na Piotra i Pawła, na świętą Katarzynę odbywały się odpusty. Niebysza atrakcją byli wtedy „kramarze” ze Śląska, zwani „Jakubami”. Jako dziecko spędziłem przy nich wiele godzin. Były to znakomite teatry jednego aktora. Do dzisiaj pamiętam popisowy tekst jednego z nich, sprzedającego duże jak dłoń, kolorowe biedronki, poruszające się za pomocą sznurka i kawałka gumki. Wiele razy to potem odgrywałem przed rodziną, przed kuzynami, gdyż od małości zabawialiśmy się teatrem. Mieszkałem zresztą obok „teatru” mieszczącego się w sali domu „Przyjaźni”.

Od dziecka tam tkwiłem.

Zacytuję ci ten odпустowy monolog „Jakuba” ze Śląska:

O verehrtes Publikum i jus się sebylkorn! Do roboków, do roboków! Nie jy, nie pije, chodzi i żyje! On nie jest z Polski! Er stammt aus Japan, seine Heimat ist Tokio!

„Jakub” wrzeszczał u nas na odpusćie przekonany, iż każdy człowiek musi rozumieć zarówno po polsku, jak i po niemiecku, jeżeli zasługuje na takie nazwanie.

[...]

## Misja literatury

**J.G.:** Zmieniamy temat. Zauważyłem już kiedyś, że w swojej twórczości kontynuujesz przesłanie pisarstwa Stefana Żeromskiego i Marii Dąbrowskiej, czyli literatury z opcją, z określonym mandatem społecznym i narodowym. Co powiesz na taką interpretację?

**J.P.:** W każdym dziele sztuki, w każdej pracy o cechach twórczych można się dopatrzeć podobieństw, zapożyczeń lub naśladownictw wartości, jakie już kiedyś były lub jeszcze są w obiegu. Przyjmujemy często, nie bez racji, iż wszystko już właściwie zostało napisane, że w literaturze, tak jak w muzyce, malarstwie, widzimy, słyszymy już słyszane kiedyś przez nas lub przez innych następstwo tonów, słów, fabuł, obrazów, sytuacji, bo jest ich tylko określona, wymierna ilość. I przy tym wszystkim, choć daleko mi do zrozumiałości, pewnie jak wielu lub jak każdy twórczy człowiek, mógłbym się powołać na niewątpliwą świeżość pewnych podejmowanych przeze mnie wątków. Myślę również o mojej, czekającej na wydanie powieści *Szept węża w wysokiej trawie*. Jest tam ku mistryce i ku transcendencji zwrócony nurt, a w nim motyw groźnej, wstydlivej choroby, będącej wyrazem ingerencji Boga, czy też może Szatana w życie młodej kobiety. Nie słyshałem, by kiedyś mówiono o tym w literaturze polskiej.

W tej powieści zajmuje mnie zagrożone upadkiem człowieczeństwo, na skutek czego konieczne jest odbudowanie podstaw życia poprzez ofiarę z siebie, przez cierpienie. Rzecz, słowem, dotyczy obrony przed skutkami rozpadającego się świata,



Wrocław 1947. Jan Pierzchała i Tadeusz Urganz



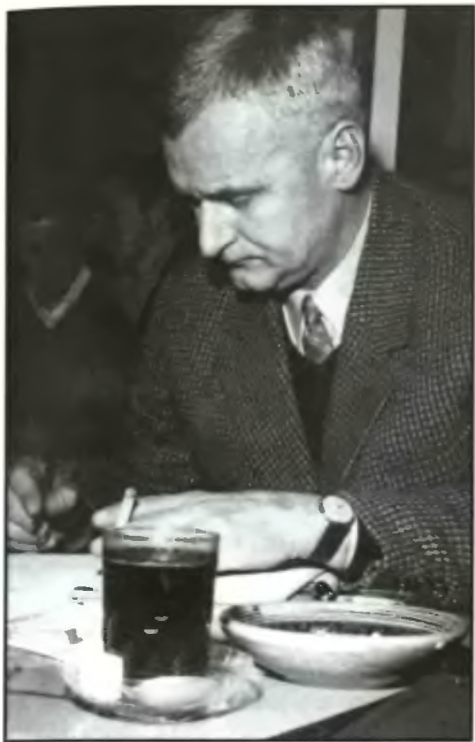
*Foyer teatru w Katowicach 1976. Jan Pierzchała z żoną Barbarą; z lewej Witold Nawrocki*

tu właśnie, pomiędzy dawnym Królestwem Polskim a dawnymi Prusami, między duchowością polską a niemiecką w rozbitej rodzinie i poza nią.

W tym samym sensie mogę także mówić o innych moich powieściach i tomach opowiadań. Chyba każdy z tytułów oznacza coś oryginalnego. Ale bez fałszywej pozy, dziękuję za wspomnienie Stefana Żeromskiego i Marii Dąbrowskiej. W moim odczuciu tych dwoje pisarzy usiłowało ocalić człowieczeństwo zagrożone przemocą.

[...] No i jak tu mówić dzisiaj o przesłaniach społecznych, o mandatach literatury, jak w przypadku Żeromskiego czy Dąbrowskiej? Rodzenie się powtórne kapitalizmu polskiego odbywa się bez literatury, więc może nie mówmy o jej opcjach. Wiem jednak, że w tym „nie mówimy” tkwi przeczcucie, a nawet pewność, że kiedy ustanie hipnotyzerskie działanie literatury amerykańskiej, wtedy jako pierwsi nadejdą duchem: Stefan Żeromski i Maria Dąbrowska. Pierwszy jako wróg dehumanizacji stosunków społecznych, druga, z jej wiarą w twórczy pierwiastek tkwiący w duszy polskiej. Odezwie się wtedy choćby Kaden-Bandrowski, ażeby przywołać tu tylko to polskie pisarstwo, jakie kiedyś zdolne było w imię człowieczeństwa, wystąpić przeciw obrzydliwościom czasu. Literatura jeszcze będzie przedstawiać czas dziejowy, będzie poznawać człowieka, jego byt rzeczywisty.

A jeśli wrócić jeszcze do owych opcji, to „mój” Stefan Żeromski zawsze sprowadza się do pamięci o „wybijaniu zębów rodowym sygnetem”, do nakazu obrachunku w sumieniu narodu, do stawania przeciw obezwładniającym nas mitom, przeciw wszelkiej niechcianej wyższości i nadrzędności, jakie zdolne są posługiwać się kłamstwem i niesprawiedliwością w każdej postaci. Dla mnie Żeromski i Dąbrowska są to przejmujące doświadczenia duchowości polskiej, rozumu polskiego i sumienia w całym XX wieku. Wiemy, ile do końca znaczył dla Marii Dąbrowskiej „człowiek myślący”. Pisarka znalazła się w istocie po tej samej stronie, po której stał korowód



„Ksawera” – Klub „Ruchu” wieczór autorski dn. 6 XII 1963

kontestatorów z Schaffem i Kołakowskim. Kiedyś w przeszłości przenikać nas miała twórcza świadomość Stanisława Wyspiańskiego, na której Józef Piłsudski pragnął ukształtować kulturę duchową odrodzonego narodu, nową estetykę, nową moralność społeczną. Nieprzypadkowo po jego powrocie z Magdeburga, Teatr Polski w Warszawie przywitał go *Wyzwoleniem*. Jak jednak wiemy, w tej samej chwili zwyciężyło coś całkiem innego, mianowicie mieszczańska „pochwała brzucha”, zaś świadomość narodową, jej twórcze dążenia zasnuła mitologia kresowa, wschodnia, dążenie do federacji z Rzeczpospolitą Litwy, Białorusi, Ukrainy.

**J.G.:** O wschodniej mitologii kresowej jeszcze porozmawiamy. Teraz chciałbym dotknąć tego, co wiąże się z pytaniem poprzednim, mianowicie, spośród blisko dwudziestu twoich publikacji dwa tytuły prozatorskie zyskały największe uznanie krytyki oraz czytelniczą popularność: tom opowiadań *Antykwariat przy ulicy Barbarossy* (1962) i powieść *Krzak gorejący* (1972). Mam wrażenie, że oprócz walorów artystycznych utwory

te zawierały swoisty ładunek psychologiczny odpowiadający ówczesnym potrzebom społecznym i ułatwiający, akceptujący partnerskość kontaktów międzyludzkich. Zaryzykowałbym twierdzenie, iż analiza duszy niemieckiej, kompleksów spustoszenia moralnego ludzi w *Antykwariacie* umożliwiły dopiero nadanie głębokiego dramatyizmu polskiemu losowi narodowemu w *Krzaku gorejącym*. Książki te zrywały z uprzedzeniami antyniemieckimi, wątek nacjonalny ujmując przede wszystkim jako część osobowości, jako fragment duchowej rzeczywistości. Dzięki takiej perspektywie utwory mogą dłużej zachować wartości humanistyczne. Czy ta interpretacja zgadza się z autorskimi intencjami?

**J.P.:** Moje opowiadania niemieckie zawarte w tomie *Antykwariat przy ulicy Barbarossy*, także inne, np. *Przeczekaj deszcz*, które wznawiane cztery razy, nigdy nie leżały w księgarniach dłużej niż pół godziny, to mój „inny” realizm, przetwarzający rzeczywistość, nie odtwarzający jej, czego nauczyłem się u Marii Dąbrowskiej.

W latach 1956-1959 mieszkałem w Berlinie-Pankow, Pfeilstrasse 25. Było to moje niezwykle doświadczenie duchowe, kulturalne, cywilizacyjne. Z Berlina przywoziłem moje niemieckie opowiadania, będące dla mnie odkryciem ówczesnego świata w ogóle. Ujrzałem Europę już inaczej uporządkowaną po długiej, straszliwej wojnie. Było to szokujące, przy tym bezcenne. U nas masowo instalowano kraty w oknach, dostępu do każdego prawie drzwi broniły uzbrojone straże. Tam działał inny niż u nas mechanizm odnowy i odrodzenia, reedukacji od faszyzmu. Spustoszenia, jakie odkrywałem w duszy niemieckiej, budziły pytania o równie zachwiany stan duchowości polskiej w tamtych latach, w tamtej rzeczywistości. W specyficzny sposób doświadczyłem przełomu 1956 roku i tego, co przyszło po nim.



Jan Pierzchała 1965

Pamiętasz może moje opowiadanie *Białe koszule*? Mówi ono o sytuacji pisarza powracającego ze służby dyplomatycznej i wyprzedającego te właśnie koszule, aby mieć za co żyć. Tę rzecz należało czytać w sposób następujący: „Już po odwilży? Tak szybko? Dla kogo pracowałeś? Gdzie ludzie znani ci z tych samych pragnień, co twoje? Na czym polega twoja samotność?”.

Znaczące analogie, metafory i parabole jawią się tu wyłącznie w warstwie psychologicznej, która ogromnie dużo znaczy w tomie opowiadającym w większej mierze nie o formacji ustrojowej, ale o sytuacji, w której wysoka kultura oswaja prymitywne formy życia, by udaremniiony został niebezpieczny proces odwrotny, proces rozmycia wartości z wysokimi aspiracjami. W tym porządku moja powieść *Krzak gorejący* jest również głosem przeciw zaniechanej sprawiedliwości, dla której nie ma miejsca w ustroju zasadzającym swe dziejowe powołanie na tym pojęciu wyłącznie. Ludzie dzisiejszego porządku społecznego, jeśli go można tak nazwać, jeśli sięgają po moją biografię, wyliczają dokładnie odznaczenia, jakie otrzymałem, naciskają, bym jeszcze raz wyznał, iż należałem do PZPR, zapominają natomiast o podawaniu tytułów moich książek, pomijają ich zawartość, wymowę.

**J.G.:** Wielu jest dzisiaj wystawionych na podobne traktowanie. To przejdzie. Przeżyjesz swoich pomniejszych, widzę to po wielu znakach. W skali całego regionu dzieje się podobnie, choćby w stosunku do środowisk niemieckich w zakresie kultury.

**J.P.:** Epidemie nie mijają tak szybko, jeżeli ich nie zwalczają. Pytałeś wcześniej, czy nie miałem uprzedzeń antyniemieckich. O takie rzeczy, w odniesieniu do czasu zaraz po wojnie, raczej nie należało pytać. Ale wiem, iż odkąd o świecie myślę jego dziejami, historią, to nurty: polski i niemiecki sprowadzam zawsze do pewnej współzależności w miejscach i sytuacjach poza obszarami nieprzewalczonych antagonizmów. Najczęściej na tle zróżnicowanych narodowo stosunków rodzinnych, na tle dwu żywych kultur, pytających się wówczas nawzajem, czy aby nie są pod pewnymi względami jednością, lub czy aby jednością być by nie mogły?

Moja ostatnia powieść, o której już wspominałem, jest to właśnie wezwanie do szczerości, również na tym tle, o którym rozmawiamy. Opowiadał w niej o ziemiaństwie polskim, skojarzonym losowo ze sferą pogranicza zachodniego. Jest to opowieść tragiczna, bo nie może być inna, jeśli ma współbrzmieć z tamtym czasem. Przenika ją klimat niezwykle uświęcenia rodziny wbrew historii, poprzez miłość aż do śmierci, bez granic. Mowa tu o odrodzeniu się wskutek historycznego nakładania się na siebie kultur polskiej i niemieckiej, co rzecz jasna nie zawsze oznacza harmonię.

Od dawna wiemy, że Górny Śląsk pielęgnuje kulturę przenikniętą niemieckim obyczajem. I cóż w tym dziwnego? Ma tu uznanie żołnierska, starogermańska Walhalla. Stąd owe pomniki, tablice z nazwiskami poległych, miejsca czci zmarłych wojowników. Niemiecka jest w zasadzie na Górnym Śląsku kultura pracy, zabawy, stołu. W szanującym się śląskim domu każdy uroczysty obiad zaczyna się od tortu, podobnie jak w każdym domu niemieckim.

**J.G.:** Kwestia narodowa ma w twojej twórczości ogromne znaczenie. Polskość w głównych dziełach staje się pewną misją, porządkiem wewnętrznym, dziedzictwem każdego pokolenia. Oryginalność polega na tym, że tradycyjna legenda politycznego narodu szlacheckiego zderza się z realiami orientacji zachodniej. Obejmuje to wypuklenie innej roli dawnych kresów zachodnich, w tym Górnego Śląska jako pogranicza socjalnego i narodowego kraju. Bohaterowie owego pogranicza nie budują dopiero zakątków swojej tożsamości narodowej, nie okopują się w obronie wobec obcego środowiska niemieckiego. Oni reprezentują czyste, dojrzałe źródło polskości, bez wahań włączają się w tradycje narodowe. Współlistnienie niemczyzny nie bywa dla nich na ogół zagrożeniem, wyzwaniem, lecz zjawiskiem naturalnym, częścią wielokulturowej rzeczywistości. Tak odczytuję sens ostatniej powieści *Szept węża w wysokiej trawie*, która wydaje się zaostreć formułę kontynuacji mitu narodowego w zabarwieniu zachodnim.

**J.P.:** Jeżeli myślisz o szlacheństwie polskim, jakie ja opisuję w *Krzaku gorejącym* i w *Szepcie węża w wysokiej trawie*, to jawi się ono w sytuacji po rozpadzie i odbudowane jest właśnie w warunkach stworzonych przez „poszlacheckie”, czy raczej „proszlacheckie” dwudziestolecie międzywojenne. Nurt ten niewolny był od zwodniczych przekłamań, bardzo wyrazistych w sztuce dla ubogich duchem. Bez żadnego pohamowania karmiono czytelnika, najczęściej widza kinowego, także teatralnego, romansami szlachetnych arystokratów z pannami sklepowymi, równie dobrego, szlacheckiego pochodzenia, co miało oznaczać iście demokratyczną perspektywę życia, dostępną jak gdyby każdemu w II Rzeczypospolitej, bo przecie każdy Polak to szlachcic. Bez owego tła poszerzonego o wiele istotnych, głębokich znaczeń, nie byłoby u nas Witkacego ani Gombrowicza, wielkich prześmiewców.

Falsze obecne w kulturze międzywojennej u nas obserwować można i dzisiaj na przykładzie losów, raczej nie nazbyt szczęśliwych miliarderów amerykańskich. Sposoby przedstawiania ich życia pełnią tę samą rolę obezwładniającą zwykłego człowieka. Filmy i literatura amerykańska mówiąc do odbiorcy, że wszelkie doniosłe zagadnienia życia nie zależą od czynników zewnętrznych, ale są wyłącznie zależne od wnętrza człowieka. Dlatego objawienia sfery erotycznej, jako bezspornie naszej i własnej, są jedynie godne zainteresowania, uniesień, zachwytów. Są też jakoby dowodem, iż pod każdym innym względem sami wyłącznie zależyśmy od siebie. Tak więc można być szczęśliwym nie posiadając pracy lub innego, niezbędnego w życiu oparcia, gdyż naprawdę zbawczy jest permanentny głód duchowy, nie zaś nadzieja na stabilizację. Konflikty społeczne zostały zastąpione w literaturze amerykańskiej konfliktami płci. Płeć i erotyzm, w ich ujęciu, są ważnym progiem wszelkich przemian w historii człowieka i ludzkości

[...]

## Zagłębiowskie tradycje

**J.G.:** Dojrzał już chyba moment, żeby zapytać autora *Legandy Zagłębia* o sens mitu regionalnego. Czym jest dla Ciebie dzisiaj Zagłębie Dąbrowskie jako specyficzny region kulturowy, odrębny zarówno wobec reszty Polski jak i wobec Śląska? Jak widzisz przyszłość tej krainy?

**J.P.:** Sam mówiłeś o „specyficznym regionie kulturowym”, o „przyszłości tej krainy”. Zagłębie Dąbrowskie jest dla mnie tylko tym i tylko takie, jakim postrzegano je od lat dwudziestych XIX wieku. To po prostu Polska, jej znak, jej symbol. Jest to obraz Polski pracowniczej zwerbalizowany w nieprzemijającej legendzie, przedstawiony w znanych, wybitnych dziełach literatury polskiej. Obraz Polski uciemnionej przez obcy, łupieżczy kapitał przemysłowy. Nie należy mówić o inności tego regionu, bo identyczny był los pracującej Łodzi, Warszawy, Galicji Zachodniej, Ale szczególnie Zagłębie Dąbrowskie, będące podówczas zachodnim krańcem imperium rosyjskiego, graniczącym z Prusami i Austro-Węgrami, traktowane było jako obszar, na którym intelekt polski, polska wysoka kultura, wiodące wartości patriotyzmu polskiego sprawdzane były pod względem dojrzałości i przydatności w służbie narodowej, w pracy dla przyszłości i postępu, co razem wzięte najwymowniej zamykało się wówczas w programie Józefa Piłsudskiego, streszczającego się w słowach: niepodległość i socjalizm.

W tamtej sytuacji dziejowej nikt nie byłby w stanie rozumować inaczej. Skąd w ogóle wziął się nakaz walki o niepodległość? Wśród jakich ludzi się zrodził? W oparciu o co? Czyja praca, cierpienie i krew utrwaliły dążenia niepodległościowe w świadomości narodowej pod koniec XIX wieku? Bez socjalistów polskich idea niepodległości nie stałaby się nakazem moralnym dla pokolenia, które życie swe rzuciło na stos ofiarny.

W końcu XIX wieku stało się sprawą najwyższego powołania literackiego pisać o losie i życiu Zagłębia Dąbrowskiego. Tu rozgrywa się tyle znaczący, ostatni rozdział *Ludzi bezdomnych* Stefana Żeromskiego. Pałających problemów tego regionu, w ogóle drogi Polski pracującej, dotyczą dwie powieści Artura Gruszeckiego: *Krety* i *Hutnik* oraz cykle poetyckie Andrzeja Niemojewskiego pod wspólnym tytułem *Polonia Irredenta*, dramaty Gabrieli Zapolskiej *W Dąbrowie Górniczej*, Marii Dąbrowskiej *Przywitanie wojny i swobody*, Kadena-Bandrowskiego wielka powieść *Czarne skrzydła*, powieść Ferdynanda Goetla *Anaconda*, poezje Lecha Piwowara i Władysława Sebyły, Wacława Stacherskiego, aby pozostać przy tak dostojnej i tylko tyle mówiącej przeszłości.

Współcześni antagoniści Zagłębia Dąbrowskiego [...] w imię dekomunizacji, więc w imię uprzedzeń do czegoś, co było najniklejszym wątkiem tutejszej tradycji, usiłują niszczyć te wartości, co zniszczeniu nie ulegną, a mianowicie owych cech duchowości regionalnej, które od wczesnego wieku XIX osadzone w kulturze narodowej, są trwałymi znakami epokowych fragmentów historycznej świadomości polskiej w ogóle.

Zagłębie Dąbrowskie, jako Polskę proletariatu, pierwszy odkrył i nazwał tym imieniem, jakie dzisiaj jest poniewierane — nie kto inny, ale Józef Piłsudski, redaktor „Robotnika”, jeden z założycieli i oddany przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej. Dla niego Zagłębie Dąbrowskie było regionem nadziei na niepodległość w przyszłej socjalistycznej Polsce. Józef Piłsudski pierwszy powiadomił opinię społeczną w Polsce o robotnikach Huty Bankowej zaatakowanych krwawo przez regularny oddział wojska rosyjskiego we wrześniu 1897 roku. Wiele prac publicystycznych i literackich Józefa Piłsudskiego to barwna kronika rewolucyjnej walki regionu, którą on sam organizował i prowadził.

Nikt nie napisał o Zagłębiu Dąbrowskim jeszcze więcej, nikt wnikliwiej nie przebadał mieszkającej tu narodowej prawdy, będącej rękojmnią niepodległej przyszłości.

**J.G.:** No tak, legenda Piłsudskiego w Zagłębiu to twój konik...

**J.P.:** Rozdział o Józefie Piłsudskim, po recenzji Henryka Rehowicza, usunięty został z mojej *Legendy Zagłębia* (1962). Wiesz dobrze, byłeś długoletnim redaktorem Wydawnictwa „Śląsk”. Książkę przerabiałem kilka razy. „Swą czerwoną sławę Zagłębie Dąbrowskie zawdzięcza swym pierwszym wybitnym autorom – Andrzejowi Niemojewskiemu i Józefowi Piłsudskiemu”. Tak brzmiało pierwsze zdanie nieocalonego rozdziału, w którym przecie wszystko było prawdziwe. Poczuję się do obowiązku, aby go dzisiaj przypomnieć i znacznie poszerzyć.

Mamy dziesięć tomów *Pism zbiorowych* Józefa Piłsudskiego wydanych w Warszawie przez „Instytut” jego imienia w 1937 roku. Dwa pierwsze tomy, także nas najbardziej interesujące: trzeci i czwarty, składają się z publicystyki rewolucyjnej, relacji i dokumentacji wydarzeń rewolucyjnych inicjowanych przez Józefa Piłsudskiego. Po stu latach, jakie mijają, czas byłby najwyższy na antologię tekstów Józefa Piłsudskiego, dotyczących Zagłębia Dąbrowskiego. *Moje pierwsze boje* to tylko fragmentaryczne spełnienie tego pilnego postulat.

**J.G.:** Piłsudski jednak „wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku Niepodległość”...

**J.P.:** Prawda, wysiadł. Jego to sprawa. Był to wynik warunków i sytuacji, w jakich się znalazł jako mąż stanu i twórca państwa. W jego odstępstwie, dającym się uzasadnić czasem oraz dobrze znanymi zagrożeniami i geopolityką, nie mogli go jednak naśladować ci prości, cierpiący od wyzysku pracownicy, których przez ćwierć wieku nazywał swoimi „towarzyszami”, których prowadził i z wrodzonym sobie, unikalnym wręcz talentem przywódcy, agitatora i bojowca wiódł po tej jedynej dla nich drodze, ku najbardziej sprzyjającym im formom życia, jakimi miały być: niepodległość i socjalizm, owe wielkie hasła biografii Józefa Piłsudskiego.

Tak jeszcze niedawno. ile to było gadania, ile słyszeliśmy propagandowego szumu, iż wszystko, co znowu mamy, oparte zostało na dziedzictwie Józefa Piłsudskiego. Z jakiej to jednak przyczyny w III Rzeczypospolitej nie wznawia się jego *Pism zbiorowych*, które być by mogły niewątpliwie bestsellerem wydawniczym! Głosiło się kiedyś z niepohamowaną odwagą, także na pamiętnym Zjeździe Związku Literatów Polskich [...], że w PRL o Józefie Piłsudskim trzeba nauczać potajemnie na wykładach „uniwersytetów latających”, tym samym narażać się na prześladowania ze strony władz bezpieczeństwa, gdyż oficjalna edukacja z uporem przemilcza twórcę państwa polskiego i zwycięzcę w wojnie polsko-bolszewickiej. Milicja istotnie biła pałkami słuchaczy owych „uniwersytetów latających”, wykładowcy skazywani byli na wysokie grzywny i kary więzienia. Owszem, któż zaprzeczy, trudno w świecie o jeszcze większe chamstwo, o większe barbarzyństwo niż bicie i prześladowanie gromadzących się dla nauki. Lecz spytajmy jak ten sam problem wygląda dzisiaj? Nad Józefem Piłsudskim zaciągnięto kotary milczenia. Młodzieży polskiej nie daje się dzisiaj *Pism zbiorowych* marszałka, unika się w ogóle rozmów na ten temat. Milczy się o tym, co Józef Piłsudski osiągnął jako socjalista, jako mąż stanu. Czemu w końcu jest winien jako kiedyś wybitny rewolucjonista?

[...] Kto nigdy nie przestudiował z należyтым skupieniem *Pism zbiorowych* Józefa Piłsudskiego, kto nigdy nie usiłował zrekonstruować sobie jego duchowości, komu socjalizm polski jest i zawsze był obcy, kto nie doznał wzruszenia na skutek odkryć tego, czym są ciągle żywe ślady po Józefie Piłsudskim w Zagłębiu Dąbrowskim, ten mógł bez zastrzeżeń uwierzyć sugestywnemu zdziwieniu Andrzeja Micewskiego zawartemu w jego

książce *W cieniu marszałka Piłsudskiego* (1968) oraz znacznie dalej posuwającemu się Stanisławowi Cat-Mackiewiczowi autorowi pracy *Klucz do Piłsudskiego* (Londyn 1943). Dziwią się obaj, iż, teza o Piłsudskiego „pozornym tylko związku z socjalizmem” nie jest powszechna, że raczej mówi o zdradzeniu socjalizmu przez Piłsudskiego, niż o tym, że nigdy on socjalistą nie był. [...]

**J.G.:** Józef Piłsudski znakomicie poszerza tradycje regionu, generalnie zmienia optykę duchowego dziedzictwa Zagłębia Dąbrowskiego. Te fakty proszą o jak najszersze upowszechnienie.

**J.P.:** W ubiegłym roku ukazało się u nas w trzech tomach *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego* Jędrzejewicza i Cioska, lecz i to dzieło zamazuje prawdę o socjalizmie Piłsudskiego i wręcz fałszuje jego stosunek do Zagłębia Dąbrowskiego oraz więzi z tym regionem.

Ale gdy chodzi o tradycje regionu, nie tylko Józefa Piłsudskiego trzeba by brać w rachubę. Czym są w istocie, w całej swej złożoności tradycje Zagłębia Dąbrowskiego, mogą o tym świadczyć również inne, zawsze arcypolskie nurty duchowe. Sięgnijmy po niezwykle ważny, wszystkim zapomniany i bodaj nie czytany przez wielu wywiad na temat Zagłębia Dąbrowskiego ks. biskupa dr. Stefana Bareły, ordynariusza częstochowskiego, jakiego udzielił „Tygodnikowi Powszechnemu” z dnia 4 V 1975 roku. Było to wkrótce po tym, jak Prymasowi, ks. kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu uniemożliwiono wjazd do Sosnowca z okazji peregrynacji obrazu jasnogórskiego. Tłum mężczyźni uniósł wtedy i obrócił samochód kardynała. skierował go z powrotem do Katowic.

Oficjalną okazją do wywiadu były uroczystości 50-lecia ówczesnej diecezji częstochowskiej, ustanowionej na mocy bulli Piusa XI „*Vixdum Poloniae unitas*” z dnia 28 X 1925 roku, w której skład z tą właśnie datą weszły z diecezji kieleckiej 4 dekanaty, 48 parafii wydzielonych, czyli cały region Zagłębia Dąbrowskiego.

Biskup Stefan Bareła tak mówił o stanie swej diecezji w 1975 roku: „Południe to przede wszystkim miasta: Sosnowiec, Będzin, Czeladź, Dąbrowa Górnicza, Zawiercie, Myszków oraz wiele mniejszych jednostek. To miasta i przemysł [...] nadają krajobrazowi tej części diecezji coraz to wyraźniejsze piętno, a życiu ludzi odrębny charakter [...] Miejsko-przemysłowe południe weszło w fazę gwałtownego skoku rozwojowego w zakresie inwestycji przemysłowych (z Hutą „Katowice” na czele), w zakresie rozbudowy istniejących miast i powstawania nowych osiedli mieszkaniowych, w zakresie szkolnictwa i placówek kulturalnych.”

Biskup częstochowski ogarniał całą sytuację kościoła w Zagłębiu Dąbrowskim. Zacytuję jeszcze jeden fragment tego wywiadu jako przykład obiektywnej wiedzy pasterza diecezji, wiedzy istotnej dla rzeczywistości duchowej, z którą miał wówczas do czynienia Kościół nauczający. Ksiądz biskup Bareła kontynuował: „Południe z robotniczym Zagłębiem Dąbrowskim na czele było przed wojną mocno antyklerykalne i w stosunku do Kościoła zbuntowane. Postawa duchowieństwa podczas okupacji dokonała tu z pewnością znacznego wylomu, niemniej jednak nie usuwała właściwej przyczyny zjawiska. Przyczyną bowiem antyklerykalizmu, przynajmniej w tym rejonie diecezji, były nierzadkie objawy swoistego społeczno-ekonomiczno-towarzyskiego aliansu duchowieństwa z warstwami rządzącymi i posiadającymi oraz przejmowany przez księży model ich życia wraz z nastawieniem do pozostałej „reszty” społeczeństwa. Czasy powojenne usunęły tę przyczynę antyklerykalizmu.[...] Ale czy z tej przyczyny sytuację Kościoła na południu naszej diecezji należy uznać za łatwą? Gdyby tak było,

nie uruchomilibyśmy w naszym Seminarium Duchownym przedmiotu studiów religijno-duszpasterskiej problematyki Zagłębia, nie siałbym też do alumnów listów poruszających sprawę ich formacji kapłańskiej. [...]

Trzeba tu snuć jeszcze niektóre wątki podniesione w cytowanym wywiadzie. Chciałbym przypomnieć, że kiedy w 1926 roku Juliusz Kaden-Bandrowski w powieści *Czarne skrzydła* napisał, że bezrobotni, zrozpaczeni ludzie w dzielnicy „Zielona” w Dąbrowie Górniczej zdjęli z krzyża Chrystusa i w jego miejsce ukrzyżowali proletariusza zagłębiowskiego, rozpętało to tylko ze strony Kościoła niebywałą kampanię antysekciarską wymierzoną w głodną biedotę, zaś przede wszystkim w ich kapłana, ks. Huszno. Lecz przecie ten arcyłudzki odruch opisany przez Kadena-Bandrowskiego był z natury swej ewangeliczny, bo przecie nie mogą identycznie pojmować ofiary Chrystusa bogacz i biedak odarty ze wszystkiego. Należało ich wysłuchać, zmienić ich los lub przynajmniej stanąć w ich obronie. Pół wieku później biskup częstochowski wyjaśnił niemożność takiej postawy aliansem „społeczno-ekonomiczno-towarzyskim” kleru z władzą. Dzisiejsze aliance Kościoła gorszą wiernych może bardziej niż dawniej.

**J.G.:** Muszę się przyznać, że odwagi czy otwartości wywiadu biskupa Bareły nie odebrałem jako rewelacji. W gruncie rzeczy formułuje on opinie dosyć obiegowane.

**J.P.:** Ksiądz biskup Bareła był prawdziwym wyjątkiem pod względem wnikliwego traktowania sytuacji społecznej człowieka w jego diecezji. Zaś Kościół znał raczej i wtedy i wcześniej, podobnie jak i dzisiaj, jako jedyne źródło zła wyłącznie pojęcie komunizmu lub jako nadużywane współcześnie pojęcie postkomunizmu. Nigdy nie była znana u naszych polskich teologów kategoria — socjalizmu polskiego, od której trudno byłoby urobić w dzisiejszych warunkach sloganowe pojęcie „postsocjalizmu”. Socjalizm jest ideą ciągle żywą, i to w skali najwyższej, wśród kultur tak wysokich, jak kultury europejskie. Zresztą i na komunizm należało dawniej, także i później patrzeć zgoła inaczej. Przypomina o tym Jan Paweł II w książce *Przekroczyć próg nadziei* [...].

**J.G.:** Niedawno zwracałeś Janku uwagę na niedocenioną rolę wolnomularstwa w Zagłębiu, Na czym to odkrycie się opiera?

**J.P.:** Przemienne ideologie, zwalczające się nawzajem, wydzierają sobie Zagłębie wiele razy. Na przełomie wieku Józef Piłsudski wyrwał region spod wpływów Ligi Polskiej i jej siostry Narodowej Demokracji. Piłsudski wyeliminował w Zagłębiu Dąbrowskim wpływy Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i nawet połączył tę partię z miejscową organizacją PPS. Był to przejściowy epizod, lecz trudno o nim nie pamiętać. Od 1924 roku wpływy socjalistów, także miejscowych komunistów przeorientowali jako nurt całkowicie odrębny, Wolnomularze. Podporządkowali sobie PPS, gdyż z niej się w większości wywodzili, opanowali postępowe kręgi inteligenckie i artystyczne, młodzież gimnazjalną, robotniczą. W ich ręce przeszło Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych. Zaczęli również kontrolować opiniotwórcze kręgi społeczne sympatyzujące z członkami KPP, którym brak było w Zagłębiu Dąbrowskim osobowości o dużym znaczeniu prestiżowym.

Dopiero książka Leona Chajny *Polskie wolnomularstwo. 1920-1938* (1984) uzmysłowiła nam, iż wszyscy wybitni intelektualisci, uczeni, wzięci pedagodzy oraz działacze polityczni regionu, przez partyjnych historyków Zagłębia Dąbrowskiego identyfikowani jako komuniści lub ich sympatycy, w przebraniu demokratów i postępowców byli zgoła kim innym; „dnia 14 marca 1924 roku ery pospolitej” na „wschodzie Sosnowca” założyli Łożę Staszic w stopniu I. I to oni niezwykle stanowczo wszelkie ruchy społeczno-polityczne podporządkowali wolnomularstwu, nie na odwrót.

W istocie jednak wolnomularzom I Łoży Staszic nie udało się trwale zawładnąć

Zagłębiem Dąbrowskim. Z dużym skutkiem zorientowali jednak region przeciw Józefowi Piłsudskiemu, a więc przeciw „odstępcy”. W kontekście obecności i wpływów wolnomularzy w Zagłębiu Dąbrowskim oceniać powinniśmy manifestacyjny charakter, jaki w 1929 roku nadano przyznaniu honorowego obywatelstwa miasta Sosnowca Andrzejowi Strugowi, który przecież nie miał nigdy okazji, by jako pisarz i socjalista, członek Wydziału Bojowego PPS, zaistnieć wśród krajobrazu politycznego Sosnowca lub w ogóle Zagłębia Dąbrowskiego. Lecz wtedy właśnie uhonorowano go w Sosnowcu, bo to był Wielki Mistrz Łoży Narodowej, a także ten, który nie odwiedzał „odstępcy” w Belwederze, nawet kiedy przysyłano po niego powóz.

Józef Piłsudski długo tolerował wolnomularskie zabawy swoich towarzyszy z szeregu, których odstąpił. Kryzys polityczny po Brześciu doprowadził jednak do „uśpienia Łoży Staszic” w Sosnowcu. Renowacyjne jej zebranie odbyło się 4 czerwca 1935 roku, a więc w miesiąc od śmierci „odstępcy”. I to właśnie z perspektywy Łoży Staszic należy napisać nową nie partyjną, ale nową historię społeczną Zagłębia Dąbrowskiego w dwudziestolecie międzywojennym, wskazując na inną zgoła orientację ludzi, na inny charakter wydarzeń, aniżeli robiono to do tej pory.

**J.G.:** Nie chcesz chyba powiedzieć, że w Zagłębiu Dąbrowskim nie było „komuny”. Sam wiele pisałeś o tym.

**J.P.:** Nie zaprzeczam. *Scripta manent*. Ale duchowość Zagłębia Dąbrowskiego musi się przedstawiać całkowicie inaczej, jeśli taki prof. Witold Wyspiański nie będzie już dłużej traktowany jako komunista, ale jako wolnomularz, działający wśród nich. Komuniści tamtego czasu prezentowali się jako surowość obojętnej i miarkowana żywość umysłu, jako straszliwe, śmiertelne zaciętrzewienie i pogarda dla równie bezwzględnego przeciwnika, jakim była PPS. Biografia niejednego komunisty z punktu widzenia człowieczeństwa mogła ująć, zadziwić. Mnie ujął uchodzący za zdrajcę Anastazy Kowalczyk ze Śróduli w Sosnowcu. Napisałem jego biografię. Komuniści, których w moim bliskim otoczeniu rozpoznawałem już przed wojną w Jaworznie, szczególnie gdy powrócili z Hiszpanii, interesowali mnie jako nurt ofiarniczy, tragiczny, miotający się między niesprzyjającą im rzeczywistością a przywidzeniami na swój własny temat. Choć zawsze byli w mniejszości, zawsze wyobcowani ze społeczeństwa i egzystujący poza prawem, zostawili po sobie, po ludzku biorąc, przejmujące karty swej obecności. Rzecz to pewna, iż wszyscy ginęli, żałując, iż się narodzili, co możemy odnieść choćby do trzech braci Lipskich z Dąbrowy Górniczej. Dwu z nich zamordowało NKWD w Moskwie w 1937 roku, trzeciego kazal zabić w 1943 roku w Warszawie z błażej przyczyny inny komunista, Paweł Finder, przedstawiciel okupacyjnej PPR w Polsce, a więc głównej filii NKWD.

Komunistów polskich mordowano cynicznie w ZSRR, dokąd ich wcześniej zapraszano jakoby na szkolenie i naukę. Jeśli w ogóle ocaleli, to tylko dzięki więzieniom polskim, które w momencie likwidacji KPP przez Moskwę stały się dla nich luksusowym azylem. Oswojeni zgrozą śmierci, długo zostający poza prawem, pielęgowali moralność zapiekłego odwetu, wydawali z siebie osobników o cechach często nieludzkich i takich wokół siebie w pierwszym okresie skupiali. W wydaniu PPR wznosili krwawe, inkwizycyjne stosy. Przed zjednoczeniem ruchu robotniczego w 1948 roku zbójcecko dorzynali PPS-WRN w Zagłębiu Dąbrowskim. PPR zniszczyła do ostatniego socjalistów regionu, odarła ich z czci, z bohaterskiej okupacyjnej przeszłości, upodliła. [...] Katowicka organizacja PPS w ogóle nie zna swej przeszłości w Zagłębiu Dąbrowskim.

[...] Mściwym przeciwnikiem regionu był Władysław Gomułka. Nie działało się to bez przyczyny, którą jednak przemilczał a nawet skrył gestem iluzjonisty-zonglera

w swych *Pamiętnikach* (T. I-II, 1994). Wspomniana przyczyna była dla niego na tyle ważna, że zaważyła na konstrukcji *Pamiętników* i skryta została, jak to odczytujemy, w rozdziale zwanym *Prologiem*. Któż bowiem wyjaśni i czy potrafi to zrobić redaktor naukowy dzieła Andrzej Werblan, gdy spytamy: co sprawiło, iż *Pamiętniki* Gomułki zaczynają się rozdziałem opowiadającym o jednym tylko aresztowaniu, procesie i wyroku w 1936 roku w Katowicach? Czemu to autor nie zaczyna swych pamiętnikarskich zapisów od dnia swego urodzenia? Mówi o tym, lecz później. Wpierw pisze o innym zdarzeniu.

Dopiero po owym *Prologu* Władysław Gomułka zaczyna opowiadać swą biografię pisze gdzie, kiedy i kto go rodził, jakie miał dzieciństwo, młodość, jak stał się związkowcem, potem rewolucjonistą-komunistą. Odtąd, to znaczy od kołyski, ściśle z postępującym kalendarzem, skrupulatnie na czterystu stronach tomu pierwszego śledzi swe życie rok za rokiem, pamiętając, iż tam już w *Prologu* opisał rok 1936 w Katowicach. Są to konstrukcyjne, nieco obłudne sztuczki, mające ukryć pewien wstydlivy szczegół w biografii Władysława Gomułki.



Wręczenie nagród w „Ogólnopolskim Konkursie na powieść górniczą” 1969.

Od lewej: W. Szewczyk, WL Janiarek, Minister Górnictwa, Jan Mirega, Jan Pierzchała, Albin Sikiński, Leon Wanna.

**J.G.:** Zaciekawiasz mnie nie na zarty.

**J.P.:** Moim zdaniem ów *Prolog* wziął się stąd, iż gdy w kwietniu 1936 roku Władysław Gomułka został aresztowany w Chorzowie, kiedy we wrześniu w Katowicach skazano go na siedem lat więzienia, gdy w styczniu 1937 roku, a więc bardzo szybko, Sąd Apelacyjny wyrok mu obniżył do czterech lat, PPS-owski „Głos Zagłębia”, a za nim cała prasa zainteresowana tego rodzaju wiadomościami, podały, że komuniście Gomułce „obniżono wyrok i warunkowo go zwolniono z więzienia w Katowicach”, gdyż, jak oni to nazwali „poszedł na współpracę z rządem sanacyjnym i kapitałem”.

Taki był zapamiętany przeze mnie sens tego iście napastliwego artykułu, pokazanego mi kiedyś przez Aleksiego Bienia, który miał oprawione roczniki pisma w domu. Powiedział mi przy tym, że w bibliotecznych rocznikach prasy przedwojennej odpowiednie kolumny, dotyczące Gomułki, są powyrywane. W samej rzeczy, słyszeliśmy swego czasu o ekipach czyszczących prasę przedwojenną z takich i podobnych wiadomości, dotyczących mężów stanu w PRL. Mechanizm powstania owej pogłoski o pójściu Gomułki „na współpracę z rządem i kapitałem”, rozkolportowanej przez PPS w Zagłębiu Dąbrowskim, polegał

może na tym tylko, iż Sąd Apelacyjny wpierv uchylił w całości wyrok Sądu Okręgowego i następnie orzekł nowy wymiar kary, obniżając ją Władysławowi Gomułce do 4 lat i 6 miesięcy, jeżeli dobrze zapamiętałem. Ale niewątpliwie podejrzanę jest milczenie Gomułki dotyczące napaści PPS, związanej z wyrokiem Sądu Apelacyjnego. Aby tę niedobrą pamięć złagodzić, wspomnienie przeszłości zakłajstrować, bo w kręgach zabawiających się historią rzecz to była u nas znana, katowiccy mądrale postanowili urządzić Muzeum w celi więzienia przy ulicy Opolskiej w Katowicach, w której w latach 1936-37 przez 14 miesięcy, przebywał Władysław Gomułka. Do realizacji pomysłu nie doszło, pomysłodawcy zostali zrugani. Władysław Gomułka nie znosił Sosnowca, potem i Katowic. W odwecie, według słów, jakie kiedyś słyszałem od Aleksandra Zawadzkiego, po 1945 roku, Gomułka osobiście zabiegał, ażeby nazwę regionu „Zagłębie Dąbrowskie” usunąć z nowej mapy Polski, choć znajdowała się tam przez całe XX-lecie międzywojenne. Gomułka twierdził, że nazwa „województwo śląsko-dąbrowskie” wystarczy. Za jego sprawą urządzono tu nieludzką, krwawą czystkę poprzedzającą zjednoczenie w 1948 roku. Członków PPS-WRN zniszczono do ostatniego. Pogrzeb przywódcy PPS-Zagłębia Dąbrowskiego, Aleksego Bienia, 11 lipca 1977 roku w Sosnowcu był późną, zrutynizowaną już reakcją Zdzisława Grudnia i jego doradców na śmierć tego wybitnego PPS-owca. Nikogo nie dopuszczono do ceremonii pogrzebowej na cmentarzu w Sosnowcu - Pogoni. [...]

Niechęć i odwetowe sprzeciwy Władysława Gomułki wynikały tyleż z dawnych przyczyn, ile również z nowszych i całkiem świeżej daty. Dziesięć lat wcześniej miał tu bowiem miejsce zamach bombowy na niego, gdy zdązał na otwarcie kopalni Mortimer-Porąbka w Zagórz, o budowie której napisałem zresztą powieść *Dzień z nocą na trzy podzielony*. Wtedy to Gomułka oświadczył, że do Zagłębia Dąbrowskiego nigdy już nie przyjedzie, jeżeli nie znajdą sprawcy eksplozji na trasie jego przejazdu. Zaczęli szukać i oczywiście znaleźli. Zamachowca nazwano wariatem, ażeby odpolitycznić próbę zabicia Gomułki i spowodować przewartościowanie tego czynu o kwalifikacjach niewątpliwie politycznych. Wariatem został technik-elektryk, który zainstalował przy drodze do kopalni wypełniony dynamitem słupek imitujący kamień przydrożny. Detonował go z dużej odległości, ze swego mieszkania, w chwili gdy zbliżała się kolumna rządowych samochodów. Lecz jak to zwykle bywa w podobnych sytuacjach, kto miał się znaleźć na czele, ten dla bezpieczeństwa siedział w innym samochodzie, znajdującym się na samym końcu.

Odwet na Zagłębiu Dąbrowskim wziął Gomułka w swoich *Pamiętnikach*, w których rzadko który socjalista stąd pochodzący to człowiek uczciwy. Beznadziejna, haniebnie oszczercza jest sugestia Gomułki, że taki na przykład Jan Stańczyk, sekretarz generalny Związku Górników, członek Rady Naczelnej PPS i Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS na Górnym Śląsku, w 1936 roku zaprosił Gomułkę na obiad w restauracji w Katowicach, zresztą na prośbę jego samego, aby go przy okazji wydać agentom policji, którzy jakoby postępowali za Gomułką po jego wyjściu z restauracji.

Jan Stańczyk był długoletnim sekretarzem Związku Górników, jeszcze gdy ten miał siedzibę w Krakowie. Stamtąd przeniósł centralę związku do Dąbrowy Górniczej. Na tym stanowisku poznał go i opisał w *Czarnych skrzydłach* Kaden Bandrowski. Jan Stańczyk należał do ludzi wielkiej szlachetności, ogólnie też był szanowany. [...]

**J.G.:** Powinieneś koniecznie napisać drugi tom *Legendy Zagłębia*. Rzadko się zdarza, by w jednym regionie krzyżowało się tyle nurtów o tak doniosłych, ogólnych odniesieniach. Co jak co, na początek pisałbym całą prawdę o komunistach Zagłębia Dąbrowskiego.

**J.P.:** Komuniści z PPR wyludnili ten region, zablokowali go na długie lata. Kiedy ja tu osiadłem w 1953 roku po usunięciu mnie z Wrocławia, nie wolno było o tym regionie myśleć ani pisać. Na wiele lat zlikwidowano Teatr Zagłębia w Sosnowcu. Region odarty z socjalistycznych tradycji przeszłości dogorywał kulturalnie. Jest niezbitą prawdą, iż zmianę tej sytuacji zawdzięczać należy inicjatywom Edwarda Gierka. Wprawdzie on sam o tym nie mówi, jakby tego nie doceniał, ale to jego nowa polityka wobec regionu uruchomiła lawinowy ciąg publikacji, niestety, jednego tylko autora, o jednym tylko nurcie KPP i PPR. Przy tej okazji otwierał się wprawdzie margines tolerancji dla wartości socjalistycznych, PPS-owskich, które też coraz pełniej dochodziły do głosu.

Ówczesny awans Zagłębia Dąbrowskiego, nieco ponad możliwości i jakby nieco ponad wytrzymałość, w trakcie czego Sosnowiec został siedzibą Uniwersytetu Śląskiego, gwałtowna, bo konieczna, jakże bardzo spóźniona rozbudowa regionu w latach wzbierającego lawinowo kryzysu politycznego spowodowały raptowne pojawienie się napaści, wynikających z przekonania, iż Huta „Katowice” już niebawem i na zawsze wniesie w pielęgnowane tu tradycje całkiem inne, konkurencyjne wartości inspirowane przez nową, solidarnościową formację kultury.



*Katowice 1972. Od lewej: J.Pierchala, Bolesław Lubosz, Franciszek Rys, z-ca kierownika Wydziału Kultury WRN w Katowicach*

**J.G.:** Huta „Katowice” była przecież „dzieckiem” Gierka?

**J.P.:** Nie wiadomo doprawdy, czy Huta „Katowice” jest sukcesem, czy też raczej generalną klęską Edwarda Gierka. Mnie się zdaje, że była tym drugim. Gdy rozpoczęto prace ziemne, pojawiły się ogłoszenia werbujące robotników do budowy Huty „Katowice”. Było zrozumiałe, iż dla huty pod Gołonogiem wzięto imię od nazwy regionu. Niebawem na życzenie antyzagłębiowskich czynników politycznych w Katowicach i w Warszawie [...] nazwę budującej się huty zmieniono na Huta „Centrum”. Na samym końcu okazało się, nie wiedząc na jakiej podstawie, że premier rządu radzieckiego Kosygin otwiera hutę „Katowice”.

[...] Dziś, pośród trwającego jeszcze ciągle niszczenia i obojętności względem tradycji Zagłębia Dąbrowskiego, ożywa coraz bardziej świadomość odrębności regionu. Nazwą regionu, odartą wszakże z wszelkiej treści posłużyła się „Solidarność Śląska i Zagłębia”. Tę beztreściową geograficzność potrzymuje ze zmienną wytrzymałością „Solidarność 80”.

W ostatnich wyborach samorządowych w czerwcu 1994 roku pojawiły się bezpartyjne orientacje, odwołujące się do znanej w przeszłości rangi Sosnowca oraz do nowo kształtowanych więzi, decydujących o całym regionie i jego odrębności. Powstał „Związek Zagłębiowski”, którego przedstawiciel, jako kandydat na radnego zapowiadał: „Zagłębie nie jest czerwone ani białe, żółte czy zielone. Zagłębie jest nasze. Chcemy przywrócić Sosnowcowi dumę i godność stolicy Zagłębia”. Wspominany przez wszystkich powrót do dawnej „dumy i godności”, odbyć się może tylko w jeden sposób: przez radykalną zmianę polityki kulturalnej, ożywienie zawieszonych w próżni regionalnych środowisk twórczych. Należy odbudować grupę artystów-plastyków „Zagłębie”, których pozbawiono dawnych warunków pracy. Klub Pisarzy Zagłębia Dąbrowskiego beztrosko zepchnięty został na margines, pozbawiono go uwagi społecznej, uniemożliwiono mu rozbudowywanie więzi z regionem i czytelnikami w ogóle.

**J.G.:** O czym byśmy nie mówili, zawsze zderzamy się z problemami literatury i filozofii twórczej. Szczególnie bowiem dzisiaj trudno pomyśleć sztukę bez zasady porządkującej tę dziedzinę.

**J.P.:** Jedynie głęboka, humanistyczna myśl o życiu i człowieku być może źródłem i natchnieniem literatury, wszelkiej sztuki. Filozofia literatury jest to myślowa podstawa kształtująca formę życia w ogóle, całą kulturę duchową, sferę społecznych zachowań. Na naszych oczach upadła, mająca kiedyś znaczenie, kategoria losu zbiorowego. Losu a nie wąsko pojętej egzystencji. Dziś wszystko toczy się w tym kierunku, abyśmy sobie przyswajali i akceptowali filozofię widzenia rzeczy i spraw świata wyłącznie poprzez los indywidualny. Mogłaby to być droga równie twórcza, gdyby tak łatwo nie skazywała człowieka na osamotnienie. Człowiek zostaje dziś tylko sam z sobą, bezradny staje w obliczu wszelkich możliwych pytań egzystencjalnych i problemów duchowych. W tym położeniu składa się na jednostkę obowiązek rozstrzygnięcia o wszystkim, nawet o tym, co od osamotnionej jednostki zależeć nie może, czego ona, na domiar złego, wcale nie jest zdolna poznać.

Personalizmem pozytywnym nazwać by można filozofię człowieka osamotnionego pośród świata, zachowującego wszakże zdolność twórczych czynności poznawczych. Jeśli wychodząc od problematyki personalistycznej możemy nie wiedzieć w pełni, jaki jest sens świata, czym było jego powstanie, czym jest trwanie, z całą pewnością możemy jednak sądzić o tym, co się dzieje na świecie, który człowiekowi został jakoby dany, by nad nim panował. O owym panowaniu nad przyrodą nie zapomnieli nawet marksiści.

Na początku rozmowy powołałeś się na Stefana Żeromskiego i Marię Dąbrowską w związku z opcjami społeczno-narodowymi, bo to także można kojarzyć, jeżeli nie z funkcją, to przynajmniej z walorami poznawczymi literatury lub chociażby z dążeniami do aktów poznania. Dzisiaj ta strona literatury została prawie zaniechana. Wszystko raczej nie bez pewnej przewrotności sprowadza się do pozostawiania przy pytaniach dotyczących wyłącznie formy. Treść, fabuła, w myśleniu modernistycznym, bliskim awangardyzmowi, są czymś drugorzędnym, pozbawionym walorów znaczeniowo-przyczynowych. Czytelnik, równie często odbiorca teatralny, nie zauważa istoty owych mechanizmów, nie docenia postaw artystycznych o podobnych cechach, nie jest w stanie ich weryfikować, wciągany jest bowiem w arcsynobistyczne uczestnictwo w czymś, co ma określone odniesienia ideowe, rozpoznawalne na zasadzie swej nieczytelności, z akcentami rozpoznawczymi położonymi wyłącznie na formie.

Moja literatura oparta jest o zasadę twórczą, nakazującą wyrazić siebie w egzystencji

i duchowości drugich, w poznawalnym obrazie świata, nie zaś wyłącznie we wnętrzu osobowości skazanej na udręki osamotnienia i podstępnie narzuconą odpowiedzialność nie tylko za to, co jest jednostkowym powodem w życiu lecz i za to, co zwie się losem. Do zbrodni zaliczam najwzyczajniejsze akty przemocy, odrzucające, choćby w naszych warunkach, jednostki ludzkie „nieposiadające” na margines życia. Marksizm jako filozofia od dawna przedatowana uwrażliwiła nas jednak na obraz świata przedstawianego w sztuce. Zapewne tylko z tej przyczyny doznajemy przerażenia okrutnie niehumanitarną cywilizacją końca wieku XX, czasem przypisywaną absolutnej władzy Szatana. Wyraźnym szczęściem jest, iż się boimy zamiast chichotać?

Nikim jest człowiek jako jednostka i jako osobowość zamknięta w sobie, od siebie wyłącznie zależna, jeżeli nie należy do właścicieli choćby tylko maleńkiej części świata, jego zasobów złożonych w sejfach. Kto z nas może swobodnie kształtować własne życie mocą swej woli, swej pracy? Świat i jego dobra, razem z nami, już zostały podzielone pomiędzy kilku miliardów amerykańskich. Człowiek i świat już zostali ostatecznie uszczęśliwieni. Hasła dążenia do szczęścia tak poruszające jeszcze osiemdziesiąt lat temu ostatecznie już przebrzmiały, zostały skompromitowane. Wołanie o szczęście ludzkości mamy już poza sobą. Seriale produkcji amerykańskiej, pokazywane biedakom przez TV w Polsce, dostatecznie jasno o tym mówią.

Bohaterowie sztuki amerykańskiej żyją, rozmnażają się, tracą pamięć, by ją cudownie i we właściwym czasie odzyskać, zmieniają fizjonomię, nigdy nie umierają, co najwyżej zapadają w letarg, słowem ukazują się nam w pozach dawnych herosów. Wiele osobowości zdegradowanych pod względem ducha i umysłu nie wątpi dzisiaj, iż, są naprawdę boskiego pochodzenia, że nabyli do niego prawo.

**J.G.:** I ciebie, człowieka Zachodu, ogarnia przerażenie na widok pauperyzacji ducha u nas, bezmyślnej amerykanizacji? Podzielasz sąd Giedroycia o trwającym zniewoleniu? Chciałem w takim razie spytać, czy w związku z obecną sytuacją literatury dostrzegasz szansę i potrzebę integracji środowiska literackiego w Polsce? Jak się w nim czuleś dawniej, jak dzisiaj?

**J.P.:** Najczęściej źle się czułem w Związku Literatów Polskich w Katowicach. Nie stanąłem do zbiorowej fotografii pod pomnikiem na rondzie w Katowicach z okazji 25-lecia powołania oddziału śląskiego. Nie wziąłem udziału w uroczystym obiedzie oraz w późniejszym pijaństwie jubileuszowym, pamiętanym przez następne ćwierćwiecze. Związek Literatów Polskich był własnością jednego człowieka. Miało to charakter wieczystej donacji w stylu feudalnym. [...] Z wielkim sentymentem wspominam mój literacki Wrocław, gdzie w 1948 roku przyjęty zostałem do ZLP. Dużo mi dały przyjaźnie i domy: Anny Kowalskiej na Karłowicach i prof. Tadeusza Mikulskiego w Oporowie. U Anny Kowalskiej poznałem Marię Dąbrowską; od 1947 roku, latem bywała we Wrocławiu z żyjącym jeszcze wtedy Stanisławem Stempowskim, autorem *Pamiętników* wydanych w Ossolineum w 1953 roku, a więc w rok po śmierci. Cieszyłem się przyjaźniami: Wojciecha Żukrowskiego, Tadeusza Zeleneya, Tadeusza Uragacza, Tadeusza Lutogniewskiego, Romualda Cabaja, Jakuba Sonszajna, znakomitego poety piszącego w juedisch, którego wypuszczono z ZSRR i osiedlono we Wrocławiu.

W Katowicach przyjaźń połączyła mnie z Wilhelmem Szewczykiem. Później tak był rozproszony, że nie był w stanie skupiać się na samym sobie, cóż dopiero na innych. Wreszcie przestał uznawać najwzwyklejsze formy koleżeńskie i zaczął oczekiwać wyłączniesolemnizacji. Ale przez ćwierć wieku widywaliśmy się codziennie. Wiedzieliśmy o sobie wszystko. To coś znaczy. [...]

Prawdziwym bratem w literaturze był mi Andrzej Wydrzyński. Nie apróbowałem jego stylu życia, odpychały mnie jego ciagoty narkotyczne, które powodowały, że stale był bliski zatruty swej osobowości, co też przedwcześnie go zniszczyło. Nie sprzeciwiałem mu się nigdy, kiedy po wielokroć razy przekonywał mnie jak to przed wojną w Korpusie Kadetów we Lwowie, którego był uczniem, prowadził komórkę komunistyczną. Zdumiewało mnie jego piarstwo dramaturgiczne, zaś szczególnie jego komentarze do własnej twórczości. Był mi bardzo potrzebny taki jakim był, kapryśny i trudny. Byłem chyba jedynym człowiekiem na świecie, przed którym nie miał tajemnic. Wiedział, jakimi go darzę uczuciami. Miał kontakty z teatrami w Berlinie Zachodnim. W tajemnicy przed środowiskiem upychał zagranicą swoje teksty. Prowadziłem mu korespondencję. Czytałem wszystko, co do niego pisali. Redagowałem odpowiedzi w języku niemieckim. Ufał mi, to niewątpliwe. Jego przyjaźń, lojalność, wszystko wręcz kończyło się, gdy w grę wchodziła kobieta.

Skłamałbym, gdybym twierdził, że nie jestem przywiązany do ZLP. W ciężkich czasach „zawieszenia działalności” w stanie wojennym, potem „odwieszenia” więcej związkowi dałem, aniżeli on mnie.. Co do przyszłości obu istniejących dzisiaj organizacji literackich: „Stowarzyszenia” i ZLP, nie wyobrażam sobie ich porozumienia. Są typy i formy „małości duchowej”, które się wzajemnie wykluczają. Już Waclaw Potocki powiedział kiedyś: „Nie masz takiej nienawiści między garncazami, jak między pisarzami”.

**J.G.:** Proszę mi jeszcze powiedzieć co się dzieje, co dojrzewa w twojej pisarskiej kuchni?

**J.P.:** Moja ostatnia powieść *Jak krótkie lato* o uniwersytecko-literackim środowisku Wrocławia ukazała się nakładem „Czytelnika” w 1984 roku. Minęło więc już ponad dziesięć lat. Ukończyłem najnowszą powieść *Szept węża w wysokiej trawie* dziejącą się w latach 1918-1938 pośród tego wszystkiego, co ten okres i jego dążenia znaczą dla nas. O warstwie niemieckiej obecnej w tym utworze wspominałem już wcześniej. Jej znaczenie dzisiaj rośnie. Czy autor powinien objaśniać to, co napisał? Niejakim kluczem i pierwszą wskazówką znaczeniową jest zawsze tytuł, zawarte w nim sugestie, apelujące do kultury myślowej czytelnika. W tytule do mojej powieści tkwi jak gdyby jakaś werbalna, kolokwialna oczywistość, która może zastanowić, może i przerazić. Jest tam też w domyśle zapowiedź czy obietnica uchylenia bram do piekieł.

Nie opowiada się przecie słuchaczom o ucieczce przed banalnie się toczącymi nurtami pospolitych wydarzeń losowych. Czytelnika ekscytują wyłącznie losy spiętrzone tragicznie, niezwykajne, zamykające w sobie doświadczenie epoki. W literaturze na różne sposoby doświadczano już serca i duchowości człowieczej. Sięgnąłem po próbę niezwykle twardą. Literatura nasza nie zna, o ile mi wiadomo, próby losowej o podobnej projekcji moralnej i wymiarze uczuciowym, jakie u mnie dotyczą młodej kobiety. Całe jej życie to gwałtowny dialog z losem prowadzony w imię miłości. To dość, by tę powieść traktować w ogóle jako wezwanie do wielkiej szczerości, szczególnie dzisiaj wobec wielkich wyzwań czasu.

Już jakby od młodzięńczych lat przygotowywałem się do napisania tej powieści, od kiedy zacząłem gromadzić literaturę legionową, od kiedy życie polskie zaczęło mi się komponować wespół z pierwiastkami niemieckimi.

Mam też w szufladzie tom opowiadań *Śnij grzeszny, upadły*. Tytułowe opowiadanie zamieścił kwartalnik „Opcje” (nr 2/1994). Pracuję nad szkicem historycznoliterackim *Józef Piłsudski i Zagłębie Dąbrowskie*.

Jeśli braknie nam odporności i rozumu, by obronić się przed amerykańizmem, nowy obraz życia objawi się już w następnym pokoleniu, kiedy w całej pełni uzewnętrznia się

i zaczną funkcjonować nowe, kapitalistyczne systemy aksjologiczne, gdy jako wiodąca forma życia pojawi się wreszcie efekt elitarnego kształcenia oraz elitarna kultura polskich warstw posiadających. Nie chcę się rozwodzić nad tym problemem, gdyż mnie już wtedy nie będzie na świecie. Pragnę coś jednak odnieść do literatury polskiej, która odrodzi się dopiero wtedy, gdy zacznie wzywać do buntu. Taka bowiem nauka płynie z duchowych doświadczeń myślącego świata.

**J.G.:** Dziękuję za rozmowę, szczególnie za jej prorocze akcenty.

**J.P.:** Proszę, proszę.



# **O twórczości Jana Pierzchały**



Włodzimierz Wójcik

## W pejzażach Jana Pierzchały

### Węgiel i pióro

Pisarstwo Jana Pierzchały towarzyszy nam już od kilkudziesięciu lat. Czerpie ono życiodajne soki właściwie z dwu korzeni. Mamy na uwadze – po pierwsze – jego ludowy rodowód, a więc cały system aksjologiczny właściwy ludziom żyjącym z pracy rąk czy umysłu. W tym systemie wartości mieści się pragmatyzm codzienności, ale i marzenie o potrzebie przekroczenia owej granicy szarej powszedniości poprzez rozwijanie własnych talentów i uzdolnień drogą zdobywania wiedzy i wykształcenia. Nic dziwnego, że przyszły twórca *Legendy Zagłębia* i *Krzaku gorejącego* urodzony w 1921 roku w Jaworznie w rodzinie robotniczej, w pobliskim Chrzanowie ukończył gimnazjum, by następnie kontynuować naukę w sosnowieckim liceum pedagogicznym. Niestety, pokoleniu urodzonemu na progu Niepodległej Polski (Borowski, Gajcy, Baczyński) nie była dana zbyt szczęśliwa młodość. Zapaleni gimnazjaliści – zarówno ci warszawscy, jak i zagłębiowscy – po wrześnieowej hitlerowskiej agresji na Polskę musieli dobrze pochować w skrytkach wspaniałe dzieła filozoficzne i literackie, by – miast czytać Pascala czy Rimbauda — podjąć się całkiem prozaicznej roboty zarobkowej. Pierzchała przez cztery lata pracował na dole w kopalni „Kościuszko”, wówczas nazywającej się „Rudolf Grube”. Splot myśli, odczuć, dramatów i dylematów z tego czasu wyraził później w jednym z wierszy drukowanych w 1948 roku:

Dales mi Boze zywot kruchy  
i dales zamyślenie trudne.  
Kazales w smutku stroic lutnię  
na śpiew wesoły i drobniutki.

Kazales wiatrom mówić sprzeciw  
i ległeś na splekanej ziemi.  
a tu się zeżlił czas i zwrześnił  
i otumanił nas i przebił.

I dales nam od ptaków więcej:  
gdy jak gałęzią chwiales domem;  
urośły hymny, kurz i świece,  
lecz ocalenie stało strome.

Gdy umrzeć dasz to nie na skale,  
ale mię połóż w błyskawice  
i takiej mowy w usta nalej,  
abym do Ciebie nie szedł z niczym.

Widać tedy, że czas, który się „zwrześnił” (jako podobieństwo do formy „zeźlił”) istotnie spowodował konieczność zawieszenia „lutni” na kołku – przynajmniej na pewien czas. Pomijając warunki okupacyjne — niosące terror, niepewność jutra, wielorakie zagrożenia psychiczne – praca pod ziemią była dla młodego Pierzchały wcale cennym doświadczeniem życiowym. Zrozumie to każdy, kto żywot górniczy zna nie tylko przez oglądanie uroczystych pochodów z okazji Barbórki. Wydobywając na dole węgiel, sięga się do minionych epok geologicznych; myślami, całym jestestwem obcuje się z twórcyem formowanym przez miliony lat. Wystarczy nieco wyobraźni, aby znaleźć analogię pomiędzy pracą górniczą a wysiłkiem człowieka parającego się literaturą. Pracując w słowie – interpretując czy też pisząc utwory literackie – sięga się do korzeni tradycji, idzie się także w głębinę czasu minionego. Rozumiał to doskonale Kazimierz Wyka, ogłaszając w druku cudowny esej pod znamennym tytułem *Węgiel mojego zawodu*. Wyjaśniał:

Jestem historykiem literatury. Dla człowieka taką uprawiającego profesję tradycja jest tym samym, czym węgiel dla górnika. Jest mianowicie tym pokładem – w pierwszym odruchu chciałem napisać bardziej podniośle: tym żywiołem – w którym z natury swojego zawodu grzebie historyk literatury, fedruje górnik. Bez istnienia i funkcjonowania tradycji wystarczyłyby same biblioteki i bibliotekarze jako ich stróże, zbędne byłyby działania uprawiane przez historyka literatury. To on przechowywany na półkach bibliotecznych węgiel przeszłości, pod ciśnieniem innych epok, wytworzony, przemienia lub innym pomaga przemienić na opał dnia bieżącego.

## Na Dolnym i Górnym Śląsku

Drugim ważnym elementem fundującym osobowość Pierzchały było jego polonistyczne wykształcenie, które dało mu sposobne narzędzia do uprawiania pięknej, a przecież wcale niełatwej sztuki słowa. Debiutował w 1945 roku wierszami emitowanymi w Katowickim Radio. Był jeszcze uczniem liceum pedagogicznego w Chorzowie, które ukończył w 1946. W tymże roku podjął studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Tu w 1949 uzyskał tytuł zawodowy magistra polonistyki jako podopieczny Profesora Tadeusza Mikulskiego, uczonego opromienionego prawdziwą legendą. Wydaje się, że trafił szczęśliwie. Dostał się bowiem do ciekawego ośrodka, który po wojnie zaczął się bardzo dynamicznie rozwijać głównie za sprawą ludzi przybyłych do zrujnowanego miasta z dawnej Polski południowo-wschodniej – przede wszystkim jednak ze Lwowa. Nie trzeba nikomu przypominać tego, jaka to była kadra humanistyczna. Po prostu przednia. Wspaniała. Można rzec, że tam nad Odrą młody Pierzchała na swój sposób się zadomowił. Przynajmniej na pewien czas. Brał żywy udział w formowaniu się polskiego życia na odzyskanym po wiekach Dolnym Śląsku. Oto w latach 1947-1949 był sekretarzem redakcji „Zeszytów Wrocławskich”, periodyku, który miał znaczenie ponadregionalne, ogólnopolskie. W latach 1949-1953 był dyrektorem programowym Rozgłośni Wrocławskiej PR. To za jego sprawą i za sprawą jego współpracowników, polska kultura i literatura poprzez fale eteru trafiała do ludzi, którzy ziemię zachodnie

wypełniali Polską i polskością. Nic dziwnego, że w 1949 otrzymał nagrodę literacką miasta Wrocławia. O najwcześniejszych doznaniach płynących z uniwersyteckiego miasta pisał w 1945:

Wrocław zyskiwałem dla siebie, jak wszyscy zresztą w tym czasie, z trudem i dlatego wiem, że dobiegający końca mój okres uniwersytecki nic mi tu prócz studiów nie zakończy. Chorzowski horyzont i nadodrzańskie łęgi – to ta sama ziemia. Śląsk jest wszędzie taki sam. W Brzezince czy na Oporowie pod Wrocławiem; ale nad Odrą prócz miłości do ziemi doszedł jeszcze obowiązek.

Pobyt w środowisku wrocławskim był dla Pierzchały bardzo ważny. Tu przecież rozpoczęła się w szerszym wymiarze jego twórczość pisarska. Warto zwrócić uwagę na notę redakcyjną Arkusza Śląskiego nr 10, który zawiera jego *Wiersze*:



Arkusz poetycki Jana Pierzchały, młodego wrocławskiego poety, jest debiutem książkowym autora. W ramach Arkusza Śląskiego jest to trzeci po Aleksandrze Widerze i Władysławie Szkaradkównie debiut. Wydawnictwo Arkusz Śląski stanowić ma antologię współczesnej poezji śląskiej, toteż w doborze autorów nie ograniczyliśmy się jedynie do środowiska górnośląskiego, sięgając także do autorów dolnośląskich, jak do Wojciecha Żukrowskiego i, z najmłodszych, Jana Pierzchały.

Pisarz bezustannie pamięta ów szczególny klimat życia duchowego Wrocławia lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych, skoro w wywiadzie udzielonym Józefowi Górdziałkowi („Opcje” 1994, nr 4) mówił z niejakim wzruszeniem:

Z wielkim sentymentem wspominam literacki Wrocław, gdzie w 1948 roku zostałem członkiem ZLP. Dużo mi dały przyjaźnie i domy: Anny Kowalskiej w Karłowicach i profesora Tadeusza Mikulskiego w Oporowie. U Anny Kowalskiej poznałem Marię Dąbrowską; od 1947 roku, latem bywała we Wrocławiu z żyjącym jeszcze wtedy Stanisławem Stempowskim, autorem „Pamiętników” wydanych w Ossolineum w 1953 roku, w rok po jego śmierci. Mój krąg przyjaciół we Wrocławiu to: Wojciech Żukrowski, Tadeusz Zeleny, Tadeusz Urgacz, Tadeusz Lutowniewski, Romuald Cubaj, Jaku Sonszajn.

Jak widać było to środowisko pobudzające i inspirujące. Ludzie doborowi. Dość wspomnieć, że po latach Pierzchała napisał cenny esej *Rok 1863 w Zaplebiu w twórczości Marii Dąbrowskiej*.

Od 1954 roku zmienił się pejzaż życia i pracy Jana Pierzchały. Do 1956 był redaktorem i kierownikiem działu społecznego Wydawnictwa „Śląsk” w Katowicach, placówki której znaczenie trudno przecenić. Nowy zasób doświadczeń przyniósł mu pobyt (1956-1959)

na placówce w Berlinie Wschodnim w charakterze attache kulturalnego ambasady polskiej w NRD. Misja owa zaowocowała twórczo wydanym przez pisarza zbiorem opowiadań o tematyce współczesnej. Rok 1962 przyniósł mu nagrodę województwa katowickiego. Znaczony był również podjęciem przez niego ważnej funkcji zastępcy redaktora naczelnego katowickiego dwutygodnika „Poglądy” (1962-1981). Ten okres także wiązał się z codzienną współpracą z Wilhelmem Szewczykiem, pisarzem i działaczem, który wszedł do legendy naszego regionu. Współpraca ta przerodziła się w przyjaźń niosącą jednak pewnego rodzaju dylematy. Praca w Katowicach znaczona była też jego bliskimi kontaktami z innymi ludźmi pióra w tym regionie urodzonymi bądź tu zakorzenionymi. Pierzchała brał tedy udział w rozwoju prozy narracyjnej katowickiego środowiska literackiego, którego reprezentantami byli: wymieniony już Szewczyk, Gustaw Morcinek, Anzelm Gorywoda, Jan Brzoza, Andrzej Wydrzyński, Jan Baranowicz, Aleksander Baumgarten, Stanisław Broszkiewicz, nieco później Leon Wantuła, Stanisław Horak, Władysław Bochenek, wreszcie Feliks Netz i inni. A jest ich spora lista. O tych sprawach wypowiadał się zresztą piszący te słowa w publikacji: *Rozwój i osiągnięcia prozy narracyjnej w katowickim środowisku literackim* (Katowice 1987). Pierzchała od swoich znajomych i przyjaciół otrzymywał publikacje z pięknymi i wzruszającymi dedykacjami. Będąc człowiekiem o mentalności uniwersyteckiej te cenne zbiory – wraz z tomikami wierszy przyjaciół-poetów tej miary, co Tadeusz Kijonka — przekazał Zakładowi Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w przeświadczeniu, że będą dobrze służyły polonistycznemu środowisku regionu i całej Polski. Dodać należy, że wcale się nie pomylił. Wielu magistrantów podejmuje tematy związane z twórczością ludzi pióra urodzonych na Śląsku czy w Zagłębiu Dąbrowskim bądź dotyczące problematyki tego regionu.<sup>1</sup> To wiele znaczy...

## Proza polskiego losu

Pierzchała jest typowym prozaikiem, choć wystąpił początkowo jako poeta (*Wiersze. Arkusz poetycki*. Katowice 1948. Wydawnictwo Związku Zawodowego Literatów Polskich). Warto zauważyć, że jego wiersze były bardzo dobrze przyjęte przez krytyków i ówczesnych eseistów tej miary, co Zdzisław Hierowski, Tadeusz Mikulski oraz Jerzy Ziomek. Jak wielu najwybitniejszych (Kaden, Berent) co parę lat – nie pędząc na łeb, na szyję – wydaje tom prozatorski: zbiór opowiadań czy powieść, ewentualnie interesujący esej. Zaczyna powieścią *Dziewczyzna* opublikowaną w roku 1952. Jeśli się ma dobrą pamięć, a taką pamięć każdy krytyk literacki, czy historyk literatury mieć powinien, to się doskonale wie, co w owym czasie pokazywało się na półkach księgarskich. Pierzchała włączył się wówczas w nurt prozy, która miała pokazać zaangażowanie młodego pokolenia w budowę nowej Polski. Potem przyszedł temat doli robotnika i bezrobotnych w międzywojennej Polsce (*Noce bez światła. Powieść*. 1954, 1965). Pojawiły się radości i dylematy związane z faktem wyzwolenia

<sup>1</sup> Prowadzone są prace badawcze (Zob. *Słownik Pisarzy i badacze literatury w Zagłębiu Dąbrowskim, antologia Zagłębie poetów, czy też pokonferencyjny tom Literackie Zagłębie*).

Zagłębia (*Rozstanie i powrót. Powieść* 1957), refleksje nad reminiscencjami hitleryzmu w Niemczech (*Antykwariat przy ulicy Barbarossy. Opowiadania*. 1962, 1970; 1965 adaptacja sceniczna) oraz opowieść biograficzna Anastazy Kowalczyk (1962). Temat życia środowiska górniczego podjął Pierzchała w sposób niekonwencjonalny i bardzo ludzki w powieści *Dzień z nocą na trzy podzielony* (1964, 1965 ekranizacja pod tytułem *Gorąca linia*).

Dużym osiągnięciem w dorobku prozatorskim Pierzchały jest powieść *Krzak gorejący* (1972, 1974; Biblioteka Literatury XXX-lecia, 1979, 1987). Za tę powieść w roku 1973 otrzymał drugą nagrodę ministra kultury i sztuki. Utwór został żywo przyjęty przez czytelników i krytykę literacką. Dokonując przeglądu dorobku polskiej prozy współczesnej Michał Sprusiński w „Roczniku Literackim 1972” (s. 77) pisał:

Świadome życie Rafała Naziemca, bohatera o proletariackim rodowodzie, rozpoczyna wybuch pierwszej wojny. Doskonałe obrazy tułaczki między frontami, walki w coraz to innych szeregach (rosyjskich, austriackich, legionowych) zapowiadają więcej, niż spełnia powieść. Pierzchała zbytnio lapidaryzuje dalsze (po roku 1919) dzieje Naziemca, stąd jego przemiana, więzienia, ocalenie i działania polityczne nie przekonywają. Niemniej, jest to najlepsza powieść zagłębiowskiego pisarza, a obrazy wojny w ich spotęgowanym dramatyzmie przywodzą na pamięć wojenną prozę Kodów, a nie (co sugerowano) prozę Szelburg-Zarębiny. Szkoda, że temperament pisarski i obawa przed wielomównością świadectwa skłoniły Pierzchałę do nadmiernej lapidarności. Ponowne wydanie *Krzaku* stworzy okazję do pełniejszej wypowiedzi i do tego zachęcam autora.

Helena Zaworska („Twórczość” 1973, nr 1, s. 115-117) – jak się wydaje – zrozumiała cały sens i głębię prozy Pierzchały. Wyszła od stwierdzenia, bardzo istotnego, że autor:

[...] nie napisał realistycznej, epickiej sagi o doświadczeniach pokolenia, które przeżyło w dwudziestowiecznej Polsce dwie wojny światowe, różne okupacje i różne więzienia [...] Pierzchała stworzył swoistą legendę polskiego losu, legendę nieco dziwną: i przewrotną, bo jednocześnie hagiograficzną i prześmiewczą, patetyczną i groteskową, wypełnioną współczesnymi realiami a zarazem wierną najstarszym wzorom literackim. [...] Pierzchała wie doskonale, że nie czas, nie pora na pisanie legend jednolitych w wyborze bohatera i tonacji moralnej – mężczyźni rycerze i szlachetni bojownicy za sprawę dawno poginęli w minionych wiekach (z dziewiętnastym wiekiem włącznie), dzisiejsi męczennicy zbyt często zmieniają się w jutrzejszych prześladowców (i odwrotnie), święci zbyt łatwo okazują się łotrami [...].

Wszyscy krytycy (Wojciech Żukrowski, Piotr Kuncewicz, Feliks Netz i inni) zgodnie orzekli, że *Krzak gorejący* jest najlepszą powieścią Pierzchały. Otwiera ona przed pisarzem nowe perspektywy twórcze.

Dalsza twórczość prozatorska Pierzchały znaczone była opowiadaniem *Przeczekaj deszcz* (1975) oraz powieścią *Jak krótkie lato* (1980, 1985). W tych utworach i następnych był Pierzchała wyraźnie wrażliwy na dramaty ludzkie. W powieści *Opasani ciemnością* (1983) przedstawia w sposób przekonujący proces przeobrażania się szkolnej przyjaźni młodych ludzi w śmiertelną nienawiść wieku dojrzałego – za sprawą przyjętych przeciwstawnych poglądów politycznych i ideologii. Te sprawy zawsze go zastanawiały i bolały, były ciągłym powodem twórczego niepokoju.

## W kręgu zagłębiowskiej legendy

W przytaczanym już wyżej wspomnieniu Pierzchała wyznał, iż miał świadomość tego, że urodził się na swojego rodzaju pograniczu. To dawało mu możliwość dokonywania wyborów. Pisał:

Kopalnia Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia Węglowego, w której robotniczy żywot spędza mój ojciec, zasłoniła mi już od dzieciństwa wieże Mariackiego kościoła. Na wschód nie było po co chodzić. Za Przemszą były kopalnie. Pozostał mi więc Śląsk.

Jak widać, był to najpierw Śląsk Górny, potem – głównie za sprawą studiów oraz pracy w Polskim Radio – Śląsk Dolny. Ostatecznie twórca osiadł na stałe w Sosnowcu, a więc w Zagłębiu Dąbrowskim. Nie oznaczało to wcale zamknięcia się w ciasnym regionalizmie. Taka postawa była i jest mu całkowicie obca. Pierzchała w swoim piarstwie podejmuje tematy i problemy ogólnopolskie i uniwersalistyczne, ale konkretne tworzywo bierze z realiów, jakich mu dostarcza jego (idąc za formułą poetycką Broniewskiego) „najbliższa Ojczyzna” – zagłębiowska ziemia. Bezustannie odzywa się w nim polonista, historyk literatury i kultury narodowej. Przez wiele lat zbierał interesujące materiały, aby stworzyć literacki portret tej ziemi. Powstała rzecz fascynująca — żywo napisany obszerny esej *Legenda Zagłębia* (Katowice 1962, 1971).

Książka ta — zwłaszcza jej drugie wydanie — jest rzetelnym, bogato udokumentowanym kompendium wiedzy o ziemi leżącej nad Białą i Czarną Przemszą i Brynicą, nad którą unosi się Góra Doroty, oraz o ludziach tej ziemi i ich pracach, dokonaniach, wreszcie ich historii. Z jej barwnych kart wyłaniają się ludzie, którzy pracą w formującym się przemyśle oraz na roli zdobywają środki do życia. Autor wskazuje także na to, że dla społeczności zagłębiowskiej tyle ważny jest chleb powszedni, co dążenie do wolności narodowej i społecznej. Stąd tyle interesującego materiału dotyczącego ruchu robotniczego oraz związanego z powstaniem śląskimi i wieloletnim ruchem irredentystycznym idącym z ducha polskich socjalistów oraz Józefa Piłsudskiego jako redaktora „Robotnika”.

*Legenda Zagłębia* w sposób wyjątkowo barwny dokumentuje i ukazuje oświatowe i kulturowe ambicje ludzi regionu, którzy byli jednoznacznie otwarci na wszystko to, co w przeszłości działo się pod trzema zaborami, a w międzywojniu w całej Niepodległej Rzeczypospolitej. Przedstawia też tę niepodważalną prawdę, że od końca XIX wieku Zagłębie było przedmiotem zainteresowań ludzi pióra – tej miary, co Stefan Żeromski, Artur Gruszecki, Andrzej Niemojewski, potem Gabriela Zapolska, Maria Dąbrowska, Juliusz Kaden-Bandrowski, Ferdynand Goetel, Lech Piwowar, Władysław Sebyła, Leon Kruczkowski i wielu innych. Wydało ono też sporo ludzi piszących.

Swoistym dopełnieniem *Legendy Zagłębia* są dwie dalsze inicjatywy pisarskie i edytorskie Pierzchały, który ma ambicje odpomnienia ludzi pióra, twórców i ludzi czynu z końca XIX wieku (Wybór i wstęp do: Andrzej Niemojewski *Polonia irredenta*. Wrocław 1972) oraz międzywojnia i okupacji (Wybór i wstęp do: Wacław Nowina-Stacherski *Non omnis moriar*. Wrocław 1974). Nie waha się wkroczyć w wiek XVIII w poszukiwaniu spraw i ciekawych, a nawet fascynujących osobowości (*Prawdziwy zabytek dawniejszego wieku. O Hipolicie Kownackim ze Sławkowa*.

*Biografia*. Katowice 1988). Pierzchała, wieloletni prezes Katowickiego Oddziału Związku Literatów Polskich, któremu wielu młodych zawdzięcza opiekę i start literacki, jest bezustannie animatorem poczynań kulturalnych w środowisku zagłębiowskim. Kilka lat temu wydał drugą książkę o wiele mówiącym tytule *Z ciemni podskórnej. Szkice o pisarzach współczesnych urodzonych w Zagłębiu Dąbrowskim* (Katowice 1992). Zawarł w niej eseje o życiu i twórczości Stanisława Krawczyka, Tadeusza Urgacza i Jana Krzysztofczyka. W *Posłowie* wyznał między innymi:

Pisarz, choćby i tego pragnął, nie zaprze się miejsca, w którym nauczył się mówić, gdzie ukształtowały jego wrażliwość panujące zasady moralne i pojęcia: piękna, prawdy, dobra, zła, gdzie do potrzeby i zdolności marzenia, do lotów wyobraźni, przyczęło go mitotwórstwo rodzinne, lub szerzej, lokalne, plemienne.

Książka, czy też książeczka, którą wyżej przywołaaliśmy, powstała na warsztacie pisarskim Pierzchały niejako w wyniku jego gospodarskiej troski o skupienie, zintegrowanie ludzi pióra urodzonych w Zagłębiu lub w tę ziemię wrośniętych. Nie chodzi o regionalny separatyzm, ale o skupienie sił twórczych dla wzbogacenia wspólnoty, w tym przypadku kultury narodowej. Pisał:

W dniach 23-24 października 1986 roku odbyło się w Sosnowcu pierwsze ogólnopolskie spotkanie pisarzy związanych z Zagłębiem Dąbrowskim, któremu patronował Urząd Miejski w Sosnowcu. Powołano na nim Klub Pisarzy Zagłębia Dąbrowskiego, do którego należą: Monika Warneńska, Andrzej Konieczny, Janusz Koniusz, Zdzisław Łączkowski, Jan Pierzchała, Jerzy Przeździecki, Bogdan Szczygieł (zmarł 1 XII 1986), Tadeusz Urgacz, Jerzy Waksmański, Włodzimierz Wójcik, Jan Zieliński. Dzisiaj dopiero do tego rejestru wpisujemy: Stanisława Krawczyka i Jana Krzysztofczyka. Próżno też dociekać czyje to zaniedbanie?

Dodać należy, że członkowie Klubu jednomyślnie wybrali na swojego prezesa Jana Pierzchałę. W latach następnych odbyły się kolejne zjazdy, podczas których wyżej wymienieni przedstawiali swój dorobek literacki w szkołach, bibliotekach i klubach regionu.

Od 1966 Jan Pierzchała jest kierownikiem literackim Teatru Zagłębia w Sosnowcu, teatru, który w istocie jest nieco starszy niż samo miasto. Na wołowej skórze by nie spał inicjatyw, które z tego tytułu podejmował przez te wszystkie – raz złe, raz dobre – lata.

Ciągle żywą sprawą dla Pierzchały jest Emil Zegadłowicz. Znany w międzywojniu poeta, dramaturg, powieściopisarz, translator, zbieracz dzieł plastycznych, związany z Katowicami (Wykładał w Konserwatorium Muzycznym historię sztuki), w ciężki czas okupacji znalazł się w Sosnowcu, gdzie były aparaturowe możliwości leczenia raka gardła. Tu tworzył do ostatnich dni. Tu zmarł 24 lutego 1941 roku i został pochowany na cmentarzu w Małobądzu. To właśnie Jan Pierzchała przez dziesięciolecia robił wszystko, aby autor *Powsinogów beskidzkich* i *Lampki oliwnej* nie został zapomniany. Mamy między innymi na myśli renowację pomnika poety, czy starania o ufundowanie w roku 1988 – w stulecie urodzin Zegadłowicza – tablicy pamiątkowej na budynku przy ulicy Mariackiej 4. 23 lutego 1996 roku podczas uroczystości związanych z 55 rocznicą zgonu pisarza, zorganizowanych przez Fundację „CZARTAK” w Gorzeniu Górnym oraz władze miasta Sosnowiec, znalazł się czas na przypomnienie rzetelnej, wymiernej zasługi Pierzchały. Poproszony o wypowiedź na temat własnych inicjatyw, mówił nieśmiało, zażenowany, jakby chodziło o całkiem normalne sprawy. Dodać należy,

że ostatnio złożył do druku wyjątkowo ciekawy, obszerny esej pod tytułem *Widmo nad umysłowością polską? O religijności Emila Zegadłowicza*.

## Refleksje końcowe

Na koniec niniejszych refleksji warto przytoczyć wiersz – uformowany z sześciu dystychów – z cyklu *Wyznania*, którym pisarz kończył swój pierwszy i ostatni tomik poetycki:

Chwałę strofę zwyczajną – szeptanie na wargach  
o rzeczy co nie zszarpie nic i nie potarga.

Chwałę jadło na misce. Pochwalam też śpiew  
o panach co cygara palili w stolicy.

Chwałę radość za wierszem i głos który syci.  
Chwałę drogę w topolach z Chorzowa do Lipin.

Pochwalam ryk kopalni i mowę o świecie.  
Chwałę szum robotniczy, który na nas idzie.

Pochwalam powrót z wojny o dobrej godzinie  
i chwałę dzień dzisiejszy i przed nim się chyłę.

W tym ciekawym tekście poetyckim widać swoiste wyznanie wiary człowieka, który swoją drogę twórczą widzi w zaledwie naszkicowanym planie życia twórczego. Warto zauważyć, że autor tych wersów miał zaledwie dwadzieścia kilka lat. Jak każdy młody człowiek, obdarzony talentem, wyobraźnią i wyjątkową wrażliwością, mierzył wysoko, co nie jest w żadnej mierze naganne. Jest to prawo wieku. Ważna jest jednak odpowiedź na pytanie, jak się mają dokonania pisarskie Jana Pierzchały do owych młodzieńczych deklaracji poetyckich i marzeń. W swoim lirycznym *credo* miał na uwadze zbiorowość ludzką, z której wyrastał, ale także świadomość dylematów egzystencjalnych jednostki, istoty jednej i niepowtarzalnej w kosmicznej przestrzeni. Nie będzie przesadą jednoznaczne stwierdzenie, że te wszystkie kwestie, w trudzie i rozterkach, w nadziei i zwątpieniach, starał się podejmować uprawiając trudną, lecz piękną sztukę słowa jako znakomity prozaik. Wydaje się przeto, że ten polski pisarz – widzący bezustannie Polskę i cały świat – czerpiący inspiracje z cennego źródła zagłębiowsko-śląskich realiów życiowych, powinien czuć się człowiekiem na pewien sposób szczęśliwym. Mówimy „na pewien sposób”, ponieważ jakież to mędrzec dokładnie, do końca wie, co jest naprawdę istotą szczęścia...

Przedruk za: *Śląsk inaczej. Materiały I sesji śląskoznawczej Pracowników Naukowych i Studentów Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego*. Katowice, 25 kwietnia 1996. Pod red. T. Głogowskiego i M. Kisiela. Katowice 1997.

Justyna Cembrowska

## Dylematy i dychotomie Głosa do powieści Jana Pierzchały *Krzak gorejący*

*Krzak gorejący* został wydany w 1972 roku. Zasadnicza część fabuły powieści, skoncentrowana na biografii głównego bohatera, obejmuje wydarzenia rozgrywające się między ostatnim dniem sierpnia 1914 roku a rokiem 1966 lub 1967 (data końcowa nie została w powieści jednoznacznie określona). W tym czasie, zwłaszcza w okresie od letniej nocy roku 1914 po ostatnie lata II wojny światowej, za sprawą zrzędzenia losu i niezwykłych zbiegów okoliczności Rafał Naziemiec trafia wszędzie tam, dokąd Polak trafić powinien: do szlacheckiego dworku, w szeregi Pierwszej Brygady, w szeregi protesujących robotników, wreszcie – do więzienia za działalność komunistyczną. Postacie, które spotyka na swej drodze Naziemiec, są historycznie i literacko obciążone – reprezentują określone postawy światopoglądowe, noszą ślady literackich pierwowzorów (księżce patronują zwłaszcza *Popioły* Stefana Żeromskiego, przywoływane tu bezpośrednio, ale też za sprawą aluzji, której przykładem jest tytułowy „krzak gorejący” oraz imię głównego bohatera). Sytuując Naziemca wśród ludzi oraz spraw historycznie i ideologicznie nieobojętnych, ale też sięgając po rozwiązania, jakie podpowiada literacka tradycja, tworzy Pierzchała postać z gruntu polską, tj. postać na miarę typowo polskich, określonych przez romantyzm wyobrażeń o wzajemnych relacjach między światem, historią a jednostką.

Na schematyzm oraz związek powieści z polską mitologią narodową zwrócili uwagę recenzenci *Krzaka gorejącego*. Andrzej Hamerliński, wskazując na wykorzystywaną w powieści – anachroniczną z punktu widzenia ówczesnego czytelnika – formułę osiemnastowiecznej powiastki filozoficznej, pisze o „bohaterze sumarycznym”, którego umowność ma poświadczać tak epizodyczny kształt biografii, jak i samo znaczące nazwisko „Naziemiec”<sup>1</sup>. Z kolei Helena Zaworska zauważa: „Rafał Naziemiec jest legendarnym uosobieniem losu polskiego w jego wersji patetyczno-komicznej, heroiczno-niesławnej, ofiarnej i pełnej pomyłek”<sup>2</sup>. Brak formalnej czy estetycznej spójności powieści wykorzystuje Zaworska jako argument na to, że zdystansowany wobec polskiego heroizmu Pierzchała zapowiada „racjonalną, nie zmystyfikowaną przez żadne mity umiejętność życia”<sup>3</sup> możliwą do osiągnięcia w przyszłości. Inni recenzenci traktują to natomiast jako wyraźny błąd w sztuce, na przykład w jednym z omówień czytamy: „W nagromadzeniu nieprawdopodobnych nieraz przygód bohatera, który z każdej sytuacji wychodzi obronną ręką, może czytelnik nie dostrzec historiozoficznego jego sensu”<sup>4</sup>. Umieszczanie *Krzaka*

<sup>1</sup> A. Hamerliński: *Losy polskie*. „Tygodnik Kulturalny” 1973, nr 7, s. 4.

<sup>2</sup> H. Zaworska: *Niepocziwy żywot człowieka pocziwego*. „Twórczość” 1973, nr 1, s. 11

<sup>3</sup> Tamże.

<sup>4</sup> B. Rogatko: *Poszukiwania*. „Życie Literackie” 1972, nr 42, s. 10.

*gorejącego* w kontekście wcześniejszych książek pisarza, podejmujących temat klasy robotniczej, nie jest intuicją chybioną. Lewicowe sympatie autora poświadczą biografia głównego bohatera powieści oraz wykorzystywany tu wzorzec narracji utworów Jana Jakuba Rousseau i związana z nim teza o potrzebie moralnego odrodzenia jednostek i społeczeństw, opartego na nowym ładzie społecznym. Z ową tezą koresponduje, jak sądzę, wspomniany przez Zaworską zbawienny (a utopiijny, trzeba przyznać) racjonalizm przyszłości<sup>5</sup>.

W *Krzaku gorejącym* pojawia się kilka porządków narracyjnych, zdecydowanie jednak przeważa tu pierwszoosobowa narracja starca, Rafała Naziemca, wyraźnie, zwłaszcza w początkowych rozdziałach powieści, upozowana na wyznanie-sповідź spod znaku *Wyznań* czy *Marzeń samotnego wędrowca* Rousseau. Anachroniczna wypowiedź Naziemca stwarza wizerunek człowieka skrzywdzonego, skazanego na cierpienie zawsze przychodzące z zewnątrz, słowem, wizerunek człowieka czulego serca narażonego na spotkanie z niegodziwością świata i ludzi. Podobną wizję bohatera kreuje fabuła wyznaczona przez ciąg „przypadków” składających się na biografie Naziemca. Oto znajdujący się na progu dorosłości, nieświadomy życia i historii, 18-letni Rafał, wbrew swej woli zostaje wrzucony w wir świata. Z motywem czulego serca, przywoływanym w wyznaniu starca, korespondują prawa biologii, nieskazona niczym witalność, której świadectwem jest sprężysty krok głodnego młodzieńca wracającego do domu po całym dniu pracy: „Szedłem drogą wzdłuż ceglanych murów huty. Świecił księżyc, podobało mi się niebo. Kiedy to pomyślałem, że mi się podoba niebo, nagle z wysokości skierowałem oczy na moje nogi. – Są to nogi bardzo silne, bardzo długie, może najdłuższe u ludzi mego wieku, których znałem. – Znowu zachciało mi się jeść, szedłem szybciej, żeby nie myśleć o głodzie. Myśli moje trzymały się tylko tego, że mam nogi bardzo silne. Ale pragnienie jedzenia było we mnie coraz większe” (KG, s. 33)<sup>6</sup> i dalej: „Mamiło mnie słodko, iż tylko dla podziwu świata wyrzucam przed siebie moje długie, sprężyste nogi w cajgowych, szarych spodniach” (KG, s. 34).

Podróż Rafała, rozpoczęta z chwilą gdy jako furman zgodzony przez matkę wyrusza z Elżbietą Taniejewą i jej wnuczkami w ślad za cofającym się wojskiem rosyjskim, nigdy się nie kończy. Świat zewnętrzny i historia wkraczają w jego życie przy okazji różnych zdarzeń, a zaangażowanie w nie bohatera wynika ze zwykłego zbiegu okoliczności lub dyktowane jest zdrowym rozsądkiem i chęcią wyjścia cało z opresji, czyli racjami człowieka zachowującego błogą nieświadomość dziejowych misji, tego, który ma dopiero dokonać wyboru. W kreacji Rafała dostrzec można zarówno cechy bohatera powieści łotrzykowskiej<sup>7</sup>, jak i charakterystyczną dla autobiograficznych utworów Rousseau świadomość określaną przez cierpienie<sup>8</sup>, w jej nowej, rzecz jasna, postaci, wzmocnionej ideą socjalistycznego posłannictwa. Rafał długo zachowuje młodzieńczą nieświadomość, jednak wówczas gdy, towarzysząc swemu bratu przemawiającemu do robotników, ginie Amalia Kreda, „szczerą, serdeczną powiernicą” (KG, s. 159) bohatera, Rafał nieoczekiwanie występuje w imieniu władzy ludu, wchodząc w rolę dojrzałego ideologicznie przeciwnika kapitana wojska polskiego, przyjaciela z szeregów Pierwszej Brygady, Edwarda Ocieskiego, człowieka, który wydał rozkaz strzelania do robotników. Podobnie rzecz ma się z bardzo słabo umotywowaną fabularnie, a symbolicznie znaczącą decyzją bohatera, dotyczącą oczekiwania na przybyszów ze Wschodu. Uchodząc przed

<sup>5</sup> H. Zaworska: *Niepocziwy żywot...*

<sup>6</sup> Wszystkie cytaty podaję za: J. Pierzchała: *Krzak gorejący*. Katowice 1987, wprowadzając skrót KG.

<sup>7</sup> Udział konwencji w *Krzaku gorejącym* oraz ich rodzaj uświadamiają już same tytuły poświęconych mu omówień, np.: A. Zygmunt: *Przypadki polskiego siplicissimusa*. „Polityka” 1973, nr 42, s. 9 czy F. Fornalczyk: *Typowy przypadek wyjątkowy*. „Poglądy” 1972, nr 19, s. 19.

<sup>8</sup> Omawianą powieść łączy z *Wyznaniami* czy *Marzeniami samotnego wędrowca* Rousseau temat prześladowania i osamotnienia.

żołnierzami Narodowych Sił Zbrojnych, którzy, chcąc wymierzyć karę Rafałowi jako domniemanemu zabójcy generała Ocieskiego, przypadkowo powodują śmierć ukochanej Rafała, Naści Radwanówny, bohater wyjeżdża z Górek do rodzinnego domu. Gnany jednak poczuciem misji (kiedyś zgodził się przyjąć w swym domu przybyszów ze Wschodu, jak się okazuje – spadochroniarzy radzieckich), by nie narażać się na oskarżenia, wraca do Górek. Zatrudniając się tam jako stróż w tartaku należącym do polsko-niemieckiej firmy, czeka na zapowiadanych przez Irenę Woskowicz przybyszów. Ów stan oczekiwania, potwierdzony w fabule przyjęciem posady stróża, ilustrują omamy słuchowe bohatera, któremu nieustannie wydaje się, jakoby słyszał odgłosy zbliżających się ludzi. W duchu socjalistycznej doktryny można także rozpatrywać zwiastowane przez narratora moralne odrodzenie ludzkości, dla której czasy współczesne bohaterowi mają stanowić antywzór: „Sam uczyniłem wiele, aby ta pamięć trwała (o czasach, w których żyje bohater-narrator – JC), aby ustrzegła od czegoś ludzi wyższej szlachetności, jacy niechybnie przyjdą po nas” (KG, s. 7).

Ideologiczny wymiar *Krzaka gorejącego* nie jest jedynym przedmiotem moich rozważań. Nie bez przyczyny bowiem cytowany wcześniej Bogdan Rogatko formułuje zarzut zmącenia ideologicznej wykładni powieści, spowodowanego brakiem jej spójności formalnej. Zainteresowanie kwestiami ideologicznymi idzie tu w parze z inną cechą twórczości Pierzchały, to znaczy z jego upodobaniem do „demonicznych dramatów”<sup>9</sup> i tropienia ciemnych stron ludzkiej egzystencji. Uwikłanie Pierzchały w ideologię, przy jednoczesnym zainteresowaniu kwestiami metafizycznymi, najlepiej odzwierciedla podjęty w *Krzaku gorejącym* wątek dwóch przyrodnych braci – Rafała Naziemca i Karola Krausego. Przewija się on w całej powieści, szczególnie silnie zaś został wyeksponowany w jej początkowych rozdziałach i *Epilogu*, które stanowią wspólnie kłamrę kompozycyjną utworu.

W powieści przeważa narracja pierwszoosobowa, przy czym wspomnienia głównego bohatera wyraźnie dominują nad pojawiającymi się tutaj fragmentami pamiętnika siostry bohatera – Jadwigi czy fragmentami dziennika legionisty Edwarada Ocieskiego. Nawet występująca w *Epilogu* narracja trzecioosobowa momentami traci swą autonomię na rzecz wypowiedzi głównego bohatera, zbliżając się tym samym do mowy pozornie zależnej.

Rafał Naziemiec snuje opowieść w porządku biograficznym. Punktem wyjścia i dojścia narracji są czasy, na które przypada starość bohatera. Poprzedzający *Epilog* wyimek z pamiętnika siostry, doprowadzający czas powieściowy do roku 1956, nie tylko dopowiada i podsumowuje losy głównych bohaterów opowieści, ale i niejako wyłącza późniejsze wydarzenia z szaleńczego ciągu przyczyn i skutków organizujących nieprawdopodobną biografię bohatera od lata 1914 roku do roku 1946, kiedy to na ławie oskarżonych o działalność na rzecz III Rzeszy zasiadł Karol Krause, a przez pewien czas o współudział w tej działalności był też podejrzany jego brat Rafał Naziemiec. Wydarzenia, w jakich uczestniczy bohater-starzec, wyodrębnione kompozycyjnie, nabierają szczególnego znaczenia.

Do rodzinnego domu wracają po latach przyrodni bracia, „z których jeden został Niemcem, drugi Polakiem”<sup>10</sup>. Powrót ma tu wyraźnie charakter symboliczny – bracia przychodzą z przeszłości, czyli znikąd, nierozpoznani przez innych zamieszkują

<sup>9</sup> Zob. P. Kuncewicz: *Agonia i nadzieja*. T. 4: *Proza polska od 1956 r.* Warszawa 1994, s. 263-265.

<sup>10</sup> Sformułowanie Wojciecha Żukrowskiego (zob. *W głębi zwierciadła*. Warszawa 1973, s. 129) odzwierciedla baśniową motywację zdarzeń omawianej powieści.

w tym samym domu, jeden na górze, drugi na dole, tak jakby u końca swych dni wrócili do mitycznego początku. Bohater-narrator wyznaje: „Dobrze jeszcze pamiętam dzień, kiedy ostatniego sierpnia tysiąc dziewięćset czteremastego roku wyszedłem z domu chłopcem i oto niedawno wróciłem starcem. Tu gdzie przyszedłem na świat nikt mnie nie zna. Należę do świata, który przebrzmiał [...] (KG, s. 8)”. Dalej zaś mówi: „Krótko po śmierci siostry, kiedy jeszcze po domu kręcił się zdun, Karol wrócił po długim życiu spędzonym gdzie indziej. Przyszedł, zda się, zza świata, prowadzony przez psa” (KG, s. 18). Baśniowy, czy nawet – z uwagi na wykluczenie z czasu – mityczny rodowód sceny spotkania braci narzuca myślenie w kategoriach pojednania, naturalne ze względu na wspomniane fabularne powinowactwa sceny, a także politycznie poprawne, jeśli wziąć pod uwagę zmiany w stosunkach polsko-niemieckich, które poprzedziły wydanie *Krzaka gorejącego*. Baśniowy schemat pojednania<sup>11</sup> pozornie nie zostaje dopełniony – naprzeciw siebie stają dwaj wrogowie, a jasne, zdawałoby się, podziały aksjologiczne, uwiarygadniane szczerością wyznania starca, uwypuklają problem winy i odpowiedzialności za wyrządzone zło.

Karol Krause pojawia się w życiu Rafała zawsze jako ten drugi, inny – Niemiec, miłosny rywal, świadek zeznający przeciwko antyrządowym wichrzycielom, do których należał lewicujący Naziemiec, wreszcie niemiecki agent. Pozornie bohaterom odpowiada jednoznaczna kwalifikacja aksjologiczna, równa tej, którą wprowadził Rafał Naziemiec jako bohater-narrator przeważającej części utworu. Wyznanie spod znaku opowieści o „człowieku w całej prawdzie jego natury” przydaje sądom Rafała obiektywności, choć zaufanie, jakim powinna zostać obdarzona jego postać, jest przez Pierzchałę raz po raz kwestionowane. Wraz z podawanym w wątpliwość zaufaniem do głównego bohatera podważone zostaje samo prawo do moralnego osądu.

Rafał Naziemiec to „piękny starzec” (zob. tytuł pierwszego rozdziału powieści). Szczere – w duchu *Wyznań* Rousseau – przyznanie się bohatera do posiadanego kiedyś fizycznego piękna przywodzi na myśl ideę kalokagatii, która wspiera autorytet moralny, jaki skłonni jesteśmy przypisać głównemu bohaterowi. Równocześnie jednak dostojęństwo Naziemca (Rafał to mężczyzna wysoki, a nawet wielki) napawa lękiem, każąc traktować jego piękno jako piękno bezwzględne, wyzwolone z etycznych uzasadnień, takie samo, o jakim mówi Rafał obserwujący niemieckiego owczarka: „Ujrzałem najpierw jego rosnącego owczarka z sierścią czarną, podpalaną jasnobrązowym, w kagańcu, w uprząży psa szkolnego, ażeby wodzić. Czysto, szlachetnie zarysowany łeb, pierś szeroka, silne, umiarkowanej wysokości nogi, łagodnie narysowana linia grzbietu z opadającym nisko ogonem czyniły zeń rzadki okaz bezwzględnego piękna, jakie wzbudza w nas zachwyt nad zwierzęciem, będący odmianą przerażenia” (KG, 26). Formuła szczerzego wyznania, przedstawiającego „człowieka w całej prawdzie jego natury”, połączona z rozpoznaniem modernistycznymi (pierwiastki nietszcheańskie), obraca się przeciwko bohaterowi. Jego autorytet zostaje podany w wątpliwość. Niegasnąca nienawiść do krzywdziciela staje się winą, a szczere wyznanie – oskarżeniem. Jeśli piękno jest znakiem wewnętrznej szlachetności, to jego utrata, do której przynajmniej się Naziemiec, byłaby równoznaczna ze szpetotą wewnętrzną. Tej zdaje się przeczyć podtrzymywany w dalszych rozdziałach powieści wizerunek Rafała-męczennika, ale i on został wykreowany tak, by wzbudzać ambiwalentne uczucia.

<sup>11</sup> Charakterystyczna dla baśni scena spotkania braci po latach rozłąki oznaczać ma scalenie dwóch stron ludzkiej natury, niezbędną dla prawidłowego rozwoju akceptację własnej wewnętrznej złożoności, a tym samym przygotowanie na spotkanie z różnorodnością świata. Na ten temat zob. B. Bettelheim: *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*. Przełożyła, objaśnieniami i postłowie opatrzyła D. Danek. Warszawa 1996 (zwłaszcza s. 152-160).

Rafał. upozowany także na starotestamentowego Boga, Kaina i Abła, najczęściej przypomina wydanego na śmierć Chrystusa lub męczennika: „Zabijali mnie w życiu bagnietem, cynizmem lub jawnym głupstwem. I ono zabić może. Więc kiedy raz jeszcze do umierania przyjdzie, nie będzie mi to pierwszyna” (KG, s. 8), „Poili mnie ziołami. Młody klęczał na tej nodze zdrowej, lewą, sztywną, rzuciwszy do tyłu. Podnosił mi głowę, zaś tamten starszy, siwy wlewał mi do ust wywar cierpki, gorzki jak żółć. Spytałem ich nawet: – Co robią, czy mnie żółcią poją, czy co?” (KG, s. 83), „Deptali po mnie, targali mój mundur żołnierski, bili mnie zemdlonego” (KG, s. 113), „Więzień Rafał Naziemiec targnął się znowu na swoje życie. [...] Nie uwierzyli mu nawet wtedy” (KG, s. 184). Nieznośna konsekwencja, z jaką bohater wchodzi w rolę prześladowanego, zamiast przydawać Rafałowi czci, każe traktować go z dystansem jako postać tyleż śmieszną, co niezrównoważoną, na dodatek szaleństwem obciążoną genetycznie. Jak się bowiem dowiadujemy, podobne zachowanie zdradzała matka Rafała (szukająca rekompensaty ziemskiej, nieziszczonej zapewne miłości w kulcie św. Wawrzyńca), siostra Jadwiga (doznająca mistycznych wizji), a pewnie i stale uśmiechnięty ojciec (przyjmował on życie z ufnością godną świętego, niezachwianą nawet wtedy, gdy żona urodziła mu Karola, który, jako że przyszedł na świat po powrocie Anakleta Naziemca z dwuletniego pobytu w Niemczech, nie mógł być jego synem). Faktyczność Rafałowego powołania podważa nawet siostra bohatera. W jej zapiskach (noszących tytuł *Sławny żywot Rafała Naziemca*) znajduje się i taki fragment: „[...] coś sobie jednak przybrał do głowy, uwierzył w niezwykłość swego powołania. Wszystko przez ten ponury wypadek w dzieciństwie oraz inne zdarzenia późniejsze, zdające się utwierdzać w nim mniemanie, iż był kiedyś niczym wybraniec ofiarowany przez los, jak ten Izaak dawny, że przez to jest policzony między synami straszliwej krzywdy, mieszkającej na świecie. Odtąd brat mój jedyny, ukochany, szukał sobie podobnych, z nimi tylko obcował” (KG, s. 21).

Szaleństwo włącza bohatera w porządek *sacrum*. Niejednoznaczna postać Rafała odzwierciedla wewnętrzne zróżnicowanie bóstwa, które prócz wartości tradycyjnie mu przypisywanej zawsze przywołuje również wartość przeciwstawną<sup>12</sup>. W takiej kreacji bohatera wyraźnie zaznaczają się wpływy wyobraźni młodopolskiej, zafascynowanej pierwiastkiem diabolicznym, traktowanym jako nieodłączny element ludzkiej natury<sup>13</sup>. Rafał napiętnowany to przecież także uosobienie destrukcyjnej siły, której ulec musi każdy, kto znajdzie się w polu jej działania. W przeciwieństwie do *Fausta* bohater *Krzaku gorejącego* będąc dalekim od zamiaru czynienia zła, staje się jego przyczyną. Większość napotkanych przez niego ludzi ginie, najczęściej przypadkowo, jakby na skutek złego zrzędzenia losu, który zapowiada pojawienie się głównego bohatera.

Dwoistość postaci Rafała, odzwierciedlająca podwójność ludzkiej natury, odślania główną zasadę rządzącą mechanizmem konstruowania znaczeń w *Krzaku gorejącym*. Charakterystyczne dla tej powieści myślenie kategoriami dychotomicznymi pozwala mówić o niej jako o tekście mitogennym i – co za tym idzie – rozpatrywać opozycje w niej przedstawione jako przejawy pierwotnie niezróżnicowanych jakości<sup>14</sup>.

<sup>12</sup> Pisze o tym między innymi Roger Caillois w książce *Żywioł i ład*. Wyboru dokonał A. Osęka, przełożyła A. Tatariewicz, przedmową opatrzył M. Porębowicz. Warszawa 1973, s. 65-69.

<sup>13</sup> Na temat wyobraźni młodopolskiej zob. m.in.: M. Podraza-Kwiatkowska: *Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski*. Kraków 1975; Tejze: *Somnabulicy – dekadenci – herosi. Studia i eseje o literaturze Młodej Polski*. Kraków-Wrocław 1985; *Młodopolski świat wyobraźni. Studia i eseje*. Pod red. M. Podrazy-Kwiatkowskiej. Kraków 1977; Także: W. Gutowski: *Mit – eros – sacrum. Sytuacje młodopolskie*. Bydgoszcz 1999, zwłaszcza rozdział *Wyobraźnia religijna czy religia wyobraźni? Dylemat (nie tylko) młodopolski*, s. 113-131.

<sup>14</sup> Związek binarności z logiką mitologiczną to problem omawiany w większości książek poświęconych mitowi. Z bogatej bibliografii tematu należałoby wymienić prace Claude'a Lévi-Straussa, Eleazara Mieleńskiego i Jurija Lotmana.

Przykłady opozycji można by mnożyć, bo do tego typu wyobraźni Pierzchała stale się odwołuje, najistotniejszy jednak wydaje się związek dwóch braci, któremu odpowiada w powieści analogicznie zestawiona para wnuczek Tanjowej. Zarówno wtedy gdy mowa w powieści o braciach, jak i wówczas gdy chodzi o rosyjskie szlachcianki, akcentuje się równocześnie ich odmienność i podobieństwo: „Przyjrzałem się panienkom, czekającym w napięciu mego słowa i zgody. Pierwsza z nich miała włosy jasne, kapelusz niebieski, druga była ciemna w takim samym kapeluszu, żółtym. Choć tak się różniły włosami, bardzo były do siebie podobne” (KG, s. 39); „Proboszcz z Długoszyzna, gdy stanął przed sądem we Wrocławiu w czterdziestym szóstym, dawał do zrozumienia, iż jednak wierzył w spółkę Rafała Naziemca z oskarżonym Karolem Krause. Wspominał, iż go do pewnych wniosków przyprowadziło ich dość duże podobieństwo, z czego się cały sąd śmiał. Nigdzie na świecie nie znajdziesz dwu ludzi tak różnych jak Rafał, brat mój, i tamten” (KG, s. 358)<sup>15</sup>. Efekt podobieństwa postaci zostaje wzmocniony przez powtórzenie sytuacji, w której postaci te uczestniczą. Rafał, zrażony chorobą ukochanej Naści, ucieka z Górek, by po latach tam wrócić. Szukając Anastazji Radwanówny, kieruje się na cmentarz, a w drodze towarzyszy mu pies. Niewidomy Karol wraca do rodzinnego domu „prowadzony przez psa”, wraca niejako na cmentarz, bo spotkanie braci ma miejsce tuż po śmierci ich siostry Jadwigi.

Przypadek dwóch różnych, a jednocześnie tak podobnych braci czy sióstr odsyła do tradycji literackich kreacji sobowótowych, które są odpowiednikiem jednego ambiwalentnego obrazu mitycznego<sup>16</sup>. W kontekście pierwotnej jedności diametralnie różni, a jednocześnie tak podobni bohaterowie tracą odrębność jako ludzie z krwi i kości i stają się wymiennymi znakami. Tym samym aksjologiczne podziały zostają uchylone.

Bracia-starcy mieszkają w jednym domu, na tyle blisko, by doświadczać swojej obecności (Rafał nasłuchuje odgłosów dochodzących z góry, obserwuje Karola zza odsuniętej firanki), a jednocześnie na tyle daleko, by nigdy nie spotkać się twarzą w twarz – dzieli ich ściana, okno, drzwi. Rytm codzienności zakłóca przyjazd młodej kobiety o imieniu Konsolanta, podającej się za córkę Karola. Narrator najczęściej mówi o niej jako o „kobiecie w różowym”. Niewidomy Karol (oślepiiony zresztą przez żonę-Niemkę Izabelę) prosi Rafała o rozstrzygnięcie kwestii fizycznego podobieństwa, jakie powinno łączyć go z córką. Rafał nie odpowiada. Konsolanta odjeżdża. Powieść kończą słowa wypowiedziane przez Rafała: „Słuchaj! Czy słyszysz? Nie wierz im nigdy więcej. To nie była twoja córka! Ta Konsolanta” (KG, s. 370). Przebieg sceny finałowej, rażącej schematycznością i nadmierną dramaturgią, tylko pozornie przeczy idei pojednania między narodami, którego potrzebę – jak sądzę – akcentuje Pierzchała w *Krzaku gorejącym*. O ile we wcześniejszych partiach powieści zaprezentowany został pozytywny bądź ambiwalentny wizerunek głównego bohatera, o tyle w *Epilogu* Rafał ukazany jest jako bezwzględny mściciel dublujący postać Złego-Karola. Przemianie bohatera odpowiada

<sup>15</sup> Motyw fizycznego podobieństwa i różnicy pojawia się w twórczości Pierzchały kilkakrotnie. Szczególnie silnie wyeksponowany został w tytułowym opowiadaniu zbioru *Antykwariat przy ulicy Barbarossy* (Katowice 1962).

<sup>16</sup> O wzajemnych relacjach mitologii i literatury, w tym także o mitologicznym rodowodzie postaci-sobowótów piszą m.in.: J. Łotman, Z. Minc: *Literatura i mitologia*. W: *Sztuka w świecie znaków*. Wybrał, przełożył, słowem wstępnym i bibliografią opatrzył B. Żyłko. Gdańsk 2002, s. 69-94. Na temat wtrótności binarnych opozycji i jej związku z rozwojem fabuły zob. też: E. Mielecki: *Poetyka mitu*. Przeł. J. Dancygier, przedmową opatrzyła M. R. Mayenowa. Warszawa 1981 (zwłaszcza s. 203-208 i 286-323). Inne ujęcie motywu sobowótora proponuje M. Podraza-Kwiatkowska: *Młodopolskie kreacje sobowótowe*. W: Tejże: *Somnabulicy – dekadenci – herosi...*, s. 79-116.

zmiana perspektywy narracyjnej: trzecio-, a nie jak do tej pory pierwszoosobowa narracja umożliwia moralny osąd zarówno sądzonych, jak i wydających wyroki. Obaj antagoniści – jako ludzie przeszłości – muszą odejść, by dokonało się oczyszczające pojednanie.

W opinii komentatorów *Krzak gorejący* to książka jeszcze bardziej niż wcześniejsze opowiadania z tomu *Antykwariat przy ulicy Barbarossy* przekształcająca formułę „słusznego” pisarstwa Pierzchały. Widoczna w niej fascynacja zagmatwanymi sprawami psychiki silnie zaznaczy się w kolejnych propozycjach zagłębiowskiego pisarza, jednak i tam jako tendencja nigdy się nie usamodzielni, pozostając w związku z zagadnieniami ideologicznymi<sup>17</sup>. Analiza *Krzaka gorejącego* uświadamia, w jaki sposób treści te mogą się ze sobą łączyć. W przypadku omawianej powieści dzieje się tak za sprawą rozwiązań konstrukcyjnych – zasada opozycji sprzyja wpisanej w powieść refleksji nad istotą ludzkiej natury i moralnym wymiarem podejmowanych działań, a równocześnie odgrywa rolę mechanizmu, który formułuje ideologicznie jednoznaczne odpowiedzi.

Pierwodruk w: *Literackie Zagłębie. Materiały I Sesji Zagłębiowskiej Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu oraz Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Sosnowiec, 22 listopada 2002 roku*. Pod red. M. Kisiela i P. Majerskiego. Miejska Biblioteka Publiczna im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu. Sosnowiec 2003, s. 93—105.

<sup>17</sup> Zob. recenzję Witolda Nawrockiego poświęconą powieści *Jak krótkie lato* (*Poszukiwanie tożsamości*. „Nowe Książki” 1981, nr 1, s. 42—44).

## Józef Górdzialek

### Wielkie wołanie

Na podstawowe formy wypowiedzi Jana Pierzchały składają się powieści, opowiadania oraz twórczość eseistyczna, chociaż autor próbował również sił w poezji i dramacie. Trzy rodzaje pisarskiej fascynacji okazały się dla Pierzchały najbardziej owocne. W powieściach *Noce bez światła* (1954), *Rozstanie i powrót* (1957) oraz *Jak krótkie lato* (1980) sięga do pokładów doświadczeń własnej biografii, która pozwala mu stworzyć realistyczny obraz życia małego miasta polskiego podczas hitlerowskiej okupacji i obraz powojennych rozwarstwień ideowych w aurze lekkiego dystansu ironii.

Nurt ironiczno-groteskowy najpełniej doszedł do głosu w tomie opowiadań niemieckich *Antykwariat przy ulicy Barbarossy* (1962). Autor rysuje wnikliwą mozaikę psychologiczną ludzkiej przyjaźni, miłości, samotności w krajobrazie zdewastowanym przez wojnę. Kontynuacją, chociaż z mniejszym akcentem kładzionym na rozrachunki, ale z podobnym ładunkiem egzystencjalnego niepokoju jest tom opowiadań *Przeczekaj deszcz* (1975). Eseistyczny zarys dziejów kultury i współczesności Zagłębia Dąbrowskiego, ze szczególnym uwzględnieniem ideowych korzeni regionu, daje *Legendzie Zagłębia* (1962 i 1971).

Osobny obszar poszukiwań literackich wyznaczają powieści zawierające psychologiczną analizę polskich spraw – konfliktów socjalnych oraz narodowych od pierwszej do drugiej wojny światowej. Są to: *Krzak gorejący* (1972) i *Szept węża w wysokiej trawie* (w druku). Pokrewny wymienionym tytułom jest dramat postaw moralnych osnuty na kanwie rewolucji solidarnościowej w *Nieproszonej* (1984).

### Emocjonalność

Intrygująca i zadziwiająca jest zawsze u Pierzchały rola kobiet, czy węższej rola wątku uczuciowego w jego twórczości prozatorskiej. Od pierwszej powieści *Dziewczyzna* (1952) do sztuki dramatycznej *Nieproszona* autor realizuje konsekwentnie własną wizję rzeczywistości, przedstawia własny sposób widzenia. Jej cech istotnych poprzez zwrócenie szczególnej uwagi na działania bohaterek, a i często „feminizację” całych obszarów ekspresji. Nie wystarcza mu penetracja problemów partnerstwa we współczesnym świecie, kłopotów równouprawnienia, zachwiania równowagi sił sprawczych oraz skutków przemian czy po prostu najzwyczajniejsze wykorzystywanie upodobań czytelniczych do wątków romansowych. Z pewnością jest to coś znacznie więcej niż nawet daleko idąca dominacja głównych rezonerów utworu czy przypisywanie

zwycięstwa płci pięknej.

Nawet w powieściach o początku okupacji (*Noce bez światła*) czy środowisku górniczym (*Dzień z nocą na trzy podzielony*), a więc w książkach przesyconych elementami walki, formalnie działaniami typowo męskimi, kobiety wcale nie są tylko tłem, ozdobnikiem, dopełnieniem obrazu świata. One go współtworzą, co najmniej łagodzą jego surowość, a przede wszystkim stanowią czynnik niekonwencjonalny, zagadkowy, nie w pełni racjonalny sens i otoczkę życia. Takie ujęcie mieści się również jeszcze w tradycyjnym porządku.

Zupełnie inaczej sprawa wygląda w przypadku dwóch tomów opowiadań: *Antykwariat przy ulicy Barbarossy* i *Przeczekać deszcz*. Poza tym, że *Antykwariat* wyróżniał się odrębnością i oryginalnością pisarskiego spojrzenia na Niemców, dokonując „wiwisekcji” bohaterów od wewnątrz, to wspólne, porównywalne dla obydwu tomów stało się przede wszystkim rozważanie, kim jest człowiek dla drugiego człowieka, a więc podkreślanie znaczenia łączności międzyludzkiej, z drugiej zaś strony dokuczliwych trudności porozumienia. Tu pozycja kobiet wysuwa się na czoło niemal samorzutnie, ale warto wskazać, że najpełniej także w tych właśnie tomach dostrzeżemy syntezę lirycznego i ironicznego osądzania psychiki, widzenie zewnętrznych „osaczeń” i ograniczeń.

W *Antykwariacie* oglądamy świat bohaterów z pewnej krawędzi ich losu, opanowanego przez pozory, fantomy, blichtr życia, ale poniżej, w sensie możliwości i konsekwencji zagrożenia, rozciąga się cały obszar samotności, degradacji społecznej i moralności jednostki. W tomie *Przeczekaj deszcz* inna jest sytuacja wyjściowa: bohaterowie jak gdyby z poczucia pustki czy zagubienia usiłują wydostać się na teren, który może zrekompensować im wrażenie niepełnowartościowości życia, niedosytu uczuć. Wcześniej przeważał motyw rozrachunku, później motyw niepokoju i pytania o trwałość i sens potrzeb osobowościowych, zasad etycznych.

Duże nacechowanie emocjonalne tej prozy nie ma nic wspólnego z sentymentalizmem, czułościowością, wiele natomiast w niej tkwi elementów tak rzadko dziś ujawnianego zafascynowania światem i ludźmi, które mieści się między formułą „urody życia” a „wiecznym zmartwieniem”. Nie przypadkowo przywołujemy tu reminiscencje z Żeromskiego i Dąbrowskiej, bo u Pierzchały spotykamy spore skłonności do podobnego traktowania przedstawianego świata. Inną cechą jest wyróżniająca się rola kobiet. Zafascynowanie jako pewien stan uniesienia prowadzi do konkluzji, że kontakty między ludźmi nie mają i nie mogą mieć charakteru zwykłego dialogu, w którym partnerzy coś sobie komunikują. Tu i szept może być apelem, bywa krzykiem, a rozmowa „wielkim wołaniem”.

Powiedzieliśmy za mało. Jeżeli bohaterowie nie mogą żyć samotnie ani dojść do jakiegoś ładu ze sobą przez niemal całe swoje istnienie literackie, potrzebują jeszcze innego kontaktu z partnerem, kogoś z zewnątrz. Wydaje się zatem uprawniony wniosek, iż w ogóle pisarstwo Pierzchały dałoby się ująć w formule „wielkiego wołania”, jeśli idzie o stosunki między postaciami powieści i opowiadań, ale także w sensie kontaktu z czytelnikiem, formy apelu do niego.

Proza Pierzchały daje bardzo subiektywny ogląd świata, który osiąga zarazem niezwykłą sugestywność, często dzięki zastosowaniu kilku prostych zabiegów dramaturgizacji materiału – przeciwstawienia walorów osobniczych jednostki otoczeniu, starciu pewnej bierności psychicznej bohaterów z wrogimi im zdarzeniami. Wreszcie specyfika balladowego stylu, podkreśla liryzm, autentyzm przeżyć skłóconych z nieuchronnym automatyzmem fabuły, losu.

Człowiek, ukazywany w czasie przełomów, przewartościowań w sferze zagrożenia upadkiem wymaga albo epickiego dystansu i spokoju, albo środków ekspresji lirycznej. Autor nawet tak epickiej w zamiarze powieści jak *Krzak gorejący* nigdy nie opuścił swoich bohaterów na tyle, żebyśmy mogli powiedzieć, iż zostawia ich wyłącznie mądrym czy fatalnemu biegowi historii. Jednostka zawsze może się odwołać od potęgi czy nieuchronności wyroku świata przez zwierzenie, skargę. Właśnie z doboru i przebiegu zdarzeń, konstrukcji postaci, ich odporności i zachowania, ze sposobu opowiadania o tym, płynie ów stan napięcia, który przekracza stopień zwykłej intymności lirycznej, izolacji, wyciszenia.

Poetyka „wielkiego wołania” nie ogranicza się zatem do przewagi motywów krzywdy, poniżenia, ludzkich obaw, nieustannego odwoływania się do czytelniczego współczucia, jego protestu wobec determinacji losu. Jest to coś więcej. Rozpatrzmy dokładniej tę właściwość na przykładzie czterech powieści Jana Pierzchały: *Rozstanie i powrót*, *Krzak gorejący*, *Jak krótkie lato* oraz *Szept węża w wysokiej trawie*. Z tych powieści wybieramy głównie wątek dotyczący obrazu polskości, gdyż jest to punkt węzłowy w twórczości pisarza.

## Codziennność bytu

„O oczywiście można mówić źle, pod warunkiem jednakże, że się ją kocha!” – stwierdza Pierzchała w szkicu analizującym rozdarcie narodowe w twórczości Adolfa Niedworaka. Deklaracja trąci może cokolwiek szkolarską nutą, ale dobrze charakteryzuje stosunek autora do rzeczy i spraw zasadniczych, do spraw polskich. Jest to postawa żądająca wyraźnego opowiedzenia się po jednej stronie, postawa emocjonalna, rozumiejąca wahania, ale odrzucająca kunktatorstwo.

Chronologia powstania czterech omawianych powieści wydaje się ważniejsza dla analizy ewolucji wątku kwestii polskiej na szerokim tle sił dziejotwórczych, niż to kiedy i jak długo toczy się akcja podstawowa dla danej książki. Najszerzy zakres około pięćdziesięciu lat obejmuje fabuła *Krzaka gorejącego*, nasze rozważania zaczniemy jednak od *Rozstania i powrotu*.

Powieść *Rozstanie i powrót* to książka o ciężkim życiu kobiet w latach drugiej połowy okupacji hitlerowskiej i w pierwszych tygodniach wyzwolenia. Mężczyźni pozostają tu zupełnie na uboczu, mimo że przez nich najczęściej dzieje się zło i dobro. Oni walczą, konspirują, giną, uciekają, zdradzają. Kobiety, pozostając w pułapce nędzy i zgryzoty, muszą zapewnić w miarę możliwości spokój, sytość, ciepło. Wielokrotnie matce Chropaczowej i jej córkom wydaje się, że nadchodzi ostateczny cios, upadek, że rozpada się świat. Wielokrotnie choćby niewielka odmiana, poprawa sytuacji odradza ich samopoczucie, nadzieje. Najżywotniejsza jest matka, najbardziej zbuntowana wobec życia córka Irena, to objawia się zwykle w rodzinnych kłótniach („drczenie matki było jakby próbą tego, co można zrobić ze światem i z ludźmi w odwecie za własną biedę”).

Między światem kobiet i mężczyzn istnieją tak liczne „przepaście”, że właściwie niemożliwe jest pełne partnerstwo. Świat wypełniony pasją samozniszczenia musi posiadać jakąś przeciwwagę. Jeżeli mężczyźni niszczą, zabijają się, to kobiety ratują, odbudowują. Upadki i podnoszenie się tworzą obrzęd trwania, jako że czynności i zajęcia – gdzie indziej zwyczajne – u Pierzchały nabierają znaczeń obrzędowych, cech

niezwykłych. Ta skłonność urasta z czasem do najważniejszych cech jego pisarstwa. Tak więc apologia instynktu życia toczy się poza świadomością bardziej rozwiniętą, nadaje mu rangę poprzez samą artykulację i sens dostrzegalny z większego dystansu. Rozstanie i powrót nie jest bowiem powieścią o niedojrzałości czy dojrzewaniu, takie znaczenie dałoby jej może zwiększenie udziału mężczyzn.

Pierzchała uwielbia znęcanie się nad bohaterami, poddawanie ich nieustannym próbom zdrady, cierpienia, choroby, śmierci. Autor odsuwa bezwzględnie osoby epizodyczne, ponieważ obca mu jest wielostronność epicka wątków i epizodów, najlepiej gra na kilku strunach lirycznych, kilkoma bohaterami. W koncepcji *Rozstania*, jak już wiemy, mężczyźni są zbyt tacy, autor uśmierca więc synów Chropacza, ojca piętnuje nieuleczalną chorobą, zięcia odsuwa z otoczenia rodziny motywując to racjami walki w partyzantce. Później przenosi to postępowanie także na postaci główne, np. bohater *Krzaka gorejącego* dla uwierzytelnienia cierpienia nad miarę przechodzi z więzienia do więzienia. Powieść *Jak krótkie lato* sięga znowu po chorobę jako sposób unieruchomienia bohatera, inny zaś bohater wyskakuje przez okno. Repertuar „masochistycznych kreacji” nie jest może specjalnie bogaty, ale za to skuteczny. Przejawia się w tym i znamię każdej epoki przemian, kiedy to gwałtownie wznoszone są w górę lub stręcane nie tylko jednostki. Jest to także element poetyki krzyku, wołania, jak również ogólniejszej filozofii człowieka („Gdybyśmy w sobie nie mogli zabijać szatana, musielibyśmy wygniać bliźnich jak pluskwy”).

W *Rozstaniu* bohaterowie mocno stąpają po ziemi. Sposób myślenia o sprawach publicznych dobrze oddają takie choćby cytaty: „[...] porywanie się na ludzi i na świat bez upatrywania w tym spraw osobistych nie miało dla Chropaczowej żadnego sensu”, „Polskę przybrał sobie do głowy. A co ta Polska? Za mojego życia drugi raz jej nie ma”. Rozgoryczenie i trzeźwość tych refleksji płyną nie tylko z tego, że kobieta utraciła nagle wszystkich mężczyzn, został jej tylko dom, ale że trzeba żyć dalej w tych warunkach. Autor wyraźnie wystrzega się dalej idących dywagacji na ten temat. Kiedy przeciwstawia inną rodzinę zbliżoną do upadłego polskiego aparatu władzy, nie kompromituje jej przez konfidencję z okupantem, tylko przez umiejętność dostosowania się do każdej nowej sytuacji. Powiedzmy umownie, że pewnie „stan zerowy” świadomości narodowej zmieni się wówczas, kiedy zniknie zagrożenie bytu. Wyzwalający miasto Rosjanie wywołują pierwszym odruch Chropaczowej: „tego jeszcze nie można nazwać Polską”. Moment „międzywładzy” prowokuje odautorski komentarz: „Niszczenie jako wyraz najwyższej swobody było i jest, zdaje się, narodową cechą Polaków”. Sprawiedliwość bowiem niekoniecznie „musi się objawiać pięknie”.

Przedstawienie w tej powieści stosunku do spraw polskich, ich zakresu i żywotności wyłącznie w kategoriach prawidłowości socjologicznych wiąże się z dużym uproszczeniem, jest świadectwem czasu, kiedy powstawała książka. Najmocniejszą jej stroną pozostaną jednak bogato zróżnicowane, plastyczne, przemyślane co do szczegółów sylwetki kobiece, głównie Chropaczowej oraz jej córek, Ireny i Wandy, które rozsadzają i pogłębiają ogólne założenia dzieła. Instynkt pisarski wspomógł instynkt kobiecy, dzięki czemu *Rozstanie i powrót* stało się żywą kroniką trosk i nadziei ludzkich, pierwszym „wielkim wołaniem”. Już wtedy dochodzą do głosu stylistyczne upodobania Pierzchały w rodzaju sformułowań: „gorącość serca”, „słodka miłość”, „zachtysnąć się smutnym szczęściem”, zdradzające stosowanie technik liryzujących, uwznioślających nieco na wyrost narrację i samą rzeczywistość.

## Uwiklanie losu

Może najbardziej charakterystyczne dla głównych utworów jest przenikanie się planów życia osobistego i społecznego bohaterów. *Rozstanie i powrót* w zasadzie ukazuje społeczność od strony codziennego życia rodziny robotniczej. *Krzak gorejący* daje syntetyczne ujęcie losu bohatera nizin społecznych splecione z losem narodu, natomiast środowisko studenckie *Jak krótkiego lata* rysuje się jako swoista projekcja sytuacji społecznej w Polsce w przełomowym okresie po wojnie.

Pierwsza książka wykorzystuje tradycyjne możliwości literackie płynące z sugestywności i typowości obrazów pojedynczych bohaterów, druga los bohatera przedstawia jako wynik społecznego uwikłania. Trzecia pragnie ująć obraz pewnej grupy jako symbol zjawisk psychologiczno-społecznych. W pierwszej, autor był przede wszystkim spostrzegawczym rejestratorem zdarzeń, w drugiej ich reżyserem, w trzeciej sięga po ambicje wizjonerskie. Moglibyśmy powiedzieć, że jeśli w początkach twórczości bliska była autorowi figura wszechwiedzącego narratora, to później ogranicza ją do tej wiedzy, jaką dysponuje główny bohater, by w ostatecznej fazie stać się rzeczynikiem realizmu synkretycznego, magicznego. Nie wiemy o bohaterach więcej niż to wynika z ich postępowania, ale gdzie na tych samych prawach, jak rzeczywistość potoczna, funkcjonuje logika podświadomości, marzeń, zjawisk, czyli rzeczywistość wielostopniowa, niejednorodna.

Autor nazwał *Krzak gorejący* książką „o strukturze wyobraźni polskiej, o tym jak nasze oczy polskie widzą dane nam życie, o tym jak czuje polskie serce”. Krytyka odczytywała powieść przede wszystkim jako realizację założeń epickich. Narzucało się to samo przez się, ponieważ śledzimy losy bohatera przez około pięćdziesiąt lat w ścisłym związku z dziejami narodowymi od początku pierwszej wojny światowej. Rodowód robotniczy Naziemca nie tłumaczył się jasno, bo nie jest on w pełni ani człowiekiem czynu, idei, ani dojrzałej gotowości do działania, chociaż nie stoi na uboczu, wręcz przeciwnie – od legionów Piłsudskiego przez więzienia sanacyjne do ostatniej rozprawy z powojenną konspiracją uczestniczy we wszystkim, co dla dziejów Polski było i jest ważne. Uczestniczy jednak jakoś mimochodem, obserwujemy go prawie wyłącznie jako ofiarę czy pechowca. Czyżby motyw trwania, siły i wierności sobie mimo wszelkich niedoli przeniósł Pierzchała z *Rozstania*? Oczywiście, w obu przypadkach występują podobieństwa pewnych koncepcji, lecz funkcja ich jest zupełnie inna. Tam chodziło o ratowanie prawa do godnej codzienności, tutaj o prawo pełnego obywatelstwa we własnym kraju.

Bohater *Krzaka gorejącego* jest reprezentantem nowej klasy społecznej wchodzącej w orbitę historii narodowej. Odczytujemy jednak i taki zamysł powieści: „Próbujmy ocalić, co się ocalić da. Jak w pewnym straszliwym okresie przełomu pełnym pozorów, przywidzeń, złudzeń, jak wtedy spletały się tragiczne losy dzieci proletariackich z losem dumnych synów szlacheckich”. Ktoś mógłby w tym miejscu zauważyć, że jeśli autor postawił sobie tak ambitne cele, to nie od rzeczy byłoby pamiętać, że w mieście żyją jeszcze inne grupy społeczne poza robotnikami, a na wsi poza właścicielami szlacheckich dworów są i inni ludzie. Ale zostawmy pisarzowi pewne prawo do kreacji symboliki socjologiczno-narodowej.

Wielu w powieści chce mówić w imię robotników. Nowy mesjanizm zakłada, że lud jest nie tylko przez los doświadczony, ale szlachetny, wybrany. W *Krzaku gorejącym*

Rafał Naziemiec przez całe niemal życie nie przejawia pełnej świadomości narodowej i społecznej. Nie należy ani do „górných dziesięciu tysięcy” zdecydowanych bojowców, ani do odłamu „arystokracji robotniczej” zawsze chętnie kupowanej i deprawowanej przez bogatszych oraz rządy. Pierzchała nie ma ambicji demaskatorskich, jego bohater łączy przeciętność z reprezentatywnością. Rozwój czy dojrzewanie grup, klas czy jednostek, jak wiemy, nie jest procesem ciągłym, automatycznym ani też zawsze mającym tendencje wzrostowe. Osobowość Rafała, jego pewna bierność i tragiczność, obrazuje szeroko rozumiany los warstwy, która nie wywalczyła sobie jeszcze powszechnie akceptowanej pozycji podmiotu historii, gospodarza dziejów, także we własnej świadomości. Poprawniejsze byłoby zatem określenie powieści mianem dzieła o stawaniu się, o rodzeniu się nowych układów społecznych będących wstępem do późniejszych przemian. A więc także pożegnaniem przeszłości, w której „nie wiedzieć czego więcej, heroizmu polskiego czy gorzkiej, polskiej niesławy”.

„Robotnicze”, w myśl tego rozumowania, równa się temu, co ogólnonarodowe. Ale pisarz docenia także wkład tych, którzy schodzą ze sceny dziejotwórczej. Mówiąc o „splęceniu się” w polskich losach różnych grup, wskazuje nie tylko na znaczenie przeszłości, ale i na trwałość, na specyfikę naszej tradycji, na aktualność krytycznie rozumianego dziedzictwa. Z punktu widzenia społecznego *Krzak gorejący* jest pożegnaniem „świata, który przebrzmiał”, nie jest natomiast z punktu widzenia psychologicznego, literackiego. Pisząc o przeszłości, i w tym przypadku, autor mówi o sprawach, uwikłaniach człowieka dzisiejszego.

Wątek kobiecy określają i tu bohaterki, które współtworzą biografię Rafała w węzłowych momentach: dwie szlachcianki rosyjskie początkują wyjście w świat, Radwanówna, miłość życia, symbolizuje m.in. związek proletariusza z dworkiem, Uzdanowska wnosi nadzieję i okrucieństwo wojny, siostra Jadwiga z kolei konfrontuje legendę nieugiętości brata z mało chwalebna osobowością własną. Wyrachowania w nich niewiele, ale niespodzianki, które wnoszą, zdają się wstrząsać elementami stabilności: „Żyliśmy [...] w nieprzerwanej radości, w szczęściu, w czekaniu na chwilę, która nas znowu łączy, kiedy zaznamy upragnionej mocy słodkiego panowania nad sobą. Wielbiliśmy naszą miłość i siebie samych bez wstydu, głośno lub cichym szeptem w omdleniu, w pokorze”.

Do wątków *Krzaka gorejącego* nawiązuje ostatnia powieść Pierzchały *Szept węża w wysokiej trawie*. Wnosi jednak poprawkę, inaczej kreując legendę idei narodowej. Mniejszy nacisk kładzie na kwestię socjalną, bardziej na wizję czynników osobowościowych społeczeństwa polskiego i przekształceń losu narodowego w okresie pierwszej wojny światowej oraz pierwszych lat niepodległości, na funkcję śląskiego pogranicza. Centrum wydarzeń staje się znów okolica „trójkąta trzech cesarzy”, czyli Zagłębie Dąbrowskie w powiązaniu z terenami zaboru austriackiego i pruskiego.

Głównymi nosicielami dążeń niepodległościowych w powieści są patriotycznie usposobieni przedstawiciele rodów szlacheckich, mało podmiotowy element plebejski występuje na dalszym planie. Wprawdzie w tym czasie polskie koncepcje narodowe zdecydowanie wysunęły na czoło aspekty etniczne, ale w powieściowej rzeczywistości nad życiem polskim ciąży jeszcze mit narodu szlacheckiego związanego z ideą historyczną. Przesądza o tym działanie bohaterów pierwszego planu, brawurowe, z piętnem straceniowym, podczas gdy postaci drugoplanowe cechuje pewna bierność społeczna, małostkowość. Inna sprawa, że wnoszą one zarazem rzeczowy, korekcyjny udział w wydarzeniach. Powieść Pierzchały kontynuuje wizję rozpadu szlacheckiej formacji

kulturowej, sygnalizując szerszy potencjalny rezerwuar narodotwórczy i kulturotwórczy społecznej bazy.

Jeżeli *Krzak gorejący* był kreacją zaczątków, zapowiedzią przejmowania dziejotwórczej roli przez nową klasę, to *Szept węża* wprowadza jakby inny rytm oddechu, inny ogląd, skupia się na wizji końca przebrzmiałej epoki, ale z większą wstrzeźliwością traktuje kontynuatorów, sugerując, że nowa epoka przejmuje wiele ze starej, nowa klasa z upadłej, kwestia narodowa bowiem nie kończy się po przewrocie, przejściu władzy, ona zmienia imponderabilia, grupy przodujące, nie zmienia istoty rzeczy.

W grudniu 1998 Jan Pierzchała napisał do mnie: „Zacząłem od nowa pracę nad moją ostatnią powieścią, której tytuł brzmi *Szept węża w wysokiej trawie*. Nie ma książki, której by lepiej napisać nie można. W istocie rzecz nie miała dobrego zakończenia. Mocuję się z tym. Zalała mnie przy tym metafizyczna fala. Wprowadzam bardziej czytelne odniesienia do naszej dziejowości. Sprawa jest prawie szkolnym problemem, muszę więc dopuścić sfery nadprzyrodzone i do tego, co jest losem i co jest Polską!”.

Ograniczenie powieściowej panoramy do wątku Elżbiety von Grabinsky powiązanej z polskim obozem niepodległościowym i śląskim pograniczem wyszło powieści na dobre. Los bohaterki stał się bardziej przejrzysty, logiczny, realny w wymiarze jednostkowym, a jednocześnie dramatyczny w psychologicznych i społecznych uwikłaniach, nie mówiąc o metafizyce. Elżbieta musi sprostać wielorakim wyzwaniom czasu, okoliczności, interesów, miłości, zawiści ludzi bliskich i obcych. Musi wyzwolić w sobie nieprzeczuwalne pokłady siły, odporności, woli, żeby temu podołać, podjąć próbę i nie zatracić indywidualności.

Postać literacka zaskakuje wielokrotnie psychologiczną odpornością, samodzielnością, sąsiadującymi z przejawami ufnego poddania, podporządkowania, jakby jej osobowość skrojona była z dwóch materii: biernej i czynnej, naiwnej i przecznej, lękliwej i odważnej. Choćby owo ryzykowne pójście za Bobrowskim, werbownikiem sprawy niepodległościowej, do Krakowa, Mekki polskości, gdzie łatwo podporządkowuje się jego matce. Z kolei dość szybko uznaje za naturalne zwierzchnictwo brata Konstantego, reprezentującego niemiecką linię rodziny, by znowu zadziwić zdecydowaniem działań dla objęcia schedy po Narykowskim, ojcu jej dziecka. Wszystko to niby wynika z porywu serca, impulsu zbiegu okoliczności, ale kryje wewnętrzną logikę.

Powieść w mniejszym stopniu stanowi wizję losu polskiego u zarania niepodległości, bardziej natomiast oryginalną interpretację, wizję losu pogranicza zagłębiowsko-śląskiego w Polsce. Los Elżbiety odczytuję bowiem także, a nawet przede wszystkim, jako symbol spotkania, osadzania, narastania żywiołu śląskiego w polskim organizmie narodowym powstającego z niewoli kraju. Ela przecież poszła za Bobrowskim nie tylko w odruchu dziewczęcej sympatii, naiwności, ale po prostu w ten sposób wybrała określoną opcję narodową. Taka interpretacja wyjaśnia późniejsze perypetie. Obecność w rodzinie Grabińskich elementu niemieckiego jest zwykłą cechą pogranicza. Zresztą owa wysublimowana, pretensjonalna polskość krakowska doskonale współżyje z powiązaniem wiedeńskimi.

Ela kierowała się głosem serca polskiego, jednak jej oferta, jej rodowód plebejsko-śląski nie przełamał nieufności strażników sprawy narodowej. Śląsk nie znajduje wówczas w pełni ani serdecznego, ani partnerskiego przyjęcia w środowisku inteligenccko-szlacheckim, specyficznie krakowskiej syntezy dulszczyzny z amarantowym odcieniem.

W domu Bobrowskich rychło sprowadzono Elę do roli służącej, poniżono ją, uwięziono. Nie uznano ją za godną zaufania w pracy niepodległościowej.

Motyw faustyczny, częsty w pisarstwie Pierzchały, w zapleczu kreowanego świata usamodzielniał się do tego stopnia, że przejął inspirowanie intryg w ważniejsze elementy osobowości, odcisnął piętno na postawach, marzeniach, smakowaniu życia. Śledząc niepokojącą wizję losów Elżbiety, która narażona jest ciągle na podszepty szatana, pokusy, presje, upokorzenia, utratę czci i godności w aurze niejasnych, ukrytych impulsów otoczenia odkrywamy obecność, wartość tych pierwotnych, autentycznych tkanek uczuciowości, instynktu samozachowawczego, prostolinijności, które wyznaczają i bronią legendy niezależności. A ponieważ składniki, motywacje psychologiczne woli bohaterki ujawniają się stopniowo, istnieją jakby podskórnie, więc za istotę zachowań, scen fabularnych winniśmy przyjąć pewną zjawiskowość, magię obrazu, nastroju, magiczne kryteria uczuciowości i sensu więzi oraz rozrachunków rodzinnych. Ten rodzaj realizmu magicznego nie znosi utartych kolein przeciętności środowiska, wynosi raczej i wspiera okoliczności niezwykle, tajemnicze, wyjątkowe.

Zauważamy, że pisarz powołuje do życia, stwarza jakby gotowy model, ukształtowany typ postaci, który wypełnia szerszą rolę, przestrzeń powieściową. Oznaki dystansu głównej bohaterki, Elżbiety wobec matki, ojca, macochy, oznaki ich zbliżeń bywają tylko markowane, chociaż konkretyzują sytuację wyjściową z zaścianka w świat, z pogranicza polsko-niemieckiego do Polski, z rodowodu niepewnej tożsamości do fasadowego mitu polskości. Ale wybór takiej drogi dokonuje bohaterka instynktownie, chociaż niezwykle dojrzałe. Przejawił się w tym rys bogatej osobowości, indywidualności otwartej na wyzwania, ale przemieszanej z namiętnością dość wyszukaną, perwersyjną. Sceny erotyczne ilustrują także różne etapy wprowadzania Eluni w seksualność psychiki kobiecej.

Podsumujmy: *Krzak gorejący* kładzie nacisk na weryfikację historycznego mitu narodowego. Rozpad dominującej warstwy szlacheckiej zapowiada zmieniony układ sił sprawczych polskości z aspiracjami podmiotowymi bohatera plebejskiego. Powieść *Szept węża w wysokiej trawie* usytuowana w krótszym okresie, lecz na podobnym zapleczu, stwarza możliwość innego rozłożenia akcentów w procesach społecznych. Odczytujemy jednak istotne odejście od wcześniej przedstawianych tendencji, bo kobiecy wariant dziedzictwa narodowego zachowuje i umacnia priorytet starego porządku. Bohaterka ze śląskiego pogranicza wdziera się dość przypadkowymi ścieżkami do rodowego folwarku Narymskich w głębi kraju i przejmuje rolę jakby piastunki, strażniczki anachronicznej legendy szlacheckiej w Polsce. To lata dwudzieste ubiegłego wieku. Podejmując się misji usługowej, zastępczej, kosmetycznej wobec tradycyjnego mitu państwa przeszłości, rezygnuje z własnej tożsamości. Staje się kimś innym. Uwiedzenie krakowskie było więc pełne.

Pierzchała w powieści *Szept węża* przedstawia wizję podwójnego pogranicza: polsko-niemieckiego i śląsko-polskiego. Oryginalność tej wersji kresowości określa nie nadrzędna obrona tożsamości, odrębności, walka o dominację, nie wyniszczanie się wzajemne czy dowodzenie przewag lub choćby wyższości moralnej między partnerami, sąsiadami, rzecznikami różniącej się przecież tradycji i mentalności, ale wizja przenikania się, współpracy, współistnienia, przejmowania wartości, kontynuacji współżycia. To nowy ton wydobyty z krainy sprzeczności.

## Ambicje wizjonerskie

Jan Pierzchała buduje swoje powieści na ogół na zasadzie nierównowagi sił i pozostawiania konfrontacji poza akcją podstawową. Powieść *Jak krótkie lato* oddaje pewien stan zawieszenia i przełomu w sytuacji polskiej po ostatniej wojnie. Z jednej strony występuje agitacyjność, ofensywność, oznaki silnej władzy obozu rządowego, z drugiej ożywienie opozycji mikołajczykowskiej i potężna siła inercyjna świadomości, przeżyć, obyczajów, obrzędów nacechowanych konserwatywnie, którym brak woli i śmiałości celów. Dwa-trzy lata po wojnie nie odbywa się tu otwarta dyskusja o sprawach polskich, o przyczynach czy przejawach rozdarcia wewnętrznego Polaków, brak nawet starcia postaw czy walki wśród głównych bohaterów, odmalowuje się tylko atmosferę oczekiwania, przemiany poglądów. Spraw narodowych nie formułują i nie rozgrywiają pełne osobowości, ale ich echa, cienie, ich refleksy. Tej stronie powieści towarzyszy przeświadczenie o nieuchronności wydarzeń, jakiejś rezygnacji, niemal nastroj pobjowiska, jakby walka i podstawowe rozstrzygnięcia już się odbyły.

W podstawowej sferze działania powieściowego postaci pojawiają się i znikają dość zagadkowo, chcą się odnaleźć w rzeczywistości, określić specyfikę istnienia. Siły zewnętrzne, reżymowe, są im obce, ale są silniejsze, można z nimi współżyć, obłaskawiać je, służyć im lub wykorzystywać. W *Krzaku gorejącym* bohater był emanacją i syntezą losu polskiego, tu wielość postaci składa się wprawdzie na pewien wyraz tego losu, ale bohaterowie żyją w cieniu niezrozumiałych, przerastających ich wydarzeń, targują się z obozem władzy o zakres tożsamości, próbują różnych dojść, bo chcą być partnerami, petentami z własnym bagażem wartości, oczekiwań, nadziei. Szukają jak gdyby odpowiedzi, recepty na sposób życia w narzuconym porządku. Powieść nie mówi otwarcie pełnym głosem o udziale, zestroju sił sprawczych w procesie narodotwórczym pod presją. Pęta cenzury na wypowiedzi autora są wyraźne.

Główny bohater *Jak krótkie lata* Tomasz Korynt przechodzi ewolucję od nieśmiałego wielbiciela piękności do odrzucenia jej i wyboru partnerki reprezentującej pokrewieństwo duchowe, a jednocześnie z pozycji zagubionego, początkującego pisarza staje się twórcą ambitnym, zwracającym uwagę zasadniczymi przemyśleniami na temat zasad i funkcji pisarstwa aspirującego do partnerstwa.

W odróżnieniu od poprzednio omawianych tytułów *Jak krótkie lato* jest także powieścią o dojrzewaniu człowieka. Znaczący ułamek tego procesu wyznacza opadanie wstydlivości, naiwności, przeobrażanie młodzieńca w mężczyznę. Bohater musiał doznać wszystkiego, co możliwe w grze zmysłów, przełamać zahamowania, poszerzyć widzenie spraw seksu, żeby dojrzeć do prawdziwej miłości, która jest staraniem, drogą, próbą wzajemnego przeniknięcia się, dzieje się w trzech planach: rzeczywistego związku z Hetmanówną, demonicznego wątku Merkany oraz podświadomych skojarzeń i wizji.

Wiedza o życiu, o istocie człowieczeństwa, o tym co decydujące w jego pełnej indywidualności bierze się więc z przeżyć osobistych, z ich uogólnień i pokładów podświadomości. Żywiół biologiczny przenika się z wartościami kulturowymi, czyli wrodzonymi i nabywane przez obrzęd. Obrzędowość służy nie tylko uwzniośleniu jakiegoś etapu w życiu, jest błaganiem nieznanych sił o pomyślność, bowiem przyszłość człowieka jest zawsze skryta, niepewna, zależna od zbyt wielu okoliczności. Każdy etap w życiu – poczęcie, inicjacja chłopięca czy męska kończy się i zaczyna podobnie: zamknięciu towarzyszą mu niezwykle wydarzenia, ból, ulga, nadzieja i zarazem obawa

przed nowym, niepewnym etapem losu.

Powieść pragnie być emanacją i syntezą sensu oraz genezy spraw polskich, sensu i genezy ludzkiej osobowości. Stosuje ona równoległość losu polskiego i losu ogólnoludzkiego. Jeżeli diagnoza źródeł i kompleksów sytuacji obydwu światów, społecznego i jednostkowego, podświadomości i świadomości, jest podobna, to i sposób rozumienia, rozładowania napięć może być zbliżony: trzeba obnażyć i przełamać zahamowania, żeby stworzyć i dać ujście pełnej indywidualności jednostki i zbiorowości.

Sięgając coraz głębiej do pokładów ludzkiej osobowości, odkrywając jej składniki podświadome, akcentując obrzędowość egzystencji Pierzchała rozwija swój motyw wielkiego wołania, podkreśla sprawcze działanie przypadku i rytuału, emocji i polemicznej równoległości wątków kobiecych. Wyraża w ten sposób własne widzenie współczesnego dramatu bezsilności jednostki.

Wołając o prawdę osobowości, rozszerzając pojęcie genezy człowieczeństwa, które mogłoby być zarazem genezą i elementem polskości, autorowi nie wystarcza narracja obiektywistyczna osądzająca świat zewnętrzny z dystansu. Ideową inspiracją najważniejszej części jego twórczości jest ciągły niepokój, wręcz obsesja zagrożenia. Stąd wielkie wołanie staje się jednocześnie wołaniem w obronie zagrożonych podstawowych wartości, protestem przeciw społecznemu przymusowi. A poczucie anachronizmu takiej postawy podnosi jeszcze dodatkowo tonację apelu.

Dodajmy wreszcie, że o ile mężczyźni w twórczości Jana Pierzchały borykają się bezpośrednio z wielkimi sprawami tego świata, to kobiety wchodzą w kontakt ze światem przede wszystkim poprzez mężczyzn. Wątek kobiecy wypełnia jakby poza wszystkim osobny ton hymniczny, akcentowanie najtrwalszej, biologicznej nici życia. Dzięki temu ogólny osąd przedstawianego świata, dramat egzystencji wydaje się być w istocie problemem braku porozumienia.

Dramat człowieka wynika jednak także z samej istoty współżycia społecznego. I nikt naprawdę nie może się od niej wyzwolić, samotność bowiem jest źródłem cierpienia, poczucia niepełnowartościowości życia, przynosi degradację moralną jednostki. Powiązania z grupą, z narodem mogą z kolei zagrażać niezależnej osobowości, ponieważ ją ograniczają, podporządkowują, są wyrazem społecznego podziału i konieczności, nie zaś swobodnego wyboru. Tak ujmowany dramat egzystencji, dramat zniewolenia nie mieści się w krytyce współczesności, jest dramatem uniwersalnym. Wynika z dwoistego rozumienia wolności: źle człowiekowi przy nadmiarze i przy jej braku, ale sama jednostka nie potrafi sobie wyznaczyć, narzucić właściwej miary osobistych potrzeb.

## Reorientacja zachodnia

Ostatni okres twórczości Jana Pierzchały wypełnia obsesja kwestii polskiej. Wbrew poglądom o roztopianiu się, wypieraniu problematyki etnicznej przez aspiracje cywilizacyjne nie ustaje on w stawianiu „przeklętych” pytań o składniki, o znaczenie i trwałość polskości w obliczu przemian. Wraca do nich i nie znajduje pełnej odpowiedzi. Pytania o autentyczność idei pulsujących w zbiorowości ogólnokrajowej brzmią podobnie, ale odpowiedzi nie są jednoznaczne, takie same, za każdym razem uwypuklają bowiem inny aspekt, inną stronę zagadnienia. Towarzyszy temu zmiana optyki i zakresu ujęcia

środowiskowego bohatera: od wyłączności plebejskiej w *Rozstaniu i powrocie* przez obraz różnorodności socjalnej w *Krzaku gorejącym* do środowiska akademickiego, które jest zbiorowiskiem płynnym, ale z właściwościami barometru (*Jak krótkie lato*). Kocioł polski będzie tu zresztą wstępnym zapisem obywatelskiej tożsamości.

Identyfikacje narodowościowe stały się po wojnie częścią szerokiego przeorientowania zachodniego naszej literatury. Wyznacza ona ważny trop interpretacyjny tego pisarstwa rozwijającego się w orbicie kulturowego pogranicza zachodniego. Jeżeli ciężar gatunkowy i perspektywy losów polskich przeniosły się na zachód, łącznie z szerszą funkcją kresów zachodnich, zatem literackie rozumienie, odbijanie tożsamości narodowej w tych realiach będzie świadectwem przenikliwości pisarskiej.

Czego wymaga reorientacja zachodnia pisarstwa artystycznego? Zmiany miejsca akcji? Byłby to raczej wymóg formalny i drugorzędny. Książki Pierzchały zająbiają się ze zjawiskami pogranicza zachodniego (*Krzak gorejący*, *Szept węża w wysokiej trawie*), rozgrywają się wśród społeczności polskiego Zachodu (*Jak krótkie lato*), w rzeczywistości niemieckiej (*Antykwariat przy ulicy Barbarossy*). Lokalizacja nie przesądza jednak jeszcze niczego.

Ważniejszą cechą nowej orientacji literackiej u Pierzchały stało się eksponowanie wątków pogranicza wojny i pokoju, elementów historycznych i bieżących, obiektywnych i subiektywnych. Polski Zachód jest wynikiem wymuszonego rozstrzygnięcia wojennego, skutkiem przetasowania europejskich układów i podziałów, zdobyczą losu państwowego, który wypełnia treścią dopiero słabo zintegrowaną społeczność narodową. Tę niecodzienną specyfikę określa niecodzienna aktywność, odrębność form i przeżyć zbiorowych. Chodzi tu przede wszystkim o podkreślenie niesuwerenności przełomu, o przesiedlenia, nieautentyczność przemian. Pierzchała nie podjął tradycyjnych problemów osadniczych naszego Zachodu, ale konfrontacje, przeskok sytuacji, zadań, doznań wypełniają większość jego książek (*Przeczekaj deszcz*).

Trzecią cechą jest zmiana podmiotowości środowiska plebejskiego. Ludowy i robotniczy bohater Pierzchały nie chce być herosem plakatowym. Ma on rosnące aspiracje, które pogłębiają się, ewoluują w trakcie całego pisarstwa. Wynikają z poczucia niepełnej, ale ugruntowanej się tożsamości społecznej, przemodelowania treści identyfikacji narodowej. W ostatnim okresie twórczości coraz mocniej dochodzi do głosu motyw ciągłości, dziedzictwa, przejmowania narodowych aspiracji przez ludzi nowych (*Szept węża w wysokiej trawie*).

Mentalność kształtująca się na dzisiejszych kresach zachodnich stanowi kwintesencję potrzeb i zachowań ludzi wyrwanych z podłoża, słabo zakorzenionych, poszukujących nowego oparcia, nowych powiązań, form i celów. Społeczność niezasiadła nie czuje się dostatecznie związana z lokalną tradycją, nie kieruje się dawnymi kresowymi sentymentami i podziałami. Jej wymuszona ruchliwość uruchamia wprawdzie początkowo stereotypy nacjonalistyczne. Ale osłabiając obawy przed obcością, przed ryzykiem otwartości na świat, na impulsy nowych idei ta społeczność ujawnia wielką chłonność i elastyczność, nawet ekspansywność. Pierzchała przedstawia jakby genezę – zapowiedź, początek tych nowych postaw. Jego wrocławskie środowisko akademickie jest jeszcze zagubione, nieufne, ale krystalizują się w nim jednostki i grupy podatne na oferty rzeczywistości, ludzie głodni życia (*Jak krótkie lato*). To wyróżnik czwarty.

W zachodniej orientacji szybciej blakną uprzedzenia, zastrzeżenia wobec Niemców. Nie są oni już tylko wrogami, obcymi. Ujawnia się tutaj dotykalnie sąsiedzka cecha lojalności i gospodarności, inność staje się wyróżnikiem sprawności, rzeczowości, może

i perspektyw. Na fali tego procesu przewartościowań powojennych stereotypu Niemca-oprawcy sytuuje się tom opowiadań *Antykwariat przy ulicy Barbarossy*. Dokonana w nich wivisekcja kompleksów, obsesji win i zbrodni, zagubienia, bezradności, nieświadomości upadku kryjących się w duszach niemieckich oświetliła wiele tajemnic i prawd moralno-psychologicznych. Teksty będące świadectwem przenikliwej analizy były przejawem autonomizacji wizji artystycznej, obyły się bez przeciwstawienia wątku polskiego.

Inny aspekt kwestii narodowej polega na założeniu, że polskość jest pewnym balastem, mało chlubnym dziedzictwem każdej warstwy w danej epoce. Bywa na ogół dla nich odrębną jakością. Ścieranie się mentalności, interesów, atrakcyjności środowiskowej i kulturowej swoich wśród obcych charakteryzują przede wszystkim stan procesów narodowościowych, przetasowania w hierarchii ważności grup wiodących. Nowość ujęcia Pierzchały polega na tym, że autor zderza tradycyjną legendę narodu szlacheckiego z realiami zachodniej orientacji. To zderzenie z innymi aspiracjami, składnikami podmiotowości, chodnym oglądem nie rozbija mitu, choć wiąże się z wizją rozpadu klasy. Ono ten mit wyizolowuje.

Reorientacja zachodnia obejmuje podkreślanie innej roli dawnych kresów zachodnich, w tym Górnego Śląska jako pogranicza socjalnego i narodowościowego kraju. Bohaterowie pogranicza budują dopiero makietę swojej tożsamości narodowej, nie okopują się w obronie przed środowiskiem niemieckim, ale nadrabiają samopoczucie „festiwalami” śląskości. Reprezentują zazwyczaj postulatyczny model wartości małej ojczyzny, regionu, który symbolizuje środek świata, który daje oparcie, promieniuje na cały kraj. Współistnienie niemczyzny nie jest dla nich zagrożeniem, ale zjawiskiem naturalnym, częścią horyzontu rodzinnego czy zachodnie perspektywy, proeuropejskie aspiracje określają najważniejsze współcześnie sprawy Polaków? Tak twierdził Edmund Osmańczyk już ponad pięćdziesiąt lat temu, to powraca i dziś. Takie widzenie jest wektorem i atutem racji narodowych, przedmiotem sporów. Także wszechstronną inspiracją kultury i literatury. W tej orientacji zawiera się istotna cecha i wartość twórczości Jana Pierzchały.

## Między egzystencją i apokalipsą O *Wyznaniach* Jana Pierzchały

Są wiersze, które chociaż osadzone w konkretnym czasie historycznym nie poddają się historycznemu osądowi i skłaniają, by inaczej spojrzeć na osobę poety. Bez wątplenia takim utworem są *Wyznania* Jana Pierzchały – poemat, który pierwszy raz czytałem w antologii *Zagłębie poetów* (2002), i który, jak mi się wydawało, mógł zostać napisany w dowolnym momencie długiego życia autora.

Zapytajmy jednak o datę pierwszej publikacji i powstania utworu. *Wyznania* ukazały się drukiem w zbiorze *Wiersze*, wydanym w Katowicach w 1948 roku. Początek trzeciej strofy, w której Jan Pierzchała przywołuje wspomnienia wrocławskie, wskazuje że utwór powstał między 1946 rokiem, a momentem druku, kiedy młody Pierzchała przyjechał do Wrocławia, a potem podjął tam studia polonistyczne. Dla interpretacji *Wyznań* ważny jest stan ducha poety w tym czasie.

Długi poemat, złożony z sześciu części i kilkunastu strof otwierają znamienne słowa:

Zmogła się w wierszach i sterała cisza,  
więc muszę wierzyć w płacz i w pracowitość,  
a gdy mi nocy zbudzonej przybliżasz,  
klękam i ręce pochylam nisko.

„Cisza”, to oczywiście praca żaloby po rachunku strat wojennych i minionym strachu. Nasuwa się tu słynna konstatacja Różewiczowska: „ocalałem prowadzony na rzeź”. Podmiot *Wyznań* ma to już za sobą. Praca żaloby się nie kończy – ale musi się ona obrócić w mozół pracy – źródło nowej wiary odbudowy ducha. Już w pierwszej, zacytowanej strofie, w dwóch ostatnich linijkach, pojawiają się tropy religijne: pochylenia, klęczenia i modlitwy.

Wątek ten jest w interesujący sposób rozwijany i uściślany w kolejnych zwrotkach. W modlitwie tej nie chodzi „o świata początek” – bo on się jakoś zaczął z końcem wojny, ani „o oddech jak luna gorący” – co może oznaczać ustąpienie nienawiści i woli walki, woli mocy, ale o – wyrażone słowami najprostszymi – poczucie wspólnoty i przynależności: „i chcę przystąpić do ludzi za oknem”. To znamienne i piękne porównanie – czasu wojny, w którym ludzie za oknem budzili strach i pierwszych miesięcy pokoju. Następna, trzecia zwrotka jest wspomnieniem wyjazdu na Ziemię Zachodnie – „W wrocławskiej izbie zmartwieniem zagnieździł...” – i można tę strofę odczytywać wielorako. Z jednej bowiem strony, Wrocław w tym okresie jest miastem wielkich migracji i niebezpiecznym – gdzie polscy repatrianci spotykają się na dworcach i ulicach z wypędzonymi Niemcami. Sytuacja i los obu grup są tragiczne. Stąd mowa o „smutku o słowa niezmówione nigdzie”. Z drugiej strony za tymi słowami może kryć się obawa o to, czyj ostatecznie

będzie Wrocław – czy za chwilę przybyszy nie spotka kolejna poniewierka – w odwrotną stronę. Jest w tym też tęsknota za spokojem modlitwy. Jest to więc czas zmęczenia, końca żaloby i nowych/starych lęków, czas kiedy tylko w pokorze i pracy odradza się słaba jeszcze, spontaniczna wiara.

Wahania nastrojów, potrzeb i oczekiwań, ich spontaniczność podkreśla wybuch emocji i deklaracja w zwrotce czwartej *Wyznać*: „Wierzę w socjalizm, bo w Chrystusa wierzę!”. Emotywną jej wartość zdają się podkreślać dwa ostatnie wersy strofy – gdzie bohater wiersza odcina się od pamięci i przeszłości: „Zamykając w nocach wszystko bezimienne,/ a tajemnicę wyznałem dziewczynie”. Zastanawiać może, jak należy rozumieć zbitkę ideologiczną, zawartą w tej deklaracji – na pozór sprzeczną.

Pamiętać należy, że Jan Pierzchała pochodził z rodziny górniczej, z Jaworzna, sam też pracował w czasie wojny jako górnik. Do dziś jest to miasto, gdzie tereny przemysłowe „przeplatają się” z terenami rolniczymi. Dynamicznie rozwijane przed wojną górnictwo, energetyka i hutnictwo musiało owocować nowymi prądami umysłowymi oraz ideowymi, przynoszonymi z Europy Zachodniej i Południowej, z Galicji, a wszystko to zderzało się z tradycyjną wiejską religijnością. Nie ma sensu wnikać głęboko w tradycje filozoficzne czy teologiczne, jakie zostały w tym zdaniu zderzone. Zapewne większy wpływ na umysłowość młodego Pierzchały miały idee i wiersze Cypriana Kamila Norwida – z jego apologią „proletaryatu”, mesjanizmu i gorącą wiarą niż pisma socjalisty niemieckiego Karla Kautsky’ego, czy Thomasa More’a – twórcy *Utopii*, uważanego wówczas za jednego z prekursorów socjalizmu. Zresztą Pierzchała zdawał maturę w liceum pedagogicznym – i jako przyszły nauczyciel wielokrotnie czytał i znał wybrane utwory Norwida.

Polityczna idea i wiara religijna zlewają się więc w jedno. Dlatego Jan Pierzchała pisze: „Przeciw nigdy nie powiem/ i myśli nigdy nie złożę na opak”. Jest to wiara w socjalizm umotywowany religijnie, podbudowany religijnie, oparty na Chrystusie – który wyganiał kupców ze świątyni i podburzał ludzi. Tymi słowami wiersza zaczyna się pierwsza strofa części drugiej. Autor podsuwa kolejne porównania – zapowiedzi przyszłej, lub spełniającej się właśnie apokalipsy: „Ziemieć pojmując jak Boga ogniście”. Przez cały utwór przebija biblijne przekonanie o wadze słowa i mesjanistyczno-apokaliptyczne przeczucia: Mowym nigdy nie pojął byle jako,/ ani się zaparł jutrzni, co się zdarzy”, nawiązania do Chrystusa: „Dzieckiem na hałdach rozjarzyłem nogi”, czy też analogię do biblijnych celników – poprzez przywołanie żołnierzy, od których mógł podmiot wiele się nauczyć.

Znamienne jest przeciwstawienie w utworze prostej, chłopskiej i nieskomplikowanej wiary ojca/rodziców, nowej wierze czasu rewolucji/apokalipsy. W zwrotce trzeciej, drugiej części poematu dochodzi do spotkania: „Staruszka chciałem minąć w bramie,/ alem ukląkł, bo za tym starcem/ stała Panna Święta” – i dalej: „A potem była wojna,/ której nie pamiętam”. W pięknych strofach mamy wątek oddania hołdu wierze rodziców, pokłonu Marii i jednocześnie wytłumaczenie opuszczenia domu, okazanego nieposłuszeństwa. Słuch Pierzchały dalej nie opuszcza – zaraz potem znajdujemy bowiem takie słowa:

i na rozstaju dobry Chrystus bez sił  
rozpamiętany wciąż o rzeczy nowe.

Drugą linijkę cytowanego tekstu można tłumaczyć jako pytanie i prośbę o dokończenie lub uzupełnienie opowiadanej już historii, albo też prośbę o przepowiednię „kreatora dziejów”, odwołanie się do jego boskiej, nieskończonej pamięci.

Część trzecia utworu zaczyna się od symbolicznego, onirycznego i lirycznego przywołania młodości i dzieciństwa. W trzeciej strofie pojawia się tajemnicza postać

Pawła. W tym poemacie pełnym biblijnych odniesień chwilami nowa postać może przypominać Pawła, autora listów ewangelicznych:

Bywało, szedł z za węgła Paweł.  
Paweł już dużo umiał rzeczy [...].  
Słowem mię każdym szturchał  
i tak mi wczesne wziął dzieciństwo.

Pierzchała nie kryje wiary i wątpliwości, ani trudności, których rozwikłać nie może – „Daleś mi Boże żywot kruchy/ i daleś zamyślenie trudne”. Pojawia się wątek „abdykacji Boga” (termin Simone Weil); w słowach: „kazałeś wiatrom mówić sprzeciw/ i ległeś na spękanej ziemi”, i początku wojennej apokalipsy, jako następstwa tej abdykacji: „a tu się zezłił czas i zwrześnił” oraz w perspektywie eschatologicznej pragnienie powrotu do Boga, do tajemnicy słowa: „i takiej mowy w usta nalej,/ abym do Ciebie nie szedł z niczym”.

Zakończenie poematu jest inwokacją „do” i jednocześnie pochwałą – krótkim hymnem, w dwunastu wersach. Znamienne, że inwokacja ta zaczyna się od słów: „Chwałę... – szepkanie na wargach/ o rzeczy co nie zszarpie nic i nie potarga”. Jest to prośba i o język, prostotę i o niezmiennie wartości. Pojawiają się elementy nowego porządku, dziś odchodzącego w przeszłość, w czas mitologiczny – ryk kopalni i „szum robotniczy, który na nas idzie”. – Być może w groźnym szumie kryje się wiara w prawość ludu, Ludu Bożego. W niezłomność wiary i jej podstaw: „pochwalam śpiew kłarnetu i kamień w kościele”. A także w koniec apokalipsy, jaką jest wojna i prostotę dnia dzisiejszego – jaki by nie był.

Krótko po ukazaniu się drukiem tego wiersza, czas historyczny okazał się nie tak łaskawy, jak poeta prosił. Przyszedł ponury okres nasilenia się terroru stalinowskiego, okres prześladowania Kościoła, a potem kolejne przełomy. Dramat *Wyznań* – jest tą opisywaną przez Lwa Szestowa „szczeliną”, dzięki której tekst wiersza można dziś odczytywać w kategoriach radykalnego, czy też rewolucyjnego, swoistego, egzystencjalizmu chrześcijańskiego.

Paweł Sarna

## „O dosyt słów” Poetycki debiut Jana Pierzchały

### 1

„Zapomniane dzieci mają swoje godne miejsce w literackiej biografii” – napisał Marian Kisiel, przypominając na łamach „Śląska” o epizodzie pisarskim, którym w dorobku twórczym Jana Pierzchały jest arkusz poetycki zatytułowany po prostu *Wiersze*<sup>1</sup>. Zbiorek ukazał się w maju 1948 roku jako zeszyt dziesiąty w redagowanej przez Zdzisława Hierowskiego serii *Arkusze Śląski*, wydawanej przez śląski oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich. Nie jest przypadkiem, że po latach w rocznicowej, wydanej w stulecie istnienia miasta Sosnowca, antologii *Zagłębie poetów* znalazły się wybrane wiersze z wymienionego arkusza. Pierzchała zajął swe miejsce w tej prezentacji jako poeta, ale przede wszystkim jako pisarz o ustalonej pozycji, reprezentant pewnej generacji, od której zaczęło się współczesne życie literackie. Zarys porządku w przestrzeni zjawisk literackich dostrzec można – na co wskazywali redaktorzy antologii – dopiero w układzie pokoleniowym. Tylko wówczas, śledząc „zerwania i ciągłości”, dostrzeżemy zbieżność poetyk, objawianą przez generacyjne wspólnoty, a w szerszym planie uda nam się odnaleźć i ponadgeneracyjne więzi.

Jan Pierzchała to pisarz o bogatym dorobku twórczym. Jeśli wziąć pod uwagę, jak niewielki fragment na tle jego obfitej twórczości prozatorskiej czy eseistyki stanowi działalność poetycka, łatwo dostrzec, że tych kilka wierszy dziwnym trafem spełnia niebagatelną rolę. Kierują one uwagę krytyka nie tylko na siebie, ale w pierwszym rzędzie odsyłają do problemów, z którymi zmagał się Jan Pierzchała przez lat kilkadziesiąt.

### 2

Druga wojna światowa była dla pokolenia urodzonego w latach dwudziestych przeżyciem, które zburzyło dotychczasowy obraz świata, zmieniło hierarchię wartości. W poezji motyw rozliczeń wojennych pojawił się już w pierwszych dniach po rozpoczęciu niemieckiej ofensywy. Wydany w roku 1947 *Niepokój* Tadeusza Różewicza, wyrastający z doświadczeń wojennych, zrewolucjonizował powojenną poezję. Autor *Czerwonej rękawiczki* zerwał z literacką przeszłością, sprzeciwił się tradycyjnemu modelowi poezji. W wierszach Różewicza rozliczenie z wojną, co podkreślają historycy literatury, dokonało

<sup>1</sup> M. Kisiel: *Śląskie wiersze Jana Pierzchały*: „Śląsk” 2001, nr 9.

się w sposób bodajże najostrożniejszy.

Różewicz i Pierzchała są nie tylko reprezentantami tej samej generacji, ale urodzili się w tym samym roku – 1921. Wskazują na ten fakt jedynie jako kontekst, bo prawie wszystko różni tych poetów. Dzieli ich, już w chwili wejścia na scenę literacką, sposób myślenia o poezji. W słowie odautorskim *Wierszy* wyznaje Pierzchała: „Pisać zacząłem, by ustrzec się kłamstwa i patosu, dość dawno, ale tamten mój dorobek ukoronował w samotni napisany wiersz o wojnie; teraz brzydę się czołgiem i karabinem. O wojnie, by nie przeklinać – milczę”<sup>2</sup>. Słowa te potraktować można jako bardzo wyraźną deklarację, są samookreśleniem poety, który zastanawia się nad rolą, jaką powinna pełnić jego twórczość, nad własnymi możliwościami. Zdania te są refleksją, świadectwem sformułowania programu, czy też co najmniej podjęcia tej próby, bo młody poeta, wchodzący dopiero w życie literackie, posiadał już swój światopogląd poetycki, zamierzenia, które chciał realizować „na starcie”. Warto zwrócić uwagę na przytoczoną wypowiedź autora i wnikliwie zanalizować ten krótki fragment. Twórczość poetycka, podług tych słów, łączyła się dla Pierzchały z potrzebą dawania świadectwa, możliwością obrony przed narzucającym się patosem. Ale także z niebezpieczeństwem, że żadne słowo nie będzie odpowiednie, aby opisać wojenny koszmar. To zadanie dla rewelatora, którym Pierzchała na gruncie poezji nie był. Tadeusz Różewicz pokazał, że jedynie odrzucenie pulchryzmu, zerwanie z „tańcem poezji”, może zbliżyć poetę do rzeczywistości. W *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego* podsumuje to następująco: „[...] taniec poezji zakończył swój żywot w okresie drugiej wojny światowej w obozach koncentracyjnych [...]”. Dla Pierzchały tego typu działanie, zdecydowane zerwanie z tradycją nie byłoby możliwe. Wiersze oraz udzielane po latach wywiady i wypowiedzi ukazujące się na łamach czasopism, ujawniają, że z jednej strony bliskie mu były odkrycia krakowskiej Awangardy, jej patronat widzieć należy w uznaniu wysokiej funkcji metafory, deklarowaną i praktykowaną niechęć do „kuglarsko-spontanicznych aktów wyobraźni”<sup>3</sup> – to wszystko jednak współistniało z przywiązaniem do tradycyjnych miar wierszowych, z potrzebą melodyjności. Pierzchała nie chciał czy też może nie mógł się posunąć dalej. W jego słowach, przytoczonych tu wcześniej, łatwo dostrzec można niechęć do pisania o wojnie, skoro świadomy był nieadekwatności posiadanych środków wyrażania. To przyznanie się do porażki. Ale ta świadomość była przysłemu autorowi *Krzaka gorejącego* potrzebna, by spróbować – jak później się okaże, z dobrym skutkiem – zmierzyć się z własną i kolektywną pamięcią wojny, zwracając się już ku prozie. Z owej porażki mógł się też poeta zwierzyć, skoro miał do zaproponowania wiersze, w których poruszał tematy z pewnością niebłahe. Nie abstrahował on problemu drugiej wojny spośród innych trudnych problemów, jakie niesie historia. Umieszczał go w pewnym ciągu, zanurzając się w przeszłość konkretnej społeczności, analizując ją, starając się dostrzec w niej początki żywych później, często gwałtownych konfliktów, różne oblicza i odcienie tych samych problemów, z jakimi zmagają się człowiek współczesny.

Warto wziąć pod uwagę, że dla Pierzchały niejako naturalnym sposobem przedstawiania problemów jest wprawdzie zasygnalizowanie, że będzie mowa o problemach pewnej grupy ludzi, zarysowanie trudności, z którymi zmagają się zbiorowość, by dopiero na tym tle ukazać np. dramat pojedynczego człowieka. Tę praktykę widać chociażby w narracyjnym poemacie *Drzewiorz*. Pierzchałę interesuje Śląsk z jego społecznością doświadczoną przez drugą wojnę oraz wcześniejsze wojny i powstania. Społecznością

<sup>2</sup> J. Pierzchała: [wypowiedź odautorska]. W: tegoż: *Wiersze*. 1948 Wrocław [II s. okładki]. Arkusz Śląski, t. 10.

<sup>3</sup> Zob. J. Pierzchała: *Z ciemni podskórnej. Szkice o pisarzach współczesnych urodzonych w Zagłębiu Dąbrowskim*. Katowice 1992, s. 17.

z jej głęboką świadomością własnej przynależności do miejsca urodzenia, przywiązaniem do tradycji, lokalnych obrzędów, odrębnością języka. A także z animozjami, konfliktami pomiędzy ludnością autochtoniczną oraz napływową zamieszkałą w tym regionie. Śląsk jako placówka. Taki Śląsk odkrywa pisarz. Słowo „odkrywa” jest tutaj szczególnie znaczące, jest bowiem Pierzchała przybyszem z miasta, wprawdzie położonego niedaleko od miast rdzennie śląskich, ale jakże odległego kulturowo. Przedstawiał się poeta w słowie odautorskim tomiku: „Urodziłem się [...] w Jaworznie, na granicy ziemi krakowskiej i śląskiej. Kopalnia [...], w której robotniczy żywot spędza mój ojciec, zasłoniła mi już od dzieciństwa wieże Mariackiego kościoła. Na wschód nie było po co chodzić. Za Przemszą były kopalnie. Pozostał mi więc Śląsk”<sup>4</sup>.

### 3

Poemat *Drzewiorz* jest inicjalnym utworem zbioru. Składa się z dziewięciu posiadających odrębne tytuły cząstek, rozpoczętych *Inwokacją*. Utwór ten tworzy z drugim obszernym poematem (*Wyznania*) wyraźną kłamrę, mocno spajającą zbiorek. Pierzchała pisze o życiu górników, życiu miasteczka koncentrującym się wokół kopalni. *Drzewiorz* przedstawia bowiem zwyczajnych, typowych bohaterów: Franka, Helę, Zośkę wtopionych w zbiorowość. Głównym bohaterem poematu jest Franek, tytułowy „drzewiorz”:

Franek serce miał proste i przyszłość górniczą.  
Z wiosną dostał robotę na kopalni „Orzeł”.  
Franek jest syn górnicki, więc najrychlej przystał  
do windy, do kopalni i został drzewiorzem.  
W dzieciństwie ścigał wiatry po hałdach, a potem  
spoglądał jak buntownik. Gdy wlaź w biedaszyby  
między chłopów zajadłych o chleb i robotę,  
pojął co święte, a co trzeba nienawidzić.  
Więc czasem kwiatków narwał do ściśniętej ręki [...]

Bohater z racji swego pochodzenia, tak jak wielu młodych mężczyzn z rodzin górniczych, od dziecka oswajał się ze świadomością przypisania do zawodu wykonywanego od pokoleń, a także z niemożliwością ucieczki od przeznaczenia. Pozostaje mu jedynie zgoda na to, co nieuchronne, wejście w środowisko – inicjacja łączy się tu z koniecznością przejęcia wspólnego etosu i wyrzeczeniem się wszystkiego, co nie jest poważane w tej społeczności. Podjęcie pracy wiąże się dla bohatera z koniecznością szybszego wejścia w dorosłe życie, z bolesną inicjacją.

Życie Franka jest ilustracją przekonania o górniczym losie – ciężkiej, pełnej ryzyka pracy, która wypełnia i zabiera bez mała całe życie – obwieszczonego w *Inwokacji*:

Robotnik krzywdy liczy, gdy w rękach ma pusto,  
kiedy surdut ostatni zapina agrafką,  
[...]  
Zaś czas gdy ruszy nagły w pośpiewie kościelnym,  
w płaczu i w dygotaniu i w lamencie syren,

<sup>4</sup>Tamże.

górnik z szychty nie wraca i o krzywdzie nie wie,  
i ust już nie rozewrze i ręki nie dźwignie.

Pierzchała przypomina, że wypadki na kopalni nie tylko nie były rzadkością, ale nieodmiennie kojarzyły się z tym zawodem. W przytoczonych słowach wiersza tkwi przepowiednia przyszłej katastrofy w życiu bohatera. Istotnie, zapowiedź sprawdza się nieuchronnie.

I Franka dziś spotkało, jak spotyka ptaka  
kamień ostry, lub w wiatrach skryte gradobicie,  
że krzyk ze skrzydeł rzuci i nie będzie latał  
i w piachu leżał będzie ponuro i ciszej.  
Frank na zawalisku dzisiaj w nocy umarł  
i przybrał kształt złamanej i spłaszczonej rzeczy  
i był jak dźwięk godziny kopalnianej, która  
wybija szychty koniec z lamentem największym

Mroczna przepowiednia musi się wypełnić i spełnia się, mimo że przed śmiercią Franek przeczuwa, co może się wydarzyć. Ma prorocze sny, które jednak bohatera nie uratują: „tamtej nocy się śniły Frankowi szkarady, [...] Ojciec miał sny podobne, nim go filar zacisł”. Nad całą zbiorowością zresztą, nie tylko nad tą główną postacią, góruje bliskie greckim wyobrażeniom Przeznaczenie – ono to sprawia, że losy każdemu są narzucone z góry i nikt nie jest w stanie przed nimi uciec ani się uchronić. Tragizm wpisany jest w los tej zbiorowości. Przeciwwagą dla z gruntu katastroficznej, zhiperbolizowanej wizji społeczności, nad którą zawisło fatum, są ostatnie strofy poematu *Wyznania*, który zamyka zbiór. Te słowa są optymistyczne, zawiera się w nich pochwała zwyczajnego dnia, doświadczenia pracy:

Pochwalam ryk kopalni i mowę o świecie.  
Chwałę szum robotniczy, który na nas idzie.

Pochwalam powrót z wojny o dobrej godzinie  
i chwałę dzień dzisiejszy i przed nim się chyłę.

#### 4

Przypominając dziś wiersze Jana Pierzchały, trudno jest nie przywołać twórczości innego poety, Wilhelma Szewczyka, którego nazwisko kojarzy się nierozłącznie z problematyką małej ojczyzny, ze Śląskiem widzianym również często przez pryzmat hut, kopalni i hałd. Jednym z najbardziej znanych utworów Szewczyka jest bez wątpienia poemat *Hanys*, którego pogłosów można by się doszukiwać i w wierszach Pierzchały. Obu tych poetów łączy z pewnością pasja społeczna ukierunkowana przede wszystkim na problemy Śląska. Autor *Hanysa*, który przez lata kojarzony był zasadniczo jedynie z tematem śląskim, zaskoczył czytelników i krytyków jako poeta nie tylko refleksyjny, ale i nie obawiający się przy tym dykcji prywatności<sup>5</sup>. Trudno orzec, jaki charakter przybrałaby dalsza twórczość poetycka autora *Krzaka gorejącego*, gdyby nie porzucił

on tej drogi. Niezręcznie jest też zestawiać garść wierszy Pierzchały z obfitym dorobkiem poetyckim Szewczyka. Z jednego względu warto jednak posłużyć się tą paralełą. Chodzi bowiem o uchwycenie światopoglądu pisarskiego w chwili wydania *Wierszy*, a – przede wszystkim – typu wrażliwości młodego wówczas poety.

O metafizyce w twórczości autora *Hanysa* można mówić dopiero w odniesieniu do jej późnej fazy. Jest to metafizyka – jak pisał Marian Kisiel – „ziemska, nie transcendentna”, to raczej „egzystencja świadoma własnej eschatologii”<sup>5</sup>. U Pierzchały podobnie – metafizyka rodzi się ze zwyczajności, jednak ostatecznie poeta zwraca się ku Bogu. Jawna teofania nie stoi w sprzeczności z zainteresowaniem przede wszystkim sprawami ziemskimi. Świadectwo obecności Boga znajduje się w dziełach przez niego stworzonych, w całej przyrodzie, a przede wszystkim w człowieku (wiersz *Przeciwko sobie*). Świętość znajduje bowiem poeta w zwyczajnej, najczęściej szarej codzienności, wypełnionej drobnymi sprawami, prostymi czynnościami, w rzeczywistości, którą widzi dookoła siebie. Prawdziwie święte są te miejsca, w których człowiek poprzez swoje czyny, swoją pracę sławi Boga – powtórzę raz jeszcze fragment *Drzewiorza* – „Kopalnie są jak kościoły”. Dlatego też w pierwszej części *Wyznań* pisze Pierzchała:

Ziemie pojmując jak Boga ogniście,  
i od wieczery wstając jak z modlitwy,  
o śląskie strony trwam najuroczyściej  
pod czas sprzeciwu daremny i niski.

Mowym nie pojął nigdy byle jako,  
anim się zaparł jutrzni, co się zdarzy  
małym aniołkom z potłuczoną twarzą,  
lub oczom smutnym na progu kopalni.

Te słowa odczytać można jako deklarację przywiązania do regionu, w potrzebie bliskiego związku z tradycją, małą ojczyzną – miejscem serdecznym. Nieważne czy jest to miejsce urodzenia czy też ojczyzna wybrana przez siebie. Związek z tym miejscem, z jego kultywowaną oraz wciąż odkrywaną tradycją, a przede wszystkim z ważnymi dla nas ludźmi oddała dojmujące poczucie wykorzenienia, doświadczenie obcości, będących częścią naszej ziemskiej egzystencji. W ten sposób przeciwstawimy się poczuciu niekonieczności naszego istnienia w świecie.

<sup>5</sup> Zob. M. Kisiel: *Wiersze i poematy*. W: *Okolica najbliższa. Szkice do portretu Wilhelma Szewczyka*. Red. S. Krawczyk. Czerwionka-Leszczyny 2001, s. 38-39.

<sup>6</sup> Tamże, s. 40.



## **Wspomnienia**





BAUMGARTEN  
BRZEGI CIEMNOŚCI

Janowi Pińchole  
z udziałem  
perdo i innych  
dabnych sukcesów

Katowice, 1950

W Baumgarten

NOWAKOWSKI • SIŁNA GORĄCZKA

Panowi Janowi  
Pińchole  
na genialny  
współny przedsięwzięcie  
na odcisku  
autkami  
i nito  
Marek Berka

## Elwira Kabat-Georgijewa

\*\*\*

Śmierć Jana Pierzchały zaskoczyła mnie. Dość irracjonalnie szukałam potwierdzenia smutnej, poruszającej wieści. Nawet klepsydra na murach Katedry Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Sosnowcu – skromna i lakoniczna w treści – nie wydawała mi się wówczas wystarczająco wiarygodna. Dlaczego? Jego godna podziwu kondycja intelektualna podczas listopadowej II Sesji Zagłębiowskiej, kiedy spokojnym, lekko drżącym głosem, lecz ze zwykłą sobie swadą i erudycyjnym rozmachem wygłaszał tekst o zagłębiowskim wątku w życiu i twórczości Juliusza Kadena-Bandrowskiego, nie nasuwała myśli o tak rychłym Jego odejściu. Może to więc tylko przypadkowa zbieżność imienia, nazwiska i wieku? Niestety. Było to ostatnie publiczne wystąpienie autora *Legandy Zagłębia*, a zarazem nasze ostatnie spotkanie.

Niespełna trzy tygodnie później w grudniowe, mroźne, lecz rozświetlone słońcem południe pożegnaliśmy Pana Jana na zawsze. Spoczął na cmentarzu przy alei Mireckiego w Sosnowcu – mieście, z którym związany był przez pięćdziesiąt lat swego życia. Z tej liczby ponad trzydzieści poświęcił Teatrowi Zagłębia jako jego kierownik literacki. Nad trumną pisarza zabrzmiały pełne wzruszenia słowa Profesora Włodzimierza Wójcika – słowa ciepłe, serdeczne, lecz nade wszystko niezwykle ważne. Dość nieoczekiwanie wtórował im z oddali żałobny „głos” trąbki...

Próbuję przywołać w pamięci nasze spotkania, fragmenty kularowych rozmów toczonych podczas Zjazdów Pisarzy Zagłębiowskich, sesji i wernisaży wystaw, których organizatorem jest od wielu lat Miejska Biblioteka Publiczna. Obecnością na nich – kontaktami zarówno z czytelnikami, jak i zjeżdżającym do Sosnowca środowiskiem literackim – stale, do kresu swego długiego życia poświadczał swe zaangażowanie w sprawy regionu, któremu poświęcił tak wiele miejsca w bogatej i różnorodnej twórczości. Dawał temu wyraz, zabierając głos w trakcie konferencyjnych polemik. Zawsze dystyngowany i powściągliwy nie wdawał się jednakowoż w ożywione dyskusje uczestników zjazdów, które wybuchały – ni stąd ni zowąd – podczas pożegnalnych kolacji. Z czasem zwykł ich nawet dyplomatycznie unikać, stroniąc wyraźnie od biesiadnego rozgorączkowania naszych gości. Obserwowałam jednak zawsze szacunek, jakim darzyli go koledzy po piórze, nie tylko admiratorzy, adwersarze również. Dla wielu z nas Jan Pierzchała był bowiem niekwestionowanym autorytetem obdarzonym wyjątkową kulturą literacką i rozległą wiedzą historyczną, bodaj jedynym zagłębiowskim pisarzem wielkiego formatu, który pozostał tu, na tej ziemi wierny jej do końca. O dwóch „zagłębiowskich emigrantów” – Stanisława Krawczyka i Jana Krzysztofczyka przyszło mi upomnieć się jako przewodniczącemu Klubu Pisarzy Zagłębia Dąbrowskiego podczas przygotowań Biblioteki do III Zjazdu Pisarzy Zagłębiowskich w 1992 roku. Właśnie tym m.in. twórcom poświęcił swój tom szkiców krytycznoliterackich *Z ciemni podskórnej*, który ukazał się tegoż samego roku.

Nie te jednak spotkania z Panem Janem zapadły najgłębiej w moją pamięć. Najważniejszych pozostanie tych kilka długich, kameralnych rozmów w zaciszu mego gabinetu przy ulicy Warszawskiej 6. To właśnie wówczas, niejako przy okazji omawiania spraw wydawniczych lub spotkań autorskich, najpełniej mogłam docenić jego niezwykłą erudycję, rozległość zainteresowań i pedantyczną dbałość o szczegóły, zwłaszcza jeśli dotyczyły jego osoby. Posiadał niebywałą wprost pamięć o ważnych w jego życiu ludziach i bliskich mu miejscach, o których potrafił zajmująco opowiadać swą piękną, nieco już staromodną polszczyzną, tajemniczym uśmiechem i podniesieniem brwi sygnalizując zamierzone niedopowiedzenia. Nie czekając na polskie wydanie tłumaczonej wówczas książki Güntera Grassa *Idąc rakiem*, dzielił się ze mną wrażeniami z lektury oryginału i komentarzy niemieckiej prasy. Zawsze bowiem był szczególnie wyczulony na problemy niemieckiej historii i literatury, co wynikało zapewne – choćby po części – z wrocławskich i berlińskich lat jego życia. Podczas ostatniej u mnie wizyty zdążył jeszcze złożyć do druku tekst swego ostatniego wystąpienia *Czas skadenizowany*, który ukaże się w listopadzie br. nakładem naszej Książnicy w tomie *Sylwetki z Zagłębia. Ludzie – Zdarzenia – Symbole*.

Mam jeszcze jeden osobisty powód niepogodzenia się z odejściem Pana Jana. Obiecał nam pomoc w zorganizowaniu wystawy o sobie, którą mieliśmy świętować jubileusz sześćdziesięciolecia pracy twórczej, zbiegający się z Jego osiedziesiątymi piątymi urodzinami. Niestety, stało się inaczej...

## Jan Klemens

\* \* \*

Już u progu naszej przyjaźni uświadomiłem sobie, jak silnie Jan Pierzchała związany jest z teatrem – zauroczony magią tej czarnoksięskiej sztuki. Zrozumiałe, że szczególnie oddany był Teatrowi Zagłębia. Jemu też bez reszty służył jako kierownik literacki przeszło trzydzieści lat. A przecież nie tylko współtworzył oblicze artystyczne tej sceny, ale był skutecznym orędownikiem poprawy warunków pracy w teatrze i bliskim mi człowiekiem, kiedy przyszło zmagać się z władzami o trwanie teatru. Wspólnie wyzwoliliśmy w sobie niesamowitą siłę, konieczną, by poddać nieprawdopodobnemu wysiłkowi przebudowy, rozbudowy i w końcu unowocześnienia teatru. Lata, w których przyszło nam działać, były najtrudniejszymi w powojennych dziejach tej sceny, ale niewątpliwie najbardziej owocnymi. Ta nieustanna niepewność losów teatru zmuszała nas do ciągłego dokumentowania zasług szóstej sceny w historii teatru polskiego. Ale także uświadamia, że niewątpliwie Teatr Zagłębia jest już bodaj ostatnią nienaruszoną wartością regionalną Zagłębia Dąbrowskiego.

W ustalaniu planów repertuarowych nie było między nami kwestii spornych. Ustaliliśmy już na samym początku, że podstawowym kanonem, na którym opierać będziemy dobór pozycji, jest znakomita literatura. Pragnęliśmy, by nasz teatr był nie tylko zrośnięty z literaturą, ale był jej zwierciadłem, jej dopełnieniem.

Przeżyłem dzięki pisarzowi Janowi Pierzchale chwilę wyjątkową. Dla mnie jako aktora zarówno zaszczytną, jak i zobowiązującą. Otóż, do propozycji repertuarowych na sezon 83/84 Pierzchała włączył swoją świeżo napisaną sztukę *Nieproszona* z wyraźną dyspozycją, że główna rola Lasockiego napisana została z myślą o mojej osobie. Chyba nie zawiodłem. Otrzymałem za tę rolę „Złotą Maskę”. Cenię sobie to wyróżnienie szczególnie.

## Stanisław Krawczyk

\*\*\*

Ostatnie zdjęcie przed wejściem do Miejskiej Biblioteki w Sosnowcu tuż po spotkaniu autorskim Janka na V Zjeździe Pisarzy Zagłębiowskich. Jasny garnitur, bukiet czerwonych róż w ręce. Był blady, wydał mi się chory, ale stał, jak zawsze prosto z podniesioną głową przed światem i tym miastem. Rozmawialiśmy później bardzo żarliwie o Wilhelmie Szewczyku, o Gustawie Morcinku, o tym, jak doszło do przemianowania Katowic na Stalinogród, o jego doświadczeniach dyplomatycznych. Schodził po schodach wolno, wolno się oddalał w swoje miasto, do swojego domu, a ja odprowadzałem go wzrokiem.

Teraz siedzę moim śląskim domu, mam zdjęcie robione podczas jubileuszu prof. Włodzimierza Wójcika na Uniwersytecie, a w oczach marcowy dzień 1963 roku. Dokładnie: 7 marca 1963. Na rynku w Bytomiu spotkałem Staszka Horaka, który w tym czasie był dyrektorem Miejskiego Domu Kultury. Wstąpiliśmy na setkę wódki, może „Pod Konia”, może do „Obywatelskiej”. Po drodze Staszek powiedział podnosząc palec wskazujący prawej ręki do góry, jak rabi: „Dzisiaj u mnie jest Pierzchała. Dyplomata. On zawsze jest bardzo dobrze przygotowany. Przyjdź!”. Wstąpiłem. Autor był precyzyjny w interpretacji swoich też i dokładny w obronie bohaterów omawianych utworów. Po spotkaniu, Janek wiedząc, że urodziłem się w Czeladzi podarował mi *Legendę Zagłębia* z dedykacją „zachęty do wytrwałej pracy”. Grzbiet tej książki znajduje się na poziomie wzroku naprzeciw mojego biurka i nieprzerwanie przypomina mi: Skąd przyszedłem i kim jestem.

Całe lata siedemdziesiąte nie spotkaliśmy się. W latach osiemdziesiątych, kiedy zacząłem współpracować z „Poglądami” nasze spotkania były przelotne na „dzień dobry”. Janek zamykał się w swoim gabinecie zastępcy redaktora naczelnego, adiustując teksty autorów prozy. Podobno naciągał nauszники, żeby nie słyszeć głosów z sąsiedniego pokoju, gdzie nieślubni potomkowie Villona, Rabelais’ego i Brechta wypowiadali swoje kwestie, podgrzani wyborową wódką lub żywieckim piwem. Janek – w moich oczach – był ascetyczny, nie przylegał, albo był ponad czasem chaosu pragnień, czasem pozorów i złudzeń, który rozpałał nam serca i rozwiązywał w gardłach języki.

Zbliżyliśmy się w latach dziewięćdziesiątych. Pisaliśmy listy, bo Dębieńsko jest oddalone od Sosnowca na tyle, że środki komunikacyjne nie pozwalają wrócić do domu o przyzwoitej godzinie. Łączyło nas naturalne umiłowanie ziemi buntu, wolności, ziemi wielkiej ekspresji. Pisaliśmy listy, wymienialiśmy spostrzeżenia i poglądy. Poznałem innego człowieka, a raczej drugą część osoby. Racjonalnie żarliwą, czasem dogmatycznie wybuchową, czasem ironicznie lub pobłażliwie uśmiechniętą, ale zawsze serdeczną. Moja żona zapamiętała jego elegancję i dyskretną szarmanckość, co na pewno było zaletą dyplomaty w takim państwie, jak NRD.

Śmierć Janka zaskoczyła mnie w chorobie. Nie mogłem być na pogrzebie.

Wracam do ostatniego spotkania, do zdjęcia. Nie widzę osób. Widzę żywe tkanki duszy Zagłębia Dąbrowskiego.

## Andrzej Żak

\*\*\*

Młody, bardzo przystojny i elegancki, co nieodparcie musiało kojarzyć się z Jego pracą w dyplomacji, na placówce w Berlinie. Na dodatek ironiczny i tą ironią zawsze utrzymujący pewien uprzejmy dystans z rozmówcą. Takim właśnie poznałem Jana Pierzchałę podczas jednych z pierwszych Rybnickich Dni Literatury, bodaj w roku 1964. Trochę mnie onieśmiał swoją światowością i literacką pozycją, ale przy bliższym poznaniu okazał się człowiekiem wyjątkowo życzliwym i pomocnym. Właśnie Jemu zawdzięczam mój prozatorski debiut w „Poglądach”, które wraz z Wilhelmem Szewczykiem prowadził przez wiele literackich sezonów, aż do likwidacji pisma w stanie wojennym. On także pomógł mi znaleźć pracę w Sosnowcu i to nie byle jaką, bo w bibliotece, co wyraźnie sprzyjało rozwojowi moich literackich zainteresowań.

Rzadko bywałem w Jego mieszkaniu na Małachowskiego w Sosnowcu. Dom był dla niego miejscem pracy i strzeżonej prywatności. Nie można też było do niego telefonować w południe. Jasiu, bo z czasem dopuścił mnie do konfidencji i byliśmy po imieniu, jadał bowiem o tej porze obiady. Nie należało także dzwonić po obiedzie bo z kolei odpoczywał. O tym wszystkim chętnych do kontaktu z Janem Pierzchałą, życzliwie, ale i surowo informowała niezwykle opiekuńcza wobec niego Elżbieta Pietrzok, niezastąpiona sekretarka naszego Katowickiego Oddziału ZLP.

Jan Pierzchała cenił sobie bardzo status pisarza i choć nie przeceniał jego roli społecznej, to zawsze zabiegał, aby autorytet twórcy nawet w najdrobniejszych sprawach nie doznawał uszczerbku. Z uśmiechem wspominam epizod, gdy pisząc podanie o przyznanie mi kierownictwa literackiego w jednym z katowickich teatrów, Jan Pierzchała zerknąwszy na pierwsze zdanie, stuknął w nie palcem – Dlaczego piszesz... proszę? Nie prosz. Pisz, że wyrażasz zgodę!

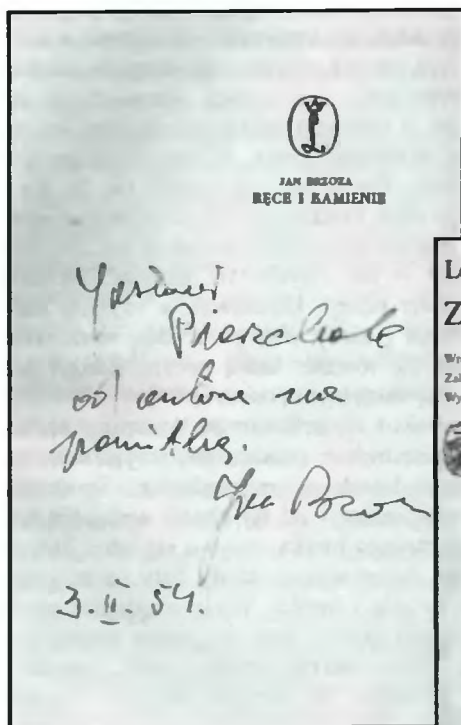
Miał duże poczucie humoru i znał wiele środowiskowych anegdot. Sam też był bohaterem co najmniej kilku. Jedna z nich opowiada, jak któryś z kolegów znany z nieoddawania długów poprosił Jasia o pożyczkę.

- Czy mógłbyś mi...na krótko?
- Na jak krótko?
- Dwa, trzy dni...?
- To za krótko. Nie mogę!

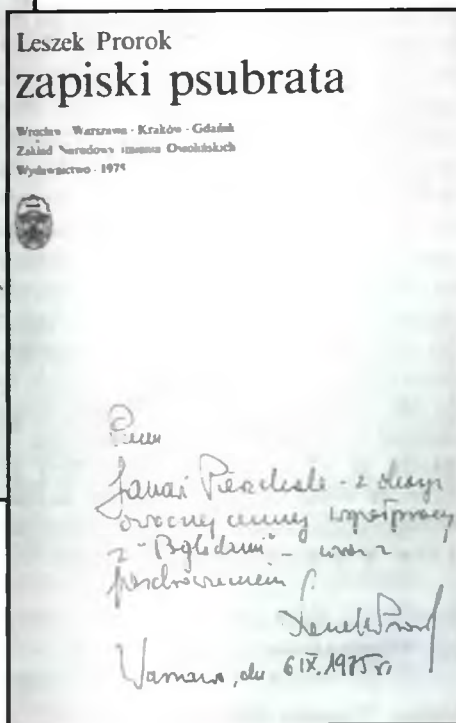
Najczęściej spotykaliśmy się w Związku Literatów, w Domu Pracy Twórczej na ulicy Warszawskiej w Katowicach. a później w Domu Literatury na Marchlewskiego. Było to przede wszystkim z okazji zebrań związkowych, ale i czwartków literackich, które przez wiele lat prowadziłem. Pierzchała uczestniczył w nich chętnie i często. Jeśli tylko czas mu pozwalał, a był to czas dzielony pomiędzy pisanie kolejnych powieści i sztuk teatralnych oraz bardzo serio traktowane przez niego obowiązki kierownika literackiego sosnowieckiego teatru. Miał wiele do powiedzenia na temat literatury i były to oceny,

interpretacje nie zawsze po myśli autorów prezentujących swój literacki dorobek. Uważał, iż ocena literatury nacechowana być musi zawsze prawdą odbioru, nawet jeśli jest ona subiektywna, jaką w sposób oczywisty i z natury rzeczy pozostaje. Tę miarę stosował również wobec własnej twórczości. A wiem to, bo recenzowałem Jego opowiadania, powieści na łamach dzienników i czasopism literackich.

Nie zawsze zgadzaliśmy się w poglądach na temat tego, co pisał. W powieści *Jak długie lato* znalazł trop literacki, którym mógł wędrować długie lata ku niekwestionowanym wyżynom literatury. Nie ma wszakże takich dzieł ani twórców, których realizacje spełniają się w sposób absolutny. O wielu takich rzeczach rozmawialiśmy, o wielu jeszcze moglibyśmy. Szczerze żałuję, że przynajmniej na razie jest to niemożliwe.



Yaroslav  
Pierchicko  
od autora na  
pamięć.  
J. Brzozwa  
3. II. 54.



Prorok  
Jarosław Pierchicko - z okazji  
osobnej rocznicy urodzin  
z "Poglądami" - wraz z  
podziękowaniem p.  
Janek Prorok  
Wrocław, dnia 6 IX 1975 r.

Tadeusz Uragacz

## Ostatnia posługa

Nasza przyjaźń zaczęła się w zamierzczłych czasach. Od 1946 roku przez parę lat mieszkalem kątem w lokalu Związku Literatów przy Placu Nankera. Lokal ten tyle obszerny, ile zmurszały, składał się z licznych pomieszczeń, w jednym z nich zagościła redakcja „Zeszytów Wrocławskich”, naczelnym był prof. Tadeusz Mikulski, sekretarzował Jan Pierzchała: i to był prawie cały skład osobowy – tak to kiedyś w periodykach bywało. Dzień w dzień przychodził Jan nie tyle do pracy, bo tej – jak to w periodyku – nie zawsze miał nazbyt wiele, ile po to, by się pokazać, aby dyżurować. Zazwyczaj ten czas redakcyjny, wolny, wypełniały mu długie i żarliwe pogaduszki ze mną. O poezji – oczywiście. W tym okresie udało mu się wydać – a niełatwo o to było – kilkanaście utworów poetyckich. Wiersze. Ten arkusik przysporzył mu sporo lokalnego rozgłosu uwieńczonego nagrodą miasta Wrocławia. Już w tych pierwocinach jawił się krajobraz strony rodzinnej, zagłębiowskiej, a rodowód autora był czytelny bez noty biograficznej. Jan szybko doszedł jednak do przeświadczenia, że inna czeka go droga i inne formy wyrazu stoją przed nim otworem. Pamiętam, jak wyznał mi, że nie ma żadnych planów poetyckich i że już nie będzie miał. Przeczucie, czy może samoocena?

Po tym rozbracie z wierszowaniem, po pięknej przygodzie pozostała mu niezwykła wrażliwość na poetyckie słowo. Miał ucho – jak zwykle się mawiać. Ośmielałem się twierdzić, że był natchnionym czytelnikiem poezji, koneserem, a czytając stawał się jakby współtwórcą. Filtrował strofy, słowa i sensy, aby z zacieklą wnikliwością dochodzić ich sedna. Wiem, gdyż zajmował się również moją poezją. Zdążył przed odejściem obdarzyć najważniejszą moją książkę studyjnym posłowiem.

W 1948 skończył się mój epizod wrocławski i wyjechałem do Warszawy na stałe. Urwał się osobisty kontakt, żywioł życia nas wchłonał, rozszczępił, przyjaźń wszakże nie wygasła. Ze wzmogoną siłą wróciła w latach osiemdziesiątych. Spotkaliśmy się na zjeździe pisarzy o rodowodzie zagłębiowskim i od tej chwili wybuchała nasza korespondencja. W przepastnych szufladach mojego biurka ukrywa się istna listoteka, w niej zaś historia jego i mojego ostatniego ćwierćwiecza, kiedy listy nasze krążyły miarowo jak w krwiobiegu. Wiele w nich światła i mroku. Wiele niegłupich myśli i trochę nie zawsze przepysanych bzdur. Czasem emocje przy wymianie poglądów na terażniejszość i przeszłość krzyżowały się. Wtedy iskrzyło między nami. Jan nie był barankiem, ja też, ale zawsze wracaliśmy ku sobie. W chwilach załamania i zwątpienia w siebie, w świat, w życie. Mogłem liczyć na jego dobre słowo, na jego wsparcie. Od wrocławskich czasów miałem tę wspaniałą pewność, że o n j e s t. Z e z a w s z e b ę d z i e. Z tą ostoją łatwiej było mi żyć.

O odejściu Jana dowiedziałem się dopiero w styczniu. Nie mogłem więc oddać mu ostatniej posługi. Czynie to teraz.

Warszawa, 31 marca 2004.

Feliks Netz

## To nie był brat-lata

O, nie! Od początku w relacji: on – ktoś inny, obecny był dystans, który po latach znajomości nie wykluczał nawet serdeczności, czy raczej pewnych jej znamion, lecz cechą dominującą w jego zachowaniu, w tym, co mówił, była pewna wyniosłość (może też podniosłość). Nieobcy był mu patos (także w doborze słów, w składni, w intonacji zdania); myślę, że wyhodował w sobie, a potem starannie pielęgnował, pewien rodzaj arystokratyzmu. Nie zawsze, nie z każdym, nie o wszystkim! Za tą wybrednością nie chował się snobizm. Nie był snobem. Był proletariuszem, który nie szczędząc sił wspiął się na najwyższe szczeble kultury; wiele przeczytał, wiele przemyślał, zdolny był podjąć równą rozmowę z polskim, czy obcym intelektualistą. W polskiej literaturze wiele znaczyło dla niego nazwisko autorki *Nocy i dni*; z tego, co mówił o piarstwie Marii Dąbrowskiej można było zrozumieć, iż uważa jej prozę, jej rozumienie roli pisarza za najwyższą normę, za coś w rodzaju prawa. Z obcych – Tomasz Mann, nie mam wątpliwości, ponieważ głównie o *Czarodziejskiej Górze*, ale i o *Toniu Krögerze* monologował podczas długiej wtedy (początek lat siedemdziesiątych) podróży porannym ekspresem do Warszawy (Jan wsiadał w Sosnowcu). Jechaliśmy do Komitetu Kinematografii bronić jego scenariusza (wg powieści *Krzak gorejący*), który zamierzaliśmy realizować w Zespole Filmowym „Silesia”. Ani scenariusz, ani nudna i męcząca przepychanka z urzędasami, ani sam film nie były na poziomie owego błyskotliwego monologu. Właściwie odkryłem wtedy Jana Pierzchałę, dostrzegłem w nim wrażliwego humanistę, człowieka o świetnym umyśle; pamiętam, iż pomyślałem wówczas, że jest on kimś nieporównanie wybitniejszym niż się o tym wie. Przy tym wszystkim miał w sobie jakąś nieusuwalną skazę: wierzył komunistom. To chyba w Kielcach, na wspólnym spotkaniu autorskim, wypowiedział zdanie, które mną wstrząsnęło, że: „Władysław Gomułka był jednym z najmądrzych Polaków”. Skoro tak powiedział, to mam prawo uznać, że tak uważał. I znów długa jazda (powrotna) pociągami, podczas której z entuzjazmem monologował o Stanisławie Brzozowskim, starając się mnie przekonać (niemal z sukcesem), że *Sam wśród ludzi* to „wielka polska powieść”. Był człowiekiem utalentowanym, doskonale czującym język, zwłaszcza staropolszczyznę z jej łacińską składnią; bywało, że nadmiernie ulegał – we własnej prozie – owej fascynacji. Lewicowiec do szpiku kości, który tę swoją naturalną lewicowość rozcieńczył w peerelewskiej partyjnej bylejakości. Myślę, że ostateczny obrót rzeczy (politycznych) silnie go zaskoczył. Pisał jeszcze, ale jakby obok siebie, obok czasu.

Zapamiętam go, jak – stary już, osiemdziesięcioletni – wchodzi na trzecie piętro do naszej redakcji na czwartkowe *Rozmowy o Śląsku*. Długo łapie oddech, mówi, ale z wysiłkiem, potem wyjmuje z teczki maszynopis, szkic o najnowszej powieści Grassa, jeszcze nim ukazała się w Polsce, którą właśnie przeczytał w oryginale. Nie chciał być „poza”, „na uboczu”. Nie chciał, żeby już było „po wszystkim”.

Tomasz Kostro

## Krótką historia pewnego wywiadu

Jana Pierzchałę poznałem kilka lat temu, w zimie na przełomie wieków. On był osobą znaną i uznaną, a także odrobinę zapomnianą, moje nazwisko mówiło cokolwiek jedynie kilkunastu osobom w Sosnowcu. Nosilem się z pomysłem powołania do życia zagłębiowskiego periodyku literackiego. Ponieważ otwierały się perspektywy na ziszczenie się pomysłu, choćby w skromnej zrazu namiastce, zabiegałem o pozyskanie przychylniej opinii możliwie wielu ludzi, cieszących się odpowiednim autorytetem, albo też – nie ma co kryć – władnych pomóc. Po telefonicznej rozmowie uzyskałem tyle, że mogłem, najlepiej przez pocztę, przekazać dwa „numery”, ledwie kilkanaście stron wkładki do samorządowego „Kuriera Miejskiego”, aby autor *Legendy Zagłębia* mógł zapoznać się z moją propozycją. Wsunąłem do odpowiedniej skrzynki kopertę z drukami.

Po kilku dniach, zgodnie z umową zatelefonowałem. Rozmowa była krótka i rzeczowa. Proszę wpaść, czekam. Nie minęła godzina – stałem pod drzwiami. Jak przebiegła nasza pierwsza rozmowa? Znakomicie. Dość powiedzieć, że zamiast zaplanowanego kwadransa gawędziliśmy grubo ponad godzinę. Zyskałem nie tylko obietnicę wsparcia (był niebawem list publikowany w kolejnym numerze, były znaczące słowa kierowane wprost do odpowiednich osób), ale też zrodziło się między nami coś, co mogę chyba określić mianem osobistej sympatii. No, bo jakże mam nazwać fakt, że wcale często zdarzało mi się odebrać około południa telefon takiej oto treści: wychodzę na pocztę, jeżeli ma pan ochotę na mały spacer – zapraszam. Przeważnie miałem. Spacerowaliśmy Aleją Zwycięstwa, rozmawiając o rzeczach różnych, czasem o historii, częściej o współczesności. Zdumiewała mnie doskonała forma nestora literatów regionu i orientacja w problemach środowiska, od którego dystansował się rzekomo od wielu lat.

Zbliżały się obchody stulecia miasta. Szef dziennika, z którym podówczas współpracowałem, wielokrotnie sugerował, że chętnie widziałby na jego łamach wypowiedź znaczącej w Sosnowcu postaci, Jana Pierzchały na przykład. Kłopot polegał na tym, że powszechnie było wiadomo, iż Jan Pierzchała wywiadów nie udzielał, z dziennikarzami rozmawiać nie chciał, konsekwentnie odmawiał wszelkich kontaktów z codzienną prasą. Być może czymś został urażony. Nie wiem. W czasie któregoś ze spacerów (była wczesna wiosna), powtórzyłem sugestię naczelnego. Ku mojemu zdumieniu pisarz przystał bez oporów. Spytał tylko, ile miejsca gazeta mu może poświęcić. Okazało się, że nawet całą stronę. Po tygodniu miałem surowy tekst dany mi w maszynopisie.

No i zaczęło się! Okazało się, że Jan Pierzchała nie darzy sympatią najgłośniejszego z sosnowieckich bohaterów, którego rok właśnie trwał, a pomnik lada dzień miał być odsłaniany. Zrobiło mi się nijako. Nie dlatego, żebym szczególnie bohatera owego wielbił, ale dlatego, że wiedziałem, jak wielką wagę przywiązywano w mieście do czekających nas

wydarzeń, jak bardzo stuletniemu ledwie miastu potrzebny jest pomnik i legenda o postaci. Czułem zbliżające się kłopoty. Jak daleko autor pozwoli ingerować w swój tekst? Obyło się bez dylematów. W czasie następnego spotkania z życzliwym uśmiechem wysłuchał zastrzeżeń, zabrał tekst do autoryzacji i właściwie na tym przygoda z wywiadem skończyła się. Niby zaakceptował moją sugestię, żeby stonować ostrość wypowiedzi, ale podpisanego tekstu nie oddał. Tymczasem rzecz stała się nieaktualna, Na domiar złego włamywacz, który odwiedził którejś nocy redakcyjny lokal, był uprzejmy zabrać z sobą komputer z zapisanym tam wywiadem. O cóż chodziło? Działo się to dawno, w latach szkolnych pisarza. Wszyscy uczniowie wraz z opiekunami witali przed dworcem wielkiego rodaka. Przyjeżdżał z rodziną z Warszawy. Fakt, że wysiadł z innego niż rodzice wagonu, jakoby on z klasy pierwszej, oni z drugiej, że nie poszli razem do eleganckiej wówczas restauracji, przyszły pisarz odczytał, jako wyraz lekceważenia, ostentacyjnego dystansowania się od rodziców. Tak głęboką powziął urazę do gwiazdora, że została na zawsze.

Niefortunny wywiad w niczym nie zakłócił naszych stosunków. Nadal spotykaliśmy się w podobny jak dotąd sposób, zawsze życzliwie ze mną rozmawiał i co najważniejsze, nigdy nie pominął okazji by poprzeć moje starania o pismo. Jak wiadomo, z dość miernym rezultatem.

Paweł Lekszycki

## Krótką historia, wręcz anegdota, jednego spotkania z Janem Pierzchałą

Pamiętam to wydarzenie, jakby miało miejsce w październiku lub listopadzie, miesiącu, o którym z niejasnych powodów woli się nie pamiętać. Towarzyszy mu jednak zabawne wspomnienie, w jaki sposób tamtego wieczoru znalazłem się w sali Górnosląskiego Towarzystwa Literackiego. Nocy, która poprzedzała ten występ, głos dobiegający do mnie z telefonicznej słuchawki wyraził radość z powodu nadarzającej się okazji do odkurzenia kilku spraw przy okazji spotkania w redakcji „Śląska”, którego, między innymi i ja, miałem być bohaterem, o czym oficjalnie donosił plakat przyklejony w okolicach katowickiego „ryнку”. Dzięki pośrednictwu głosu, którego właściciela dzisiaj już nie pamiętam, dowiedziałem się, że dnia następnego uczestniczyć będę w dyskusji poświęconej młodej literaturze na Śląsku, co ucieszyło mnie w sposób szczególnie: po pierwsze dlatego, że zlakniony byłem natenczas ludzi i rozmów z nimi, po drugie przez wzgląd na temat tych rozmów.

Jako się rzekło – działo się to w miesiącu, którego z niejasnych powodów wołałbym nie pamiętać, przez co okrucy tego, co zapamiętane, a wydobyte teraz na światło dzienne, nabierają nowego znaczenia. Cóż zatem pamiętam? Piękny, a jakże, wykład o literaturze na Śląsku Mariana Kisiela, skupione na nim spojrzenia Grzeška Olszańskiego i Pawła Sarny, „eltonowski” uśmiech Maćka Meleckiego oraz to, że w samym salonie, czczonym przez lata przez jego licznych bywalców, Krzysztof Siwczyk jako pierwszy bezceremonialnie zapalił papierosa marlboro, dając tym samym asumpt do podejrzeń, jakoby nie wyszedł jeszcze z etapu dzikodzieciństwa. Fakt ten odbił się echem oburzenia wśród zgromadzonych na sali, spośród których głos jeden, acz bardzo stanowczy i wyrażający troskę o losy najmłodszej poezji śląskiej, utkwiał w rejestrze mojej pamięci. Dociekliwość jego tonu nie pozostawiała bowiem cienia wątpliwości względem żywego zainteresowania jego właściciela tym, co dzieje się na literackiej scenie niemłodego już przecież Śląska. Głos należał do Jana Pierzchały i nie był tym, który słyszałem poprzedniej nocy w słuchawce telefonu, mimo czego to właśnie głos tego właśnie redaktora „Poglądów” pozwala mi dzisiaj dokładnie zlokalizować wagę tamtego spotkania.

Tadeusz Sierny

## *Pro memoria*

Byliśmy tylko znajomymi. Pana Jana poznałem najpierw jako autora wielu tekstów publikowanych w „Poglądach”. Kiedy rozpocząłem pracę w Wydawnictwie „Śląsk” w 1984 r dowiedziałem się, że w okresie Jego kierownictwa, na bazie redakcji literackiej utworzono w 1954 roku Przedsiębiorstwo Państwowe Wydawnictwo „Śląsk”.

Dla mnie był człowiekiem interesującym ze względu na swe niekonwencjonalne spojrzenie na otaczającą go rzeczywistość i środowisko literackie. Jako wieloletni prezes katowickiego oddziału Związku Literatów Polskich, znał, czytał i komentował dokonania swoich kolegów – nie szczędząc im swoich pochwał i – czasem – dosyć uszczypliwych uwag. Warto odnotować, że ostatnim Jego opublikowanym tekstem była recenzja tomu poetyckiego Romualda Skopowskiego.

Spirał się z Wilhelmem Szewczykiem, nie zgadzał z Bolesławem Luboszem, dystansował wobec poglądów Tadeusza Kijonki i wielu innych twórców.

Był patriotą i miłośnikiem Zagłębia Dąbrowskiego, wybitnym znawcą jego historii, społecznych i kulturowych sekretów, starał się patrzeć obiektywnie na sprawy Śląska, chociaż w tej kwestii trudno mu było pozbyć się emocji.

Polityka interesowała go – jak pamiętam nasze rozmowy – właściwie jako obszar działań personalnych; niezwykle trafnie i celnie potrafił scharakteryzować główne postacie ówczesnych układów politycznych; sam rzadko angażując się bezpośrednio w jakieś konfiguracje. Był człowiekiem jednoznacznie deklarującym swe lewicowe poglądy, wywodzące się z tradycji przedwojennego, atrakcyjnego dla różnych środowisk inteligencji PPS-u. Nie ukrywał swojej irytacji wobec niespodziewanych i dziwacznych na początku lat dziewięćdziesiątych przeobrażeń ideowych znanych postaci w katowickim środowisku, śmiejąc się i żartując z tych pośpiesznych ewolucji.

Pracował nad swoją książką o Józefie Piłsudskim, która chciał wydać w mojej oficynie, niestety tego zamiaru nie pomogłem Mu zrealizować.

Kiedy spotykałem Pana Jana nie spodziewałem się serdeczności i familiarności, był ważnym Znajomym w moim życiu przez niepokój, jaki inicjował swoimi pytaniami, spostrzeżeniami, refleksjami.

**Jerzy Lucjan Woźniak**

## **Moje o Nim wspomnienie**

Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, ani nawet bliskimi kolegami. Znałem Go całe lata, jakby z drugiego planu. Pisałem już wtedy, ale nawet do prasowego debiutu było daleko. Miało to swoje walory. Mogłem oceniać wszelką działalność przez Niego prowadzoną obiektywnie, nie przez pryzmat koleżeńskiej lojalności. Lubiłem słuchać, gdy mówił publicznie. Robił to dobrze. Każde słowo było logiczne, miało wyważoną wartość. Byłem nikim, ale znał moje nazwisko.

Wyjechałem z Sosnowca. Na kilka lat straciłem Go z oczu. Gdy dwadzieścia lat temu włączyłem się w nurt literackiej działalności, miałem już małe osiągnięcia. On jednak mnie pamiętał. Dalej nie byliśmy blisko. Najczęściej widziałem jak siedział, na czwartkowych spotkaniach z redakcją „Śląska”, w sali Portretowej po przeciwnej stronie przy drzwiach. Choć był już sędziwy trzymał się dobrze. Nadal potrafił przekonująco i mądrze mówić. Nic nie wskazywało, że słabnie, radykalnie ubywa mu sił. Jeszcze na kilka dni przed śmiercią był w dobrej formie.

Czekałem (po takim właśnie spotkaniu) na autobus do Sosnowca. Przyszedł na chwilę przed odjazdem. Wsiadał zupełnie samodzielnie, a przecież w niespokojnym tłumie nogę na wysoki stopień trzeba było podnieść wysoko. Nie rozmawialiśmy, siedząc oddzielnie. Gdy zbliżaliśmy się do celu, zapytał czy wysiadam przed kolejowym dworcem. Razem wysiedliśmy rozmawiając grzecznościowo. Rozstaliśmy się po chwili.

Po kilku dniach od naszego spotkania dowiedziałem się, że zmarł. Nagle, jakby w marszu. Żałuję, że nie znałem Go bliżej.

## Włodzimierz Wójcik

\* \* \*

Mój artykuł przeglądowy o twórczości Janka pt. *W pejzażach Jana Pierzchały* był wydrukowany najpierw w „Śląsku”, a później przedrukowany w książce zbiorowej dotyczącej naszego środowiska literackiego. Odnosił się on właściwie do jubileuszu siedemdziesięciopięciolecia Jana Pierzchały. Zakończyłem go znamiennymi słowami *ad multos annos*, wierzyłem bowiem, że przed Jankiem jeszcze jest sporo lat życia i sporo lat twórczości. Podziwiałem w autorze *Krzaka gorejącego* nie tylko talent literacki, który jest czymś naturalnym u wielkiej osobowości, ale też niesamowitą pracowitość i poczucie odpowiedzialności za tworzenie pięknej wizji regionu zagłębiowskiego i śląskiego.

Pod koniec listopada 2003 roku Janek przedstawił referat na konferencji zagłębiowskiej *Sylwetki z Zagłębia* w auli dawnego naszego Instytutu Filologii Polskiej przy ulicy Kościelnej. Siedziałem obok niego, komentowałem później jego referat, mówiłem, że jest on czymś niezwykle ważnym i taki referat mógł tylko on wygłosić, ponieważ mówił o wymianie listów Pierzchała-Maria Dąbrowska, a listy te dotyczyły głównie Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Bardzo sobie ceniłem tę jego wypowiedź. Kiedyśmy się żegnali, nachyliłem się nad nim, coś jeszcze mu powiedziałem, a on na to: „wiesz, stary, słuch to ja mam jeszcze dobry, ale gorzej jest z chodzeniem”. Ale gdy mowa o tym chodzeniu, to często Janka widywałem, kiedy w okolicy 200-500 metrów od swego domu spacerował sobie, mieszkał przy ulicy Małachowskiego 22 w Sosnowcu. Gdzieś mniej więcej w takim promieniu go spotykałem, przez chwilę szliśmy razem, gawędziliśmy. Był człowiekiem rozmownym. Poza tym Janek bardzo dużo wiedział: o literaturze, o świecie, o Śląsku i Zagłębiu, nieprzypadkowo jest autorem *Legendy Zagłębia*. Jest to znakomita encyklopedia wiedzy o naszym środowisku.

Był to pisarz miary ogólnopolskiej. Bardzo sobie ceniłem *Krzak gorejący*, powieść panoramiczną o życiu Polski na progu XX wieku. Poza tym był to twórca bardzo zaangażowany w życie literackie, w życie środowiska. Przez wiele lat był prezesem katowickiego oddziału Związku Literatów Polskich, przewodniczył grupie pisarzy zagłębiowskich. W tej chwili klub pisarzy zagłębiowskich jest osierocony. Ważną rolę odgrywał Janek jako wieloletni dyrektor literacki Teatru Zagłębia. Te rzeczy podkreślałem, kiedy przyszło mi pożegnać Go w imieniu środowiska literacko-polonistycznego na cmentarzu przy ulicy Mielęckiego. Tam przytoczyłem fragment jego wiersza. Są w nim słowa modlitwy, prośba do Boga, aby na progu śmierci stanąć przed Jego obliczem nie z gołymi rękami, ale z jakimś dorobkiem, formą uczczenia Stwórcy.

W ostatnich słowach Jankowi dziękowałem, pochylony nad trumną, za jego przyjaźń i za piękne słowo, którym polskich czytelników obdarzył. Po tym wszystkim na jego trumnę rzuciłem gałązkę żywego lauru.

## Noty o autorach

**Zbigniew Adamczyk** – publicysta, nauczyciel. Pomysłodawca, założyciel i pierwszy redaktor naczelny periodyku kulturalno-literackiego „Sokół Jaworznicki”.

**Justyna Cembrowska** – krytyk literacki. Redaktor Witryny Czasopism.pl i kwartalnika „FA-art”.

**Józef Górdzialek** – krytyk literacki. Opublikował m.in. szkice: *Literackie portrety rodziny śląskiej*, *Piętno pogranicza polsko-niemieckiego*.

**Elwira Kabat-Georgijewa** – wicedyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu.

**Jan Klemens** – wieloletni dyrektor Teatru Zagłębia w Sosnowcu.

**Tomasz Kostro** – dziennikarz. Pomysłodawca i redaktor prowadzący „Kuriera Literackiego” – dodatku do sosnowieckiego „Kuriera Miejskiego”.

**Stanisław Krawczyk** – poeta, prozaik, publicysta. Wiceprezes Oddziału SPP w Katowicach opublikował zbiory liryków, m.in.: *Przedpokój – Las mieszany* (1981), *Brzegi płomienia* (1986), *Relacja* (1990), *Droga* (1993), *Błądzą* (1996), *Szepty* (1997), *Tajemnica twarzy* (wiersze wybrane) (1998), *13 wierszy* (2002), tom opowiadań *Czas przejściowy* (1998) oraz *Zapiski na prowincji* (2000). Zredagował *Okolicę najbliższą* (2001). W czterdziestolecie pracy twórczej uhonorowany książką *Destruktor symbolu* (red. P. Majerski, 2002).

**Paweł Lekszycki** – poeta, krytyk literacki. Debiutował tomikiem *Ten i Tamten* (wraz z P. Sarną, 2000), autor zbioru *Wiersze przygodowe i dokumentalne* (2001) oraz książki *Grupa Na Dziko. Socjologia i poetyka zjawiska* (2001). Redaktor naczelny Magazynu Literackiego „Kursywa”. Przewodniczący Koła Młodych przy Oddziale SPP w Katowicach.

**Sławomir Matusz** – poeta. Debiutował w bezdebitowej prasie związkowej (1981). Opublikował osiem tomików poetyckich: *Nie podaję nikomu ręki* (1985), *Mistyka zimą* (1990), *Szare mydło* (1993), *Podtrzymanie, podniesienie* (1994), *Wakacje* (1995), *Świadectwo urodzenia* (1998), *Przewrotka aniołów* (1999), *Elegia transgeniczna* (2000).

**Feliks Netz** – poeta, prozaik, krytyk literacki, publicysta, autor słuchowisk radiowych, tłumacz. W latach 1964-71 pracował w katowickiej rozgłośni Polskiego Radia, 1972-86 był redaktorem tygodnika „Panorama” (1979-81 red. naczelny). Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Śląsk”. Opublikował m.in. tomiki *Związek zgody* (1968), *Z wilczych dolów* (1971); powieści *Sto dni odpustu* (1968), *Urodzony w Święto Zmarłych* (1995). Jest również autorem zbioru felietonów radiowych *Wielki zamęt* (1996), słuchowisk *Ballada o familoku* (1978).

**Paweł Sarna** – poeta, krytyk literacki. W latach 2002–2003 redaktor Periodyku Kulturalno – Literackiego „*Sokol Jaworznicki*”. Magazynu Literackiego „*Kursywa*” oraz Nieperiodyku Kulturalnego „*ARTyleria*”. Autor tomików: *Biały OjciecNasz* (2002), *Ten i Tamten* (wraz z P. Lekszyckim, 2000), a także książki *Śląska awangarda. O poetach grupy Kontekst* (2004). Wiceprezes Oddziału SPP w Katowicach.

**Tadeusz Sierny** – dr, redaktor naczelny oraz Prezes Zarządu Wydawnictwa Naukowego „*Śląsk*” w Katowicach

**Tadeusz Urgacz** – poeta, autor tekstów piosenek. Opublikował kilkanaście tomów poezji, m.in. *Uśmiech ojczyzny* (1952), *Narcyz* (1996), *Garbuska* (1972), *Zielone Grenlandie* (1978), *Braciszek* (1984), *Powrót Abła* (1986), *Gdyby Bóg pisał wiersze* (1996), *Delfin* (2001), *Reinkarnacje* (2001).

**Jerzy Lucjan Woźniak** – poeta, debiutował w 1983 r. w katowickich „*Poglądach*”. Wydał zbiory wierszy, m.in.: *Różga światła* (1991), *Pod skórą* (1991), *Szelest czasu* (1993), *Z oczu bielmo, z serca strach* (1998) i *W Tatrach* (2001).

**Włodzimierz Wójcik** – prof. zw. dr hab., historyk literatury, wieloletni kierownik Zakładu Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej UŚ. Członek Komisji Historycznoliterackiej krakowskiego i katowickiego Oddziału PAN, Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, ZLP. Opublikował m.in.: *Zofia Nalkowska* (1973), *Estetyzm, realizm, polityka* (1981), *Legenda Piłsudskiego w polskiej literaturze międzywojennej* (1987), *Skamandryci i inni nad Sekwaną* (1995), *Staff i Różewicz* (1999), *Powrót do Nalkowskiej* (2003).

**Andrzej Żak** – poeta, prozaik, autor książek oraz widowisk teatralnych i telewizyjnych dla dzieci. (Członek Związku Literatów Polskich od 1978 roku, prezes Oddziału Katowickiego ZLP w latach 1994-1998). Wydał m.in.: *Lipowe gusła* (1971), *Podróż przedślubna* (1974), *Mężczyzna prosto z nieba* (1979), *Dziwny tydzień* (cykl książek 1982-84), *Rycerz Króla Jegomości* (1988). Sztuki teatralne i telewizyjne: *Władca czasu* (TV 1992), *Wielka nowina* (1993), *Pierścień czarodzieja* (TV 2000).



## Jan Pierzchała

Urodził się w 1921 roku w Jaworznie.

W 1945 roku debiutował jako poeta na antenie Polskiego Radia. W latach 1947–1950 studiował polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 1947–1949 pełnił funkcję sekretarza redakcji kwartalnika „Zeszyty Wrocławskie”. Uczestniczył w pracach Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego i Literatury we Wrocławiu, pracował na stanowisku dyrektora ds. programowych rozgłośni Polskiego Radia. W roku 1953 zamieszkał w Sosnowcu i rozpoczął pracę w katowickim wydawnictwie „Śląsk”. W 1956 objął stanowisko attaché kulturalnego Ambasady PRL w Berlinie Wschodnim. W 1959 wrócił do Polski i pracował w redakcji wydania niedzielnego „Trybuny Robotniczej”. W latach 1962–1981 był zastępcą redaktora naczelnego „Poglądów”. W latach 1964–1966 był kierownikiem literackim Teatru Dramatycznego im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, 1966–1997 w sosnowieckim Teatrze Zagłębia. W latach 1986–1990 był członkiem Narodowej Rady Kultury. Wiersze, opowiadania, reportaże, artykuły publicystyczne, recenzje i przekłady zamieszczał w wielu czasopismach (m.in.: „Dziennik Polski”, „Dziennik Zachodni”, „Kuźnica”, „Literaturnaja Gazeta”, „Miesięcznik Literacki”, „Nowa Kultura”, „Odra”, „Odrodzenie”, „Opcje”, „Poglądy”, „Przemiany”, „Słowo Polskie”, „Sprawy i Ludzie”, „Szczecin”, „Śląsk”, „Śląsk Literacki”, „Tak i Nie”, „Tygodnik Kulturalny”, „Tygodnik Powszechny”, „Wieś”, „Zaranie Śląskie”, „Zeszyty Wrocławskie”, „Życie Literackie”). Autor adaptacji scenicznych, dramaturg, tłumacz. Opublikował m.in.: *Wiersze* (1948), *Dziewczyzna* (1952), *Noce bez światła* (1954), *Rozstanie i powrót* (1957), *Anastazy Kowalczyk. Opowieść biograficzna* (1962), *Antykwariat przy ulicy Barbarossy. Opowiadania* (1962), *Legenda Zagłębia. Szkice* (1962, wyd. 2 1971), *Dzień z nocą na trzy podzielony* (1964), *Krzak gorejący* (1972), *Przeczekaj deszcz* (1975), *Jak krótkie lato* (1980), *Opasani ciemnością* (1983), *Z ciemni podskórnej. Szkice o pisarzach współczesnych urodzonych w Zagłębiu Dąbrowskim* (1992). Zmarł w 2003 roku w Sosnowcu.

